

TOM CCLXVII.

SERYA 9.

De II A.
ROK 67.

ZESZYT 801.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

W R Z E S I E Ń.

1907.

TOM III.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. ŁUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	417
2. RODZINA W POLSCE, — przez <i>J. T. Lubomirskiego</i>	455
3. NASZ LUD, — przez <i>Maryę Konopnicką</i>	469
4. JORIS KARL HUYSMANS, — przez <i>Jana Lorentowicza</i>	497
5. ZE SZTUKI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	537
6. RUCH LITERACKO-UMYSŁOWY W NIEMCZECH, — przez <i>J. Kacz- kowskiego</i>	550
7. PIŚMIENNICTWO:	
DR. ZOFIA DASZYŃSKA GOLIŃSKA: Uście Solne. Przyczynki history- czno-statystyczne do dziejów nadwiślańskiego miaste- czka, — przez <i>G. Smólskiego</i>	577
HIERONIM ŁOPACIŃSKI: Wiadomości o marmurach w Polsce, — przez <i>d-ra Emmanuela Świejkowskiego</i>	586
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Z nastrojów chwili. — W sprawie kształcenia się naszej młodzieży zagranicą. — Informowanie cudzoziemców o Polsce. — Przejście szpitali pod zarząd miasta	592
9. Ś. p. prof. ANTONI MIERZYŃSKI, — przez <i>Z. D.</i>	609
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	611

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 9.



De. II 1

ŁUNA.

VII.

Śniałowski, znużony drogą, znękany na duchu, zresztą głodny, gdyż od rana oprócz kawy, przełkniętej u Ryszarda, nie miał nic w ustach, wracał do siebie. Lubił swój pokój z widokiem na rzekę i żelazny most, na senne mijanie wód i gwarną gorączkę ludzką. zacisze własnego kąta, spokojne rozmowy z sobą samym, dobre godziny, gdy w nocnem milezeniu pisywał listy tęsknoty, albo odczytywał te, które słała mu droga ręka... Dziś właśnie spodziewał się takiego listu, śpieszył... Ale dojrzał go z pędzącej dorożki Różycki, jeden z licznych „przyjaciół” i towarzyszków, kolegą, jakiś adwokat, taki sobie pan, gorący na słowach, i rzucił się na niego, jak na zdobycz, pełną zajmujących wieści.

— Wróciliście już... to dobrze... i kryjcie się... tymczasem obowiązkiem waszym zdać sprawę—natarł wesoło i poufale.

— Na ulicy trudno—bronił się Śniałowski.

— Zajdziemy do cukierni. Złapałem i nie puszczę was—nastawał elegancki adwokat—ciekawym jestem, chcę wiedzieć... należy mi się...

Śniałowski nie znosił cukierni i restauracyi, ale ustąpił, dał się zaprowadzić do jakiegoś stolika i uprzejmie opowiadał.

Twarz wykwintnego adwokata stała się uroczystą i skupioną, zdjął kapelusze, wicherzył sobie włosy ze wzruszenia i drapał się w głowę, słuchoł ze szczególnym smakiem, potakiwał, patrzył błyszczącymi oczami.

— Więc wybuch jest aż tak bliski?—powtarzał, pochylając się tajemniczo do ucha Śniałowskiego—no, no, patrzcie!...

Potem zatarł ręce, co czynił po każdej pomyślnej obronie.

— Fagas, dwie małe czarne! krzyknął dziarsko—trochę li-kieru przy tej okazji... Rodbertusie, dobrze? — było to szkolne przezwisko Śniałowskiego — wy nie? może naparstek?

— Ciekawe rzeczy!... nie spodziewałem się... my tu jak w rogu, nie wiedzieliśmy... trzeba nawiązywać stosunki... i śle-dzić trzeba... puściliście już w ruch maszynę? — gadał, nie dosłu-chawszy do końca opowiadania, potem szeptał z miną konspi-racyjną, oglądając się na wsze strony, dawał jakieś wskazówki i rady.

— Ja także od niedawna w mieście — mówił dalej już gło-sno. — Jeździłem przewietrzyć się... Kąpałem grzeszne ciało w mo-rzu, zwiedziłem Holandję... jakie muzea! prawda, was nie zaj-muje sztuka! A tu, w Pacanowie wszystko po staremu... powodzi się nam nieźle... Mamy już z pięć czytelni, zwyciężyliśmy na wyborach... Stary wół dał firmę... ruszamy się... gazeta zacznie wychodzić... zdobywamy powoli, stopniowo placówkę po placów-ce... od dołu, od małych rzeczy... szkółki, czytelnie... pismo co-dzienne, jak owa kropla... gdzie tylko można, pakować swoich ludzi... brać co się daje, obsadzać...

Śniałowski zwiesił zmęczoną głowę i nie słuchał, a tamenten prawił bez przerwy tonem człowieka zadowolonego.

— Pokojowy podbój!... już i rząd oswoił się z nami i popu-scił... Wyobraźcie sobie, dziś broniłem Józwicka, wiecie tego, co to strzelił, i powiedziałem: w państwie, które się zachwiało, jak człowiek, który mdleje z braku tehu... dosłownie: w państwie, które się zachwiało, jak człowiek, który mdleje z braku tehu — z upodobaniem powtórzył—i nie przywołano mnie do porządku... signum mali ominis dla nich... Jabo wprawdzie nie pierwszy raz pozwoliłem sobie, przywykli do moich licencyj — dyskretnie chwalił się, płynnie opowiadał.

Różycy zauważył wreszcie znudzoną minę na znękanem obli-czu towarzysza i zamilkł. Zaciągnął się papierosem, puścił kłęb dymu, myślał.

— Więc wybuch na całej linii — szepnął znowu — tak, chyba już czas! tyle razy my za nich, teraz oni...

— A my?—spytał Śniałowski.

Elegancki adwokat znał zapatrywania kolegi, ale odparł ze swadą:

— Nam czekać...

Śniałowskiego zniecierpliwił ton pewności siebie, podnosiło się w nim rozdrażnienie, rozpałał się już zawzięty ogień upartych

myśli, twardych postanowień, ostrych przekonań, budziła się, jak zwykle przy każdym zetknięciu się z ludźmi, których kochał, o ile nad nimi panował, zaciekleść, więc powiedział z naciskiem:

— Ja zaś twierdzę, że my czekać nie będziemy... wiem...

Różycki skoczył na krzesło.

— To niemożliwe!

— Ale tak będzie.

— Co będzie? używacie stylu delfickiego.

-- Wybuch w naszym kraju.

-- Chcecie tego! popychacie?

— Chcę.

Twardym spojrzeniem fanatyka Śniałowski mierzył kolegę.

— Czekać i zacierać ręce nie przystoi — dodał.

Zapadło milczenie. Różycki bębnił palcami po stole. Minęło wesole podniecenie, z którem rozprawił przed chwilą. Wzrok Śniałowskiego uragliwy gniewał go. Ten zaś zapytał znowu:

— Pójdziecie z nami?

— Co to? indagacya?!

— Nie indagacya — zwykłe zapytanie. Trzeba się porozumieć...

— Pójdę, nie pójdę .. nie o mnie tu się rozbija... mój udział rzecz podrzędna — ze sztucznym zapałem zaczął adwokat — należy rozstrzygnąć w zasadzie czy wolno, czy czas jest, czy wybiła godzina... olbrzymią odpowiedzialność bierze na siebie ten, kto popycha niedojrzałe masy... Myśl polityczna...

— Zostawmy myśl polityczną — spokojnie przerwał Śniałowski — wielkie rzeczy stają się same. Nie my rozstrzygamy i nasze zdanie nie znaczy nic. Sporu akademickiego nie będę z wami prowadził, ponawiam pytanie: pójdziecie?

— Wydelegowano was do mnie z tą misją? — odciął się adwokat, który czuł ukrytą i w słowach i w spojrzeniach złośliwość.

-- Widzę, że chcecie wykręcić się sianem.

— A ja uważam, że wleźliście na jakąś wysokość, że odegrywacie tu jakąś rolę. .

— Pusta szermierka... nie poto zeszliliśmy się tu...

Nastało milczenie. Śniałowski przyglądał się adwokatowi. Wzbierała mu w sercu gniewna pogarda dla tego pełnego tupetu, aroganckiej swady i chętności kolegi, który wielkie zagadnienia mierzył małą i lichą miarą małego ducha, w straszliwym dramacie dziejowym szukał zabawy i pokarmu dla ambicyj, wesole zacierał ręce, rozporządzał się, ferował wyroki — i nie mógł zapanować nad sobą. Z pogardy rodziła się nienawiść, chłodna i napaśtnicza. W takich chwilach Śniałowski rąbał ludzi.

— Nie rozumiem takich, jak wy—odezwał się zimno.—Należy do partii, mowy wasze zawsze najgorętsze, artykuły w piśmiech najbardziej zjadliwe, a gdy idzie o czyn?!... Albo zostawmy burżuazję na stronie, albo... Cały wasz t. zw. pokojowy podbój nie wart i funta kłaków... Nie nazwę nigdy działaniem tej jakiejś składki rocznej, tego kłusowania po gazetach przeciwników, tej podjazdowo-domowej wojny z klerykalizmem... Cóż po tych kilku czytelnikach, z których wyrzuciliście książki szlacheckie, po tych paru szkółkach bez wykładu religii, po obronie przestępców politycznych, z której tak bardzo dumni jesteście?...

Różycki zmarszczył się i dzwonił łyżeczką na lokaja.

— Gadać językiem, pisać piórem—szydził Śniałowski— a jednocześnie urządzać sobie żywot ziemski podług wszelkich prawideł wygody i dostatku— to nie jest trud. Potrzeba trudu, przebudowy wewnętrznej. Bez tego jest się burżujem, przebrany w suknie socjalistyczne... rodzaj jaszczurczy, rodzaj pożałowania godny... pójdę teraz z wami do was... pamiętam w czasach studenckich izdebkę ciasną i chłodną, pamiętam zgrzebną koszulę: dłonie twarde od pracy fizycznej, ascetyzm i Tołstojowskie porywy... Dziś na kanapach, śród sztychów, dywanów, ze strojną małżonką...

— Skończyliście? — szorstko przerwał Różycki. — A przede wszystkim, mój panie, ja nie prosiłem was wcale o wygłoszenie opinii.

— Nie podoba się wam!... dobrze... niech będzie dosyć...

— Życie prywatne... nikt nie ma prawa wglądać w życie prywatne—adwokatowi drgnęły usta.

Odwrócił się i tajał lokaja:

— Płacić! wołam od godziny... przekłeta dziura!

I wyszedł wyprostowany, sztywny i zabawny w cylindrze, którym usiłował dodać swojej niepoczesnej osobie wzrostu. Śniałowski podążył za nim. Ogarnęło go znowu zgnębienie. Zwalczył je raz, tam w pokoju Pawła, gdy patrzył w gasnące blaski zachodu, ale to ponowne zetknięcie się z ludźmi, z obłudą, z kłamstwem ust, z marną pychą marnych dusz... zalewały mu serce gorycz i mrok osamotnienia, gryzło zwątpienie. Są chwile, że i najsilniejsze duchy, przybite do krzyża życia, przez usta słabości wołają: pragnę...

„Krzyż życia... pragnienie...“ Czepia mi się języka poezya“ smutnie uśmiechnął się Śniałowski.

Mijały go tłumy na chodniku.

„Który z nich jest bratem?— myślał— jak poznać? Głodny staje pod murem i wyciąga rękę... nakarmią... prosić tak samo

o jałmużnę ducha ..⁴ znowu poezya! — uśmiechnął się. ale smutek trawił moce duszy.

Szedł coraz wolniej i rozglądał się, jak gdyby naprawdę szukał kogo wśród przechodniów, potem zawrócił i zmienił kierunek. Kluczył jakiś czas, żeby odczepić się od szpiega, a zgubiwszy go po drodze, znikł w bramie. Po wązkich i brudnych schodach drapał się na górę, zastukał do drzwi, oznaczonych krzyżem i literami K. M. B. Drzwi były zawsze otwarte, gospodarz zawsze w domu i słowa powitania niezmiennie te same. Śniałowski usiadł na niskim stołku prawie u nóg starca, którego on jeden w partyi, a może i w mieście czcił i kochał — i milczał. Nie przychodził tu dla sporów, trawiących serce złością, dla wymiany zdawkowych pytań, dla pustych gawęd — potrzebował wytchnienia, spokoju, ukojenia dla oczu, wiedzy, zawartej w dopalającym się życiu, zadumy, zgłębiającej sprawy wieczne, słów miłości... I patrzył w ciche oblicze patryarchy, w źrenice łagodnie zamysłone nad otchłanią czasów, w czoło, pokreślone mądrością lat, w usta, nieustrudzenie przebaczące marność ludzi i dni, w blask świecącej wiernie duszy, zgadywał, poznawał, uczył się... Promień księżycy przedostawał się kędyś tam poprzez załomy dachu. odwiedzał tę najuboższą komorę i nakrapiał podłogę srebrnymi wzory; odezwał się od czasu do czasu zdziwionem dziecinnem zapytaniem kanarek, szemrał chrypliwie zmęczony długą służbą staroświecki z wagami zegar. Słodką była cisza tej celi, dobroczynnym mrok. Śniałowski odpoczywał. Zadumanie płynęło mu przez duszę, niby senna łódź po ukojonej w nocnej godzinie jeziorze... jezioro odbija spokojną głębię niebios, zanurza w sobie olbrzymie drzewa, marzy o rzeczach wysokich i dalekich, kryje w mrocznej toni niewyjaśnioną tajemnicę, wolno sunie łódź... Śniałowski spoglądał w milczące dale odmętu... Starzec znał swego gościa i nie przeszkadzał. Pieszczotliwie położył mu dłoń na ręce, szeptał coś do siebie... Miesięczny rysunek na podłodze to gasł, to ukazywał się na nowo.

— Dawno nie widzieliśmy się — zagadał Śniałowski.

— Nie przychodziłeś.

— Wyjeżdżałem, ojcze.

— Wyjeżdżałeś... — powtórzył obojętnie.

Starzec nie zadawał nigdy pytań. Nie obchodziła go strona zewnętrzna życia.

— Walczysz — szepnął — borykasz się z ludźmi i z sobą... z sobą najtrudniej...

— Słabość, zwątpienie, zniechęcenie... samotny jestem, najsmotniejszy—wymknęła się Śniałowskiemu skarga.

— Niema samotności, tak jak niema próżni—cicho odparł starzec—złudzenie oczu, tęskny krzyk serca. W chwili, w której upadasz pod brzinieniem, tysiące braci cierpi z tobą i za ciebie... Wspólna robota zjednoczonych niewidzialnie duchów...

— Gdybyż tak było, ojczu, gdybym ja mógł wierzyć!—gorąco przerwał młody—gdzież są ci bracia? nie znam ich! czemu nie spotkałem żadnego? Zgadłeś, ojczu: w tej chwili ja upadam pod brzemieniem a nikt nie wesprze! Złamię się, na marne idzie mój trud... — zatrzymał się jakby dla zaczerpnięcia tchu, mówił dalej szybko, gwałtownie.— Gładyator, który umierał w cyrku i gasnącem spojrzeniem żegnał dalekie bory, przeczuwał, że dla tej sprawy biją serca rzesz, że będzie męczeństwo wiernych i tryumf, że tam za niego szepcą rozmodlone wargi... Słodko jest konać... Porównywiają oddawna naszą ideę do Tamtej dalekiej, chętnie brzmi śpiew, rozumem i siłą rąk chcą zwyciężyć, sypią szańce niewiści, ukochali używanie... jakże tedy...

Stara, trzęsąca się, zimna ręka pieśczośliwie dotknęła jego czoła.

— Straciłem dziś przyjaciela — gorącym szeptem opowiadał dalej — nie wielu ich mam... nie mam zupełnie. Boją się mnie i drwią, nazywają obłąkańcem, posępnym mnichem, stronią i odsuwają. Nie wywieram wpływu... Może i moja wina... Gorzki jestem, prawdę mówię im w oczy. Bylebym zetknął się z człowiekiem, widzę całą nędzę kłamliwej myśli, zababraną duszę—odwracam się ze wstrętem... Ja nie kocham ludzi, ojczu! Powiesz, że to jest ciężki grzech, że chłodne deszcze słów bez ciepła miłości nie karmią ziemi... Wiem, ojczu, wiem... Ale tak jest. Ja nie kocham ludzi i nie wolno mi nauczać, działać... prawda, ojczu? Miłość—pierwszy warunek... A ja nie mogę!... zejść im z drogi, zamknę się...—urwał.

— Duch ziemi, trwoga ciała—szepnęły wargi starca—łaska... na skrzydłach pokory wysoko... miłość nawiedzi...

— Tęsknię za jednym dniem szczęścia, za jednym dniem, któryby był mój... i serce w człowieku... porzuciłem, żałuję...—nieśmiało, prawie bojaźliwie dodał.

— Odgadłem... pokusa szczęścia, przyczyna słabości... Sny skradzione—westchnienie wymknęło się z piersi starca—sny... sny...

— Miałeś, ojczu, twarde chwile? wyrzekałeś się? upadałeś?—wzburzonym szeptem pytał Śniałowski.—I sam jesteś, na pustyni, opuszczony... boleści służyłeś... miłując... Ty rozumiesz!... Ale

za tobą już życie, a ja lata, jeszcze długie lata!... Gdyby to męka, gdyby jeden czyn, jedna godzina mocy!... Chciałbym... znużony jestem... dzień po dniu, krok za krokiem pcham. staczam się i znowu, znowu... och, uciążliwa praca... Pocóż ludziom narzucać, gdy nie chcą! A może ja błądzę, zaślepiony fanatyk? Nie lepiejże zejść im z drogi?—jeszcze raz urwał.

— Jest, ojcze, serce czyste, które pokochałem — drżał mu głos, gdy wyznawał — to serce cierpi i ja cierpię... mogliśmy razem we dwoje... przecież wolno każdemu zapragnąć... i matkę zgmiotłem krzywdą... ona wzywa mnie... wrócę na drogę przeszłości... do nich...

Czekał odpowiedzi. Wziął rękę, która gładziła mu włosy, całował, patrzył w oczy.

— Sam ty wiesz — była odpowiedź — pojąłeś zdawna... do ostatka iść będziesz mocy posłuszny, łaską mocny... w miłości jedyne kochanie... odpocznij...

— Odpocząć—powtórzył jakby sennie—i znowu...

— Ani dni, ani lat... trwanie w jedności, praca przedwieczna... zajrz, ogarnij...

— Dlaczegoż ja, ja sam jeden—słabo opierał się Sniałowski—sam jeden za wszystkich... człowiek wątły jest. Nie zmienię biegu dziejów, nie wstrzymam rozpędu... do otchłani złęgo lecą... przemawiam do głuchych, ukazuję ślepych, umarłych budzę... czyż warto? Niema we mnie wiary, a bez wiary...

— Pan z tobą, duch Pański...

— Ani tej wiary, ojcze... żadnej, żadnej... ja rozbitek...

— Nieprawdę mówisz—surowo przerwał starzec.

Zaległa cisza. Z daleka, rzekłbyś z nizin, dochodził głuchy gwar miasta. Cykały drgające wskazówki, sterany zegar z wysiłkiem liczył minuty długiego pracowitego żywota. Na deskach podłogi srebrzyły się księżycowe zgłoski, nieczytelne, tajemnicze hieroglify i posuwały się zwolna ku nim te dziwne, żyjące litery — Sniałowski deptał je stopą.

— Pójdę już odezwał się tonem prośby.

— Zostań.

Starzec wstał, poszedł w stronę łóżka, wrócił niebawem. Trzymał krzyż w ręce.

— Wezwę... uproszę dla ciebie...

Sniałowski zwiesił głowę.

— Wiesz, ojcze... tej wiary nie mam oddawna — niechętnie wymówił.

— Ja czekam... modłę się codziennie... chodzi za tobą mój duch i prowadzi... stanie się cud.

— Cud?—uśmiech przewinał się przez cierpkie usta Śniałowskiego. Zabrał starcowi krzyż, odniósł i powiesił na zwykłym miejscu.

Było milczenie. Śniałowski przemierzył izdebkę krokami, stąpając na palcach, jak gdyby bał się spłoszyć. Uparte myśli miał na wąskim czole fanatyka.

— Że ty, ojczy, wiarę uchwycić mogłeś—zaczął—żyjesz i patrzysz, dziejom i ludziom zajrzałeś w oczy, widziałeś cierpienie, nędzę, ohydę, niedolę, nikczemność...

— Pytasz czy kusisz, szukasz czy deptać chcesz znowu surowo przerwał mu starzec.

A Śniałowskiemu dalej padały gorzkie słowa. Zapewne nie dosłyszał pytania.

— Myślałem nieraz, myślę... jakie dumania cierniową koroną krwawiły czoło jego, Który miłował, gdy na krzyżu przybity długie godziny oczami pożegnania spoglądał. . Ogarnął dal czasów, lichotę życia, daremność nauk swoich—zważył... Nie zwyciężył śmierci, nie obalił grzechu, odchodził pełen smutku... z żalu zgasyły oczy Jego... Manże wierzyć? Alboż nie wyrwała Mu się skarga, że opuścił Go Ojciec?... A tyle minęło wieków...

— Epoka stawania się... Zbliża się trzeci dzień dziejów, dzień Ducha...

Śniałowski uśmiechnął się i zamilkł. Usiadł na stołku, zasłonił twarz rękami, popadł w zamyślenie. Wówczas z łagodnych ust starca połała się cicha mowa nauki. Opowiadał, tłumaczył, wtajemniczał, poił żywą wodą wiary, krzepił chlebem wiedzy, pocieszał obietnicą przedwiecznych wyroków... Śniałowski nie słuchał. Słowa-ziarna staczały się w próżnię. Koiło go samo słodkie brzmienie głosu. W pewnej chwili wstał.

— Idziesz już?—nie zatrzymywał starzec.

— Tak, ojczy, późno...

— Zwalczyłeś niemoc?

— Służba—odparł sucho.

Po wybuchu szczerości, którego wstydzilo się i żałowało jego skryte serce, zamykał na wszystkie zamki drzwi duszy. Chwilę dumał na pręgu i cicho wyszedł.

— Przyjdiesz kiedy?—szepnął starzec, nie spostrzegłszy, że jego już niema.

VIII.

Hanka wysiadła z pociągu jedna z ostatnich. Za tragarzem, który niósł jej lekkie tłumoki, szła szybko ze spuszczoną głową, nie podnosząc spojrzenia, jak człowiek, który się kryje. Bała się — i przez całą drogę gnębiła ją ta nierozsądna obawa, że wszyscy znajomi, ile ich tylko jest w mieście, przeczują godzinę przyjazdu i wysypią nad dworzec — na spotkanie. Nie było nikogo, przynajmniej nikt jej nie zaczepił, niczyje ciekawe oczy nie „zagabnęły.“ Szczęśliwie dobrnęła do poczekalni, do pokoju „damskiego.“ Tu stała czas jakiś koło okna, jak gdyby myśląc nad czemś.

Tragarz niecierpliwił się, pytał ją o coś, namawiał, — wsunęła mu pieniądze, żeby odszedł sobie prędzej i nie nużył jej pytaniem, dokąd zanieść rzeczy. Nie wiedziała sama... Usiadła na fotelu wygodnie, głęboko, wsparła odurzoną głowę. Po twardych ławach trzeciej klasy — miękkie wytchnienie. Była zmęczona, i kleiły się ociężałe powieki, zbite ciało domagało się snu, który nie przychodził, odpędzany przez władzę, niestrudzenie czuwającą. Jedno mgnienie snu — i natychmiast błysk myśli, przesywającej ostrzem, świst, ściągnięcie batogiem... Tak było przez długie trzy doby podróży. Wydało się Hance, zaledwie przymknęła oczy, że ona jeszcze jedzie, że pociąg gwizdże i gna, że wagon turkoce i stuką, że uciekają krajobrazy pól, ogrodów i miast, że zacna Niemka pieczołowicie troszczy się o nią i z ubolewającym niepokojem szepce: czy prędko?... I wnet ocknęła się stępiona świadomość.

Poczekalnia II-ej klasy szara i martwa, za oknami — szary, zaspany poranek jesienny, w ustach nieznośna ekliwość... Trzeba iść... Z trudem dźwignęła głowę, z trudem wstała i wyszła. Na ulicy lazły jej natarcywie w oczy szyldy, odczytywane niegdyś machinalnie każdego dnia; poznawały ją domy, okna, sklepy, drzewa, poznawała i ona... Krzyżowały się natrętne wspomnienia, patrzyły ku niej — wśród krzyżowego ognia wspomnień i spojrzeń szła... Tu na rogu, koło tej latarni, kupowała u chłopaka kwiaty... więź pierwiosnków, marcowy dzień, blade, wiosenne niebo, młodzieńcze słońce, wiatr ciepły od pól, z nad rozmokłej ziemi, która chciwie dyszy głodną piersią... z kwiatami wracała do swego pokoju, tam pod № 32, nuąc coś o wiosnie, która była w sercu... Chwila daleka, jak słońce, które zaszło za góry, chwila obca i dziwna, jak uśmiech na twarzy śmiertelnie chorego... muśnięcie szczęścia niby widziana we śnie pieszczota matki zmarłej

przed laty... W tym magazynie robiła swoje sprawunki... uprzejma panienska witała ją przyjaźnie i gawędziły nieraz. Pewnego dnia uprzejma i blada panienska pokazała jej fotografię narzeczonego i prosiła o ułożenie wiersza...

Hanka kierowała się instynktownie ku dzielnicy miasta, najbardziej obcej. Dotarła do ogrodu. Na ławie pod drzewem, które ociekało łzami jesiennej mgły, spoczęła. Ostatnie liście szumiały jej nad głową urywanym, niedołącznym szelestem. W tej bojaźliwej mowie słabych istot tkwił smutek. Strwożonem seplenieniem nasuwały przypomnienie lata, niemiłe jak jęcząca opowieść o miłości w ustach bezzębnej staruchy, a jednocześnie chwytając się gadały o śmierci, o marnym końcu wszystkiego i drżały z zimna i opadały wolno, po jednym. Aleje były puste. Hanka błędziła po nich oczami bez celu. Osnuwała beztreściwą zadumą każde drzewo, każdą ławkę, ścieżki, ślady stóp przechodniów w błocie, gasnące istnienie trawników, pożółkłych z nudy, wierzchoły olbrzymich kasztanów, nad którymi mokrą i brudną płachtą wisało senliwe niebo, jakiś komin fabryczny, nagie gałęzie krzewu, zziębnięte kształty bogini na posagu, która mimo chłodu i słoty nie przestawała uśmiechać się mdłym jak cukier uśmiechem... Gdy ukazał się przechodzień, ruszyła dalej. Opowiadano jej przed rokiem, że w tym ogrodzie włóczy się niejaki starzec, zaczepia nieznanomych, spowiada, karcici i nawraca, że on ma dziwne spojrzenie, którem zgaduje wszystko... Uciekała...

Jakiś dom z białą kartką „do wynajęcia,“ jakaś gospodyni, jakiś pokój... Najęła odrazu. Gospodyni próbowała zawiązać rozmowę i obmacując wścibskim wzrokiem jej figurę a ubolewając nad ciężkimi czasy, ciągnęła ją za język — potem nie przeskadzał już nikt. Poczucie, że może tu zostać, że nie potrzebuje nigdzie iść, że nikt jej nie widzi, było prawie szczęściem, i pokój ten, najpodlejszy, z żółtem obiciem, z tandetowymi sprzętami, z ogłupiającym widokiem na ciasne podwórze, z Janem Sobieskim na wstrętnym oleodruku, z lustrem, pociętym w napisy, Hanka powitała jak przyjazną pomoc, jak przystań. Wałęsała się leniwie bezbarwnymi myślami wśród tych ścian, przypatrując się to zakurzonej o połupanem malowidle ramie okna, to pękniętej szybie, to wąsom królewskim, to wytartej podłodze i poczyniła mnóstwo niezajmujących odkryć. Dostrzegła niedowcipny wiersz, wpleciony między wzory tapet a pod nim opatrzony wielu wykrzyknikami czyjś wyrzut: byłem!!!, zauważyła, że ktoś na stole zapytonym wyrysował koguta, doszukała się w plamach na suficie podobieństwa do rogu obfitości, odnalazła na wizerunku Jana III-go

dziurę, jak gdyby od pchnięcia nożem... Wreszcie zapadła w mocny sen. Zbudził ją gwar w mieszkaniu. Nie mogła zrazu zrozumieć, gdzie się znajduje—spływał już zmierzch. Tłumoki, rzucone do kupy, przypominały jej podróż i wszystkie szczegóły dnia, i natychmiast wzięła ją w posiadanie owa czuwająca w niej nieustannie władza, która nie była cierpieniem, a tylko niemilknącą panią nieszczęścia, władza chłodna i obojętna, z której rodziła się śmiertelna obojętność na wszystko. Od szeregu tygodni Hanka znajdowała się w tej trawiącej życie mocy. Czasami odzywał się ból, ale zaraz gasł, jak płonąca żagiew, zanurzona w kałuży, i znowu następowały godziny zupełnego zaniku wszelkich sił, ospałej bierności, niemrawego niedołęstwa, godziny nicości. Oczy nie chciały patrzeć, dźwięki nie dochodziły do stępnego słuchu, bezwładne ręce nie mogły utrzymać przedmiotów, chwiały się nogi, każdy ruch utrudzał niezmiernie, samo fizyczne istnienie stawało się tak nieznośnem, jak wstrętnym był ów smak czczości w ustach, i Hanka tęskniła do nocy, do snu, do śmierci, do nicości prawdziwej, w którejby znikły świadomość i pamięć. Ale sen nie przychodził. Dopiero dziś pokrzepiła się jego ciemnym napojem i trochę raźniejsza wstała.

Po herbacie uporządkowała rzeczy i przygotowała pościel, pościerała kurze, wytrzeptała i rozwiesiła suknie, potem myła się, czesała mokre włosy, a, gdy obeschły, zaplatała warkocz, jak za dawnych lat w domu rodzinnym... Przypomniały się jej dalekie wieczorne chwile, paniński pokój, wspólne pacierze, błogosławieństwo matki, bosa gonitwy z siostrami, wybuchy wesołości, ciche dumania o tem, co będzie, o życiu tajemniczem, o ziemi obiecanej przyszłości, marzenia po zgaszeniu świecy przed zaśnięciem, marzenia, które kołyszą... „Hanus“—słyszała głos sióstr—Hanus, gdy wyjdiesz za mąż, przyjedziemy do ciebie...

— Spijcie...

Za oknami gwizdał stróż nocny, ujadaty psy, i lipy szumiały, lipy wysokie, ciemne, dostojne...

Jak biały żagiel na morzu ukazała się przeszłość, zamajaczyła, znikła... Przed wzrokiem była pustka, szara roztocz...

Hanka zabrała się do jakiegoś zajęcia, spróbowała wepchnąć myśli w wąskie koryto obojętnych spostrzeżeń.

— Hanus!—słyszała znowu—gdy wrócisz do nas z podróży, opowiesz nam o wszystkim, coś widziała... — prosiły siostry w wigilię odjazdu. I usiadły wszystkie cztery na łóżku i nachylały się ku niej, szepcząc, pytając. Uśmiechała się do nich szczęśliwa...

Dlaczego teraz po dniach zapomnienia odezwał się ten głos? I brzmiał dla niej jak płacz daleki... Kędyś, w oddali, nad jakimś grobowcem łka przeszłość... szumia lipy rodzinne nad cichem, nad bezpiecznym gniazdem... A niema powrotu, niema...

Splotła jakoś zabawnie ręce, przytuliła je do twarzy, skurczyła się, jak gdyby z zimna, zamknęła oczy...

A myśli rozlały się gwałtowną powodzią wspomnień, smutku, żalu, skarg... Nie było rady... Hanka musiała płynąć z nimi, tonąć, iść na same dno, kędy legła jej niedola. Gdy tygodniami gniołło ją, niby ciasna i ciężka zbroja, znużenie, wzywała odżywczej mocy bólu,—teraz z otwartą raną, w którą cierpienie sypało żarzące się węgle rozmyślań, wołała już tamto odrętwienie. Przymus czyjejś woli prowadził ją przez rozłogi boleści. Widziała dawne lata, skupione w jedną całość niby na obrazie, zalane jasnością, i szybko przebiegła po nich oczami, szybko odwróciła się tak jak odwraca się od domu rodzinnego, żeby nie płakać, syn, wygnany przez ojca, sięgnęła bliżej, ogarnęła spojrzeniem ten rok ostatni, tułaczy, to „szczęście...“ Dotąd z tchórzliwością, właściwą ludziom słabym a świadomym swego upadku, nie odważyła się ani razu uprzytomnić sobie przeżytych kolei i żyła, nie myśląc. Tem badawczej przeto przyglądała się teraz. Przesuwały się chwile, dni — a ona z pewnem okrucieństwem wydobywała najdrobniejsze szczegóły... Opowiadała sobie samej, szperała, jak gdyby w celu doszukania się czegoś... Ale mimo jej woli szyderczej, mimo chęci, naigrawania się wspomnienia układały się w strofy jakowejś pieśni tęsknoty... Przesuwały się chwile, dni...

Wyjazd. Miesiące wstydlive, zarumienione, płochliwe, niepewne, drżące, jakoby od ciągłego oczekiwania szczęścia, ręce wyciągnięte a powstrzymane bojaźnią, szept przecuć na ustach, niepokój trzciny, chwiejącej się nad głębiami, chłodny dreszcz przed zasłoniętym obliczem przeznaczenia, długi, czarny cień, nieodstępnie sunący za nią, cień grzechu i jakiś żal... Jezioro w górach najcudniejsze, marzenie we dwoje, łódka, senna chełba, obłok na niebie i obłok tam, na dnie toni, pocałunek, skradziony jej ustom, uśmiechniętym do szmaragdowej fali, pierwszy pocałunek oddany, śmiech niby dwojga dzieci, rozkosz oporu i oczy jego, wierne, pokorne, posłuszne, żebrzące...

Lato nad morzem w zagubionej wsi, ślub miłości, dni upojenia, błogie niemoce, poddanie się woli, uległość serca, upalny żar południa, leniwy sen zapomnienia o wszystkim...

I złote tygodnie jesieni, tygodnie wspólnej pracy, rzeźkich zapałów, nieskończonych projektów, śmiałych planów, dobrego gwarzenia o przyszłości, tygodnie przyjaźni dusz i bezpiecznego obcowania, wiary i przywiązania, spoczynek słodki pod skrzydłem kochającej opieki, oczy jego miłościwe, zwycięskie, panujące, oddane... wspomnienie kraju i żal cichy, jak szelest złotych liści, deptanych stopą... trochę tęsknoty—nietroskliwy lot ptaka, który wie, iż wróci do spokojnego gniazda...

Olbrzymia stolica, pracowite, pośpieszne dni, zachwyt i zawrót wrażeń... ich pokój, lampa, oboje pochyleni nad książkami, wieczory szczęścia, nieliczne...

Tu urywała. Nie mogła już opowiadać samej sobie.. Pismo dni stawało się nieczytelne, łzy zamazały całe stronicę, ból pojął obraz ostatni ostrym nożem... Zostały strzępy...

...Kiedyś tam — ach tak, przy śniadaniu powiedziała mu... Powiedziała mu ona... zwiastowała wiadomość, za którą w książkach — czytała sama w niejednej — mężowie całują żony „w różowe uszko...” zachmurzył się i patrzył długo w okno, gwizdał... pamięta wyraz jego oczu, chłodnych, niezadowolonych... Rozplakała się... On wyszedł z pokoju, nie wracał, wrócił późno w nocy... I coraz częściej, codziennie to samo... Zapadło między nimi milczenie i tkwiło jak mur, coraz grubszy, wyższy, ciemniejszy... jakaś sprzeczka i trzaśnięcie drzwiami — potem milczenie... powoli wykluwała się nienawiść... Unikał jej oczu i czuła to, że on jej poprostu nie widzi... Odezwał się raz, żeby zwrócić jej uwagę, iż zbrzydła bardzo, może śniał się nawet .. wybuchła... Słowa, których wstydziła się, myśli, o których istnieniu nie wiedziała, polały się z jej ust, jakoby z cudzych ust... I jeszcze raz powtórzył jej, iż jest brzydka, zwłaszcza, kiedy się gniewa... Pewnego rana czytał w fotelu... na palcach zbliżyła się, pochylała się, objęła głowę jego z gwałtowną pieścizną... Ileż razy dawniej było to hasłem do zabaw rozkosznych, serdecznych, podchmielonych! Sarknął — i dostrzegła grymas wstrętu... Nie odepchnął jej, ale przywarł powieki... — cofnęła się...

Długie dni szpetnego cierpienia na radosnym szczycie... taki był koniec słonecznej pieśni, ten kres szkarłatnego gościńca, takim to „szczęście całowanych ust...”

Hanką wstrząsnął śniech. Błyszczącymi oczami patrzyła teraz przed siebie wyzywająco, patrzyła w ścianę, jak gdyby widziała tam za nią coś czy kogoś, i piekła spojrzeniem.

...ohydne godziny kłótni, obrzydliwe wrzaski słów nienawiści i wstrętu, podły płacz złości, rozpaczy, słabości, płacz samo-

tny... noce bez snu, plusk deszczów, głód, znużenie, bezmiar miasta, w którym nie było nikogo, nikogo... Wreszcie bunt dumy—porzuciła, przyjechała tu... rwała się do kraju, tęskniła niby do drogich objęć, niby do ukochanej piersi, do której można przytulić głowę — i oto ten pokój, gospodyni... życie, bo żyć trzeba od jutra, ulice... tak, żyć trzeba od jutra... — odskoczyła od tej myśli, jak gdyby się sparzyła... Na to jej przyszło, jej, królownie z baśni, dziecku, które kaprysi ze szczęścia, ptaszynie wiosennej—i on, Stach, brat duszy, kochanek serca, mąż poślubiony na wieczność i owa nieskończoność, wzięta w ramiona, ów byt...—zaczęła szydzić słowami, znanymi dobrze, słowami Rzyżniewskiego z dziwną, szubieniczną wesołością, z którą od pewnego czasu przywykła sobie traktować. Był to nałóg tak jak śmiech, którym co chwila godziła w siebie niby szpilką, i była to bezwiedna zemsta. Łapała siebie samą często na pospolitej ironii w stosunku do siebie, na spłowiatach płytkich żartach. Nie umiała już cierpieć jak niegdyś, gdy boleść była hymnem duszy, podniosłą mocą życia — złość zjadliwa, cierpka, miążka, niby sproszkowany korzeń trujący mieszała się do cierpienia.

Stach, Stanisław Kazimierz Rzyżniewski, szczęśliwy pan, promienisty Apollo, ten, który klęcząc przed nią, zatrałił w radosny róg i zabrał ją do złocistej karocy życia i wioził na gody—zgrzytała, dotykając pękniętych strun. Nie wiedziała teraz, czy ona kocha go jeszcze, czy ona wogóle kochała go kiedykolwiek. Miał nad nią władzę i bała się go od pierwszej chwili, przenikał ją swoją mocą, roztaczał namiot pokusy—i wziął jako rzecz bezwolną. Potem w jej kobiecem, wdzięcznem, miękkim sercu wysnuła się ze złudzeń, z potrzeby kochania, z tego, że przywykła, mocna nić przywiązania, a ona przędała z niej stułę poślubną na życie i marzyła o spokojnem gnieździe szczęścia. Przecież roily się jej przez długie lata lazurowe bajki, dobre wróżki, królewicze, pałace z kryształu i błędziła po zaczarowanym lesie, szukała, czekała... A wzięta ją za rękę piastunka odwieczna, najrodzeńsza i najwierniejsza, najbardziej troskliwa... Piastunka-niedola szepce surową prawdę o życiu i kołysze człowieka dziecko, kołysze póty, aż zakołysze na sen śmierci... Im prędszej, tem lepiej.. będzie ten koniec cichy... dla niej, kto wie, może już blisko... umrze przy połogu...

Znużenie ogarniało Hanę, więc szukała pociechy i znajdowała ją, jak zwykle ludzie niezdolni do walki a złamani nieszczęściem, w przeczuciu rychłej śmierci. Oddawna, prawie od chwili, gdy zrozumiała swój stan, uknuła z losem, w którego litościwość

wierzyła jeszcze resztkami dawnej, młodej wiary, spisek na swoje życie i liczyła miesiące, czasami z trwogą, najczęściej, gdy ciężar niedoli gnębił nad siły, z radością. Wiedziała, iż już zbliża się ten dzień, zdawało się jej nieraz, iż słyszy, jak bije i kołace w niej to drugie, tajemnicze serce. Zatajała oddech i z jakąś niezmiernie czułą ciekawością przechylała się, żeby przekonać się naprawdę, zbadać tajemnicę łona, złowić uchem. . I nie słyszała nic. Zato potem niespodzianie nagłe poruszenie obcego obdarzonego własną wolą ciężaru przypominało . Każdego wieczora spodziewała się i żegnała się znakiem krzyża i kładła przy łóżku koszulkę, którą uszyła w sekrecie z jakiejś resztki płótna, żeby ci, co znajdują dziecię, gdy jej już nie będzie, mieli w co odziać nagie ciało... Łzy płynęły z oczu, łzy niewiadome... Wzrokiem bezwiednie przerażonym patrzyła ku tej godzinie, która miała przyjść, w której trzeba będzie własne życie oddać istocie nieznamnej... Była pewną, że stanie się tak, jak ułożyła sobie.

„Przynajmniej spocznę w ziemi rodzinnej“ — pomyślała z ulgą i jąła rozbierać się. Zgasiła świece — mgnienie trwogi — może to dziś? Wsłuchiwała się w siebie... ze zmęczenia zasnęła.

Nazajutrz od rana usiadła przy oknie. Podwórze było nudne, jak rozpostarty nad niem szmat szarego nieba, jak słotny październik. Jakiś stangret w zielonym fartuchu, zakasawszy rękawy koszuli, mył powóz. Woda ściekała ze skrzydeł, z kół, ze stopni... Przyglądając się bezmyślnie temu zajęciu, Hanka sięgnęła do torby podróżnej po sakiewkę i zabrała się do liczenia pieniędzy przez niespodziany odruch rozsądku praktycznego, którym nie odznaczała się w życiu, najbardziej zaś z nudy. Z nudy układała systematycznie swoje bogactwa: papierki osobno i osobno miedziaki, srebrne ruble do kupy, ze złotych utworzyła krzyż, który ozdobiła pośrodku złotą monetą. Bawiła się, jak dziecko piaskiem. A wyczerpawszy cały zapas gotówki, zdziwiła się, że jest tak mało.

Przed wyjazdem sprzedała zegarek, futro, niepotrzebne suknie, cyfra franków wydawała się dużą i nie troszczyła się o przyszłość. Gdzież się podziało? Przeliczyła jeszcze raz drżącymi palcami... to, co jest, starczy na kilka dni... nie wystarczy na komorne... gospodyni przyjdzie i zażąda... każe wyrzucić ją na bruk... i ten dach nad głową, który powitała prawie ze szczęściem... trzeba będzie pójść stąd, pokazać się ludziom... Hanka poczęła trząść się...

Puszczając się w podróż, przewidywała wiele rzeczy: pogon Rzyżniewskiego, i dlatego obrała niezwykłą marszrutę, rozbitcie

się pociągu, czego pragnęła całym sercem, spotkanie ze znajomymi na dworcu i kryła się, więzienie z powodu przeterminowania paszportu, śmierć — tylko tego nie przewidziała... prawdy, rzeczywistości, istotnego nieszczęścia...

Znała wszystkie cierpienia, męki, smutki, znała wstyd, który wyżera oczy, samotność, nocie płaczu, krzywdę, poniewierkę, nienawiść — pozna nędzę.

Trzęsła się i szczękała zębami. Opuściły ją ostatnie siły, zamarta zdruzgotana najgorszym ciosem wola. Wystraszonymi, szeroko otwartymi oczami spoglądała w drzwi, pochylona naprzód, z wyciągniętą szyją, w postawie zdrewniałego, przerażonego oczekiwania. Tak siedziała zwykle tam, w stolicy, tak spędzała nieraz całe dni, wyczekując, kiedy on wróci, bojąc się, że już nie wróci... Gospodyni stanie na progu z uśmiechem, poprosi o pieniądze od niechcenia, bardzo uprzejmie... Jakieś niedołęzne myśli snuły się po głowie, z ust spływały tchórzliwe skargi, żebracze błagania.

Kto ją tak gnębi? Bóg, los, jej własna wina? za co? za co? czyje miłosierdzie zlituje się nad nią?... Może pójść gdzie, do magnatów, opowiedzieć?... opisać w gazetach... do kościoła i zostać tam pod opieką Boga... księża, słudzy Boga... Są serca dobre, jest społeczna pomoc... Człowiekiem jest, kobietą słabą... alboż może człowiek zginąć pod płotem... Chciała zastukać w okno i zawołać stangreta o czerwonych, mokrych rękach, żeby poszedł do swego pana w jej imieniu, miała zadzwonić, wezwać gospodynię i wyznać jej wszystko... potem przypomniała się jej panna Malinowska, która żyje wesoło, bez troski... Gdzież są ci możni wielbiciele pięknych kobiet? Gdyby znała choć jeden adres! Panna Malinowska wskaże, dopomoże, zaprowadzi... Cnota jest rzeczą wspaniałą, ale nędza, twarda, czarna, lodowata... Kędyś tam, daleko, w wielkim i wesołym mieście, o tej godzinie pan Rzyźniewski przy biurku, paląc papierosy, pisze wytworną powieść, kędyś tam, w cichym zacienionym dworze wiejskim, matka, która ją kocha — a ona, a ona?... W alejach ogrodu ciemne szumy, wśród brzoź mogiła brata, ojca... zmarli nie cierpią... Kto zabronił człowiekowi umrzeć, kiedy ani sił, ani ochoty, ani możliwości... Spuszczono na nią sfory psów, zaszcuzto... Wszystkie niedole już były... jeszcze nędza... Tam trzeba jej zejść na same duo, do ostatniej jaskini... Żebrać? Jakiż wstyd? niema wstydu... owszem zabawnie... Od drzwi do drzwi po schodach, do uśmiechniętych panów z wyciągniętą ręką... wypchną, wypędzą... jak pies cierpliwy włóczyć się będzie... ktoś pożałuje... dziecko przez

szparę drzwi wsunie dwa grosze... życie winno być pieśnią radośną człowieka silnego, odkąd Bóg cierpienia, żalobny upiór czasów umarł, odkąd wola odważna i dumne pragnienie—plątały się jej myśli...

W pewnej chwili zacięła zęby i powiedziała sobie, że zostanie tu, że dobrowolnie nie ustąpi, że tu w tym pokoju umrze z głodu. Niech wiedzą ludzie... Mijały godziny, i łały się z jej oczu łzy.

Płakała nie dlatego, że strawiło ją nieszczęście, że jest samotna i sponiewierana, w nędzy ostatniej—płakała z żalu nad sobą, nad upadkiem własnym, tak wielkim, iż całowała by w tej chwili każdą rękę, któraby jej rzuciła jałmużnę.

IX.

Promień słońca błysnął na ścianie, i, witając go oczami, Hanka zastanawiała się chwilę, czy nie jest to już uśmiech wiosny. Upłynęło bardzo dużo czasu, minął długi szereg dni, które zaszły w mgłę, po których została pamięć niepewna, powikłana i zatarła, jak wspomnienie sennych przywidzeń. Może to i były tylko sny? Tam, kędyś w odległej przeszłości jej powrót i niedola pierwszych dni, potem to wszystko! choroba i bóle, drobne i drogie ciałko dziecka, sine usta rozchylone w krzyku, pod czołem czerwonem, surowo zmarszczonem dwa czarne, żywe patrzące guziki, moment pieszczoty i radość rąk tulących, śmierć i chłód tego ciałka, martwy żal usteczek, szklana bezmyślność oczu zastygłych, nieruchomych, niepotrzebnych, nieme poczucie niemej krzywdy, niebieska trumienka ze srebrnym galonem, pustka, noce gorączki, dnie majaczeń, tłum obcych osób, pan w białym fartuchu z rękami, których zapach przypominał aptekę, pani mileżąca o ruchach powolnych, zagadkowy róg obfitości na suficie, poprzeczne zmarszczki na czole Andrzeja... Stopniowo odzyskiwała świadomość. Poznała rozkosz jedzenia, przyjemność spoczynku, gdy nie dolega, zabawę myśli, dziecinnych, prostych, zadowolonych z byle czego, radość serca, otoczonego dobrocią ludzką. Przekonała się, że ludzie są przyjaciółmi. Przecież gospodyni, chuda pani z koleczkami, wpadła do niej niegdyś, niegdyś, gdy zaniemogła i opiekowała się nią, i Andrzej... Skąd on się wziął? Ileż razy ona widziała go w tym pokoju, przy łóżku! Był wczoraj,

przyjdzie zapewne... może wówczas, gdy zgaśnie ten promień? Z uciechą Hanka wpatrywała się w śmiejącą się jasność słoneczną... człowiekowi niewiele potrzeba do szczęścia...

*

*

*

W rannych godzinach przeglądała gazety i nową powieść Rzyżniewskiego pod tytułem „Czerwie,“ zapisywała przelotne myśli, odczytywała Nowy Testament, bawiła się z kotem. Badała kota z ciekawością, z zachwytem, z lubością. Wydawał się jej mądrym i doskonałym z tym swoim niezmaconym spokojem, z wytrawną wiedzą o wszystkim z niezrównaną celowością każdego ruchu. Istniał sam dla siebie, i wystarczał sobie, miał jeden cel wyraźny i prosty, który osiągał trafnie każdej chwili... Jak duch lekki i ostrożny wsuwał się, wskakiwał na okno, gdy świeciło słońce, siadał, patrzył, strzygł czujnymi uszami, od czasu do czasu wywijął egonem; w dnie słotne kładł się u niej na łóżku, mruzczał, drzemał, przymykał i otwierał senne, żółte, nieruchome oczy, mył się, potem w jakimś jemu tylko wiadomym zamiarze, znikał na resztę dnia... A Hanka zastanawiała się nad jego istotą, nad jego istnieniem, powtarzała sobie, że należy uczyć się od niego żyć... Roztargnioną ręką przerzucała Ewangelię. Opuszczała ustępy bolesne, myśli wysokie i trudne, słowa cierpienia, szukała piękna i jasnych obietnic. Lubiła przebywać w mieście, które zowią Sychar, podłe studni Jakóbowej w godzinę upału letniego z oną niewiastą samarytańską i marzyć u stóp Jezusa, spracowanego z drogi, o wodzie, która gasi pragnienie na wieki... Widziała gorący lazur nieba, południową białość słońca, spieczone piaski, słodycz cienistego ustronia, ciche drzewo, chwiejące wierzchołkiem zamyślnym bez szelestu, znużoną twarz Pana i wielki spokój, który był dokoła, gdy On mówił... Lubiła tonąć w niezgłębionej zadumie nad jakimś werselem, którego nie rozumiała, nad wyrazem, pełnym tajemnego znaczenia, zgadywała słowa, które Pan pisał „schyliwszy się na dół palcem na ziemi,“ gdy doktorowie i faryzeusze przywiedli niewiastę grzeszną, śniły się jej błonia zaświatowe, jasne w wiekuistym świtaniu, nieprzerwana wiosna dusz, królestwo miłości... I była tam marzeniem...

Z uśmiechem łaskawej radości wracała do życia...

*

*

*

Przeszłość wydawała się jej nietylko bardzo odległą, ale także zupełnie obcą. Choroba i to wszystko, co było, porwało związek między nią dzisiejszą a tamtą w minionych okresach życia. Zmieniła się bardzo. Odmieniły się myśli i uczucia, innemi były oczy, inaczej śmiały się usta. Ktoś przebudował jej duszę, i zamiast zawilego przybytku o licznych zakamarkach, o tajemniczych celach i podziemnych mieszkaniach jest jeden widny pokój, pełen słońca. W pokoju — zwierciadło, które przyjaźnie odbija przedmioty, zjawiska, chwile i świeże polne kwiaty radości. Zapełniają go gwarem myśli, które polatują, niby ptaki, gawędzą, niby dzieci. W tym gwarze, wśród polnych zapachów, upływają dni. Nie trudno jest żyć, byleby poznać prawo... Zapatrywała się na ludzi i zdarzenia z nowego, a niezniernie uproszczonego stanowiska. Nie czuła wdzięczności za okazywaną jej dobroć i przyjmowała wszystko z prostotą. Przecież i ona, gdy wyzdrowieje, odda im, odpłaci, zwróci stokrotnie, przecież ten jest cel...

Na świstkach papieru w tym czasie zapisała następującą uwagę:

„Życie jest jak wartka rzeka, której wody niosą człowieka lekko i szybko z fali na falę. Nie trzeba żadnego wysiłku, dość poddać się i płynąć. Porównanie stare, jak świat, i myśl zupełnie zwyczajna, a jednak istnieje stare, jak świat, nieporozumienie. Wymyślono sztukę pływania i ludzie zmagają się z prądem, płyną rzekomo o własnym trudzie, ze śmiesznem i niepotrzebnem wywijaniem rąk i nóg. Zmęczą się biedacy... A nurty jednak umykają jak z tym, co walczy, tak i z tym, co uległ biernie, nikt nie popłynie dalej, nikt dłużej...

„Jesteśmy także, jak wędrowcy, z których każdy ma jeden dzień podróży od wschodu do zachodu słońca. Droga wije się wśród ślicznych krajobrazów... niebo, przedziwne obłoki, łany, kwiaty, szept konarów. Zdawałoby się, że tym wędrowcom — marzyć, dumać, iść wolno w pogodnem szczęściu tych, którzy zadumani marzą... Tyle radości, co do wieczora, tyle pociechy — co w oku z patrzenia, a w sercu z marzenia. A człowiek? człowiek zagarnia, co tylko znajdzie pod stopą, napycha do siebie swoją piaskiem gościńca, odbiera innym, albo zazdrości i obciążony wlecze się, zajęty tylko noszą, i zrzędzi, zaniepokojony, by mu nie wyrwano torby. Zapada wieczór — kres...

„Tłómaczę się może niejasno, ale widzę jasno. Życie znaczy — iść, płynąć, mijać, spoglądać, cieszyć się... Nie chcę torby... poznałam wielkie kłamstwo ludzkie...“

*

*

*

Zerwała w tym okresie stosunki z cierpieniem, nie znała także wstydu, który rodzi się z tchórzostwa, z fałszu, ze słabości. Myślała głośno. Ze spokojną prostotą opowiadała Andrzejowi o podróży, o twardych dniach nieszczęścia, o wielkiem, już zapomnianem, kochaniu młodości, o swojej tęsknocie za dzieciną, o pannie Malinowskiej, o matce i domu rodzinnym, o Rzyźniewskim... Rzyźniewski obchodził ją tyleż, co możnego pana obchodzi nabywca dalekiego, mało znanego, a sprzedanego z dobrym zyskiem majątku. Dowiedziała się, że on wrócił, że chciałby ją odwiedzić. Zgodziła się łatwo i przesłała nad tem do porządku.

— Byleby nie przeszkodził nam...

— W czym?

— W naszej wycieczce...

Układała oddawna projekt wycieczki za miasto we dwoje z malarzem.

— Pan zna okolice podmiejskie? — mówiła z zapałem — pan musi wiedzieć... Śnił mi się niekiedy w chorobie las liściasty, już konający na jesieni... Szłam przez jego szumiące przesmyki po pośnaniu z liści, miękkim, pachnącem, suszczącym pod stopą... Mknie tam rozpadliną bystry ruczaj, który unosi liście, bełkocie i chłodny odbija tajemnicze głębie, czarne dziwy lasu... jest w pewnem miejscu osina, drżąca w purpurze opończy... pójdziemy tam... — i podnosiła na Andrzeja pogodne oczy, jak gdyby czekając.

— Z kotem? — żartował malarz.

— Tak.

— Tylko, że nie wiem, poco ten kot...

— A pan taki do kota podobny — śmiała się.

— Ten sam szczęśliwy spokój, ta sama doskonała celowość, takie same proste rozwiązanie zagadnienia życia — dodała ciszej.

Zajęty był rysowaniem jej profilu i nie odpowiedział nic. Patrzała na wytężenie jego czoła przy pracy, na rękę jego, w zarys wąsów.

— Myślę często o panu — mówiła dalej cicho — badam pana. Takich ludzi, jak pan, nie spotykałam jeszcze. Brakuje panu dwu rzeczy: nerwów i wyobraźni... dawniej nazwałabym to brakiem duszy lub serca. Jest pan trzeźwy nad wyraz, nie stroi się pan w piękne uczucia, nie używa pan pięknych słów, pan nie zna tęsknot i polotów... Pracownik z pana, pogodzony z rzeczywistością. Ani buntów społecznych, ani wątpień religijnych, ani cierpień narodowych... Pan robi swoje, nie dbając o resztę. Tak samo chłop orze zagon, przekonany o najistotniejszej doniosłości

swego trudu, tak samo drzewo na wiosnę puszcza pędy, zieleni się i rozwija, tak samo ziemia rodzi...

Andrzej zasepił się i milczał. Nie lubił rozmów poufnych.

— Wie pan—odezwała się Hanka—gospodyni wyobraża sobie, że pan jest moim mężem. Nie wyprowadziłam jej z błędu... zresztą wszystko jedno... — zamysliła się.

— Przywykłam do pana — rzekła po chwili — dziwnie przywykłam... dawniej nie rozumiałam pana, teraz wiem... dojrzałam... proste i dobre życie z panem... szukałam daleko, szukałam głęboko i szkoda tych lat...

A potem spytała ze zwykłą prostotą:

— Pan także polubił mnie? Ja wierzę, że tak — odpowiedziała za niego.

Nastąpiła cisza. Malarz przemazał rysunek i rozpoczął nowy, pochylał się nad papierem, od czasu do czasu ogarniał Hanke szybko, zawodowem spojrzeniem. Ona zaś spoglądała w niego oczami, pełnemi blasku, uśmiechu, szczęścia i wiary.

— Cierpiałam wiele... za to teraz dobrze jest — szepnęła i dziękowała mu wzrokiem.

— Niech pan nie rysuje — poprosiła.

— Dlaczego?

— Pan zanadto zajęty i trudno rozmawiać...

Nie przerwał wszakże pracy.

— Czy pan ożeni się kiedy?

— Chyba nie...

— Należałoby, panie...

— Wyrosną kłopoty, przybędą niepokoje — uśmiechnął się. Hanka zamilkła.

*

*

Pewnego wieczoru przyszedł później, niż zwykle, i zaraz w pierwszej chwili uderzyła ją dziwna w nim zmiana. Palicy mu się oczy, wąsy miał podkręcone, twarz była blada, i rozlewał się na niej wyraz sytości, zadowolenia, tępej wesołości a także znużenia, wyraz bezmyślnie swawolny, bardzo marny i głupi. Zalaatywał od niego zapach perfum. Błyszczącemi oczami patrzył, a rozumiała doskonale, że on jej nie widzi, że nie dba o nią, że

spojrzeniem ślizga się po niej, jak po rzeczy martwej, że myśl oczu została gdzieindziej. Usiadł blisko, położył ręce na stole, zagapił się z uśmiechem na ustach, może wspominając coś.

— Co słyhać dobrego? — spytał niedbale.

Zamiast odpowiedzi ogarnęła go wzrokiem i ujrzała wyraźnie w bezwstydnem jasnowidzeniu postać kobiety, którą tulił w ramionach, do której przysuwał usta, ocienione wąsem, do której śmiał się pożądlivym połyskiem oczu, której oddawał siebie, której był własnością. Słyszała śmiech tamtej, śmiech dwojga — coś niby rzenie, paliła się przed nią ta miłość, natrząsał się z niej ten obraz, ohydny a dokładny, jak prawda. I zamarło jej w dostojnym znaczeniu serce. Uczuła ból fizyczny, zmałyły się myśli. Z nagłego osłabienia zwiesiła głowę. Strugi piekącego płomienia płynęły przez nią. Chciała coś wykonać, pragnęła czegoś namiętnie. Może, by odszedł stąd nazawsze, może, by on wziął ją w ramiona, jak tamtą. Obezwładniał ją cyniczny zapach tych perfum. Przypomniął się jej namiot ognisty, który już raz władza nieznaną i wszechsilną rozpiniała nad nią... Domyślała się, rozumiała, wiedziała, słyszała wyrok nad sobą... Andrzej przyglądał się jej z głupim, obcym uśmiechem, który należał do innej...

*

*

*

Odwiedzał ją często, przynosił książki, gazety i nowiny z miasta, zabawiał ją, roztaczał przyjazną opiekę—i wszystko było jak dawniej, tylko ona zmieniła się. Miała jakiś ukryty żal... Czasami drażnił ją każdym ruchem i każdym odezwaniem się, niezmaconym spokojem, pogodnym uśmiechem, serdecznym ale zimnym podaniem ręki, akcentem, błędami językowemi, i sądziła go surowo, pomawiając o oschłość serca, o trzeźwość przyziemną i martwość duszy. Zadawała mu pytania, które wprawiały go w kłopot, które zbywał milczeniem, mówiła górnice i sztucznie, gniewała się, że nie mógł, czy nie chciał za nią nadażyć, że nie rozumiał jej, szydziła z prostoty, którą nazywała prostactwem, wytykała mu ubóstwo duchowe, obojętność, zadowolenie z siebie... Stawała się wymagającą, niecierpliwą, sztywną, sama kopała nogą słodką przyjaźń ich serc... A znowu nazajutrz, dręczona rzewnym wyrzutem, ujęta jego dobrocią, że mimo wszystko

przychodził, witała go pokornie łagodnymi, olśnionymi oczami, i długie godziny gwarzyli w świetle radości.

— Mój dobry panie, zostań jeszcze! — prosiła, trzymając go za rękę.

Zostawał, — mijał wieczór świetlistą falą. mijał, i kładł się tem dłuższy, tem ciemniejszy cień smutku...

Któregoś dnia, niespodzianie, jak przed rokiem, zwiastował jej swój wyjazd. Nie powiedziała mu nic na razie, a po długiej chwili milczenia wycedziła obojętnie:

— Dobrze, niech pan jedzie...

I odwróciła się do niego plecami, patrzyła w okno. Kiedy to niebo było takim? Niebo niskie, szare, nieznośne, płachta nudy... widziała, widziała... w dniu powrotu... tak...

Andrzej opowiadał coś o swoich siostrach, które wydawał za mąż, o bracie, który kształcił się w średniej szkole rolniczej, o płodoznośności i dachach ogniotrwałych, o tkactwie i brukowaniu wsi...

Zauknęła się w wyniosłej dumie—nie słuchała.

— Pani gniewa się na mnie? — zapytał przy pożegnaniu.

— Ja na pana?!

— Niech pani będzie zdrową i wesołą... może i pani w swoje strony... niema, jak wieś... do widzenia...

Mocny uścisk dłoni... Wyszedł... Wówczas zerwała się z krzesła—na palcach do drzwi,—przyczaiła się, przez szparę patrzyła... szukał parasola i kaloszków, niecierpliwiał się, porządny był...

— Proszę pana na chwilę...

Wrócił.

— Może pan napisze do mnie — mówiła na progu.

— Dobrze... chociaż ja do listów nie tegi... nie lubię...

— Proszę pana... jeszcze jedno... pan wydał dużo pieniędzy... ta moja choroba... pan opłacał... — łamał się jej głos — dziś zwrócić nie mogę... nie wiem kiedy. .

Ujął jej rękę.

— Pani, takie głupstwo... kiedyś tam, kiedyś... zwyczajna rzecz między kolegami... — mówił z prostotą, przyjaźnie.

— Przyjmowałam z nędzy — rozplakała się.

Odprowadził ją do krzesła, usadowił, próbował uspokoić, zabawiał rozmową, jakimiś żartami.

— Jak pani wyzdrowieje, napisze pani piękny poemat. Wiersze pani podobają się bardzo. Jest tu Obroński, bogaty pan, który kupuje moje obrazy... chwalił talent pani, mówiłem mu o pani...

Oczami, które obeschły już, oczami zdziwionemi i zawiedzionemi przypatrywała mu się. Potem dwie zmarszczki wystąpiły na jej bladym, zużożonym czole. Myślała...

*

*

*

Była sama. Wstawiała, szła do okna, spędzała tam godziny. Miejsce pamiętne, drogie, bolesne. Drugie krzesło puste, nieporuszone... Stangret w zielonym fartuchu codziennie mył powóz—wspomnienie dnia straszliwej niedoli... Szły myśli... Nie umiała już żyć, jak dawniej, szczęściem oczu i serca, radosnem mijaniem chwil—marnowała się zdobytą wiedzą. Zamknęła na zawsze Ewangelię, chłodną książkę przymusu i cierpienia, trudną, niedostępną książkę, pisaną dla innych, dla tych, którym nie brakuje niczego, oprócz zbawienia, gniewnie wypędziła kota... Przeglądając nakreślone uwagi, owoc niedawnych dni, nie poznawała ani koszlawego pisma, ani niedołęznego stylu. Uśmiechnęła się nad dziecinną prostotą wyrazów i spostrzeżeń—zniszczyła kartki. I z wytężeniem oddawała się zajęciu, które potępiła była, gorzkiej zadumie o gorzkim życiu własnem. Przechadzała się po ugorze przeszłości, zardzewiałą motyką troski kopała w zagonie terażniejszości, szukała może pożywienia prawdy, może złota szczęścia... Potem jakiś wyraz, jakaś rzecz drobna przypominały jej tamte chwile—nieskończenie bolesne szarpnięcie—zapachniało wonią stracone szczęście—cieszyła się, że serce milczy, że serce śpi, że serca nie ma, że tylko wystygła próżnia, może obojętne drewno... Przynajmniej cierpieć nie będzie... Ale mimo wszystko żyła tęsknota. Długie godziny, jak głodny o kawałku chleba, myślała o jego siwych, spokojnych, uważnych oczach, o jego zwinnych rękach, o czole, pofałdowanem w poprzeczne bruzdy, o nieokreślonym uśmiechu, który nic nie obiecywał, o ustach uprzejmych i chłodnych, o jasnym wąsie, który muskał czasami, słuchając jej opowieści... Raz ona dotknęła tych wąsów i gładziła je żartobliwą ręką, bawiła się włosami, położyła mu obie dłonie na głowie, pochyliła się, zajrzała w źrenice... Przejinował ją wstyd na wspomnienie... Gdyby kochał—w owej chwili... Zjadliwie śniła się z siebie—gdyby ona była tana... Zato rozumiała, że ona go kocha, i nieraz wynawiała sobie, że z prostotą nie wyznała, że zra-

ziła go taktyką wyczekującej dumy, oschłej wyniosłości, przebiegłego ukrywania... bo, może, może... byłoby inaczej... łudziła się... gołąb nadziei przynosił sercu pożywienie, i zaczynała pisać do niego, żeby naprawić błąd. Ale nazajutrz rwała list w kawałki... Bywały okresy rozjątrzenia. Wówczas deptała uczucie szyderstwem, nazywała miłość zmysłową gorączką, pastwiła się nad Andrzejem a, zmęczona bluźnierczą krytyką, zapadała w długie omdlenie, w obojętny spokój grabarza, zaspanego nad cudzą mogiłą... Gapiła się na podwórze, nasłuchiwała, poznawała lokatorów po krokach, wpatrywała się całymi godzinami w oblicze królewskie, które na ohydny oleodruk obmierzło jej do obrzydzenia, dłubała palcem w ścianie pod framugą okienną, gdzie odpadł kawałek tynku. Wlokły się jesienne chwile... Któregoś dnia przeraziła się przed lustrem na widok swojej mizernej i żółtej twarzy, białych ust, stroskanych oczu, łysiejącego czoła, zniszczonej sukni. Nie przyglądała się sobie od czasu, gdy jeszcze tamten powiedział jej, że zbrzydła. Zwierciadło mówiło drwiącą prawdę. Spojrzała na ręce swoje chude, bez krwi, słabe, na wstrętny łachman codziennej sukni, ostatniej, którą posiadała, i jeszcze raz zbadała siebie... śmieszne koronki u krótkich rękawów, śmieszne pretensje i śmieszne kochanie takiej, jak ona... chorej nędzarki, która chwieje się na nogach, brzydkiej starej kobiety... odjechał... cóż dziwnego! litował się i wspierał, a gdy wyciągnęła ręce, uciekł przerażony... minęła jej młodość i wygasły jej prawa... a ona wdzięczyła się z tą swoją trupią twarzą... musiał śmiać się, że zaledwie odbyła chorobę jednej miłości — na nowo... alboż on mógł zrozumieć tamto, że tamto stało się i było—bez udziału serca, że skutku nie poprzedziła przyczyna, że kwiat kochania pozostał w jej duszy nietknięty i niepokalany... Kto temu uwierzy? I wówczas dopiero dotarła do niej myśl, iż Andrzej opuścił ją nie z miłości do tantej, a z pogardy dla niej. Zdraśnięta zatrutym ostrzem tego spostrzeżenia, dusza otwierała się, ożyła, wezbrała cierpieniem, jak gdyby już niedość było. Najsmutniejszy żal po utracie, najżałośniejsza tęsknota, głód nienasyconych, wечно pamiętających oczu — było niczem w porównaniu ze skirem tego wstydu, z raną zniewagi. Żelazne brony niestrudzenie szarpały żywe, krwawiące serce, cała świadomość, jak w fizycznej chorobie, gdy rak wyjada jelita, zawarła się w wyrazie: ból. Hanka poznała wszystkie jego rodzaje, szła przez wszystkie jego przybytki, zapadała coraz głębiej w jego czarny odmęt... Szamotała się i ulegała, broniła się i sama rzucała się w otchłań... zrywały się burze, następowała cisza... oczami, zatopionymi w morze swojej

niedoli, śledziła daleki, coraz dalszy, zgubiony na zawsze żagiel kochania... szeptała najcichsze modlitwy... czasami nad sinem morzem tęsknoty płakała... to były rzadkie chwile ukojenia... Wreszcie po dniach, po dniach dusza wessała w siebie toń bólu — i został suchy piasek złości, po którym pełzały gady. Pytanie: czemu? plugawe gniazdo węzów... jad buntu... szukała przyczyn nieszczęścia i sprawców krzywdy, domagała się sprawiedliwości, złorzeczyła temu, który ją oszukał a nie umiała nazwać go po imieniu. Kto ją zwiódł i doprowadził do klęski? Dlaczego dumny pancernik jej wiary życiowej rozbił się, wyprawa wojenna po szczęście zakończyła się okrutną porażką? Uczono ją, że życie jest jak złotogłów i że należy przygotować z niego szatę dla szczęścia, uczono ją, iż życie jest ucztą, i jeszcze uczono, iż z życia ma wznieść pałac samotny, niedostępny i wspaniały — pomieszkanie dla szczęścia... Nauk było wiele — wierzyła.

Gromadziła przez lata skarby na przyjęcie królewicza, który nie ukazał się, rzeźbiła misterną kołyskę dla dziecięcia, które nie urodziło się nigdy... Czemuż inni posiadli?

Wierzyła, pragnęła, czekała szczęścia, żyła bez szczęścia dla szczęścia. Nie znalazła. Czemuż tedy jest życie?

Młodość jej zbiegła na daremnej tęsknocie. W głuchym zakątku, na ścieżce powszedniej, w nizinie wśród ubogich, maluczkich, sennych — więdła. Jak drży niespokojnie poruszane wiatrem drzewo, tak wstrząsała się jej dusza od tajemnego wołania: w świat, w świat, do życia!... Ile wieczorów, ile nocy, upojona tem wołaniem, żaliła się zorzy, gwiazdom, ciszy niebios!... Burzyły się buntownicze myśli, żarzyły się w sercu niestygnące węgle dumnych pragnień... Zerwała się do lotu, szła w świat po życie, które byłoby mocą, rozkwitem, płomieniem, chciała być z temi, których ramiona stargały więzy, których sile zazdrościła... Ale nie powstał wyśniony poemat mocy, świat szeroki, świat wolny nie dał nic. . Płynęły strofy jałowych a zmudnych dni, gnębił rytm nudy — na dnie była ta sama tęsknota. Tęskniąc, poznała słabość swoją, poznała prawo istnienia, siłę wyzwolonych. Karzyła ją radosna wiedza. Postanowiła zdusić cierpienie, smutki, samą tęsknotę, stłumić mowę bojaźni, szept przebrzmiałych przesądów, postanowiła brać... Szczęście jest zdobyczą zwycięzcy, darem śmiałej woli, nagrodą wyzwolonego, życie — jak łuk w rękę bawiącego się...

Pancernik nowej wiary życiowej był gotów — rozbił się... Hanka szukała przyczyn klęski i nie umiała znaleźć. Myśl jak dezertier, jak ów dobosz, ocalały z wielkiej armii, wałęsała się po

bezdrożach, błędziła, kryła się w nieznanym ostępach, albo zmęczona pragnęła zgonu. Zabrzmiiała od czasu do czasu zwrotka dawnej pieśni bojowej, majaczyły w pamięci strzepy sztandaru—zre-sztą zniechęcenie, jad buntowniczych pytań, jadowite poczucie krzywdy. W sercu przelewała się i kipiła złość, mącąc jasność sądu, zakłócając spokój niezbędnego zastanowienia, w duszy zapawał mrok, rozpętały się szpetne moce. Z uśmiechem cynicznego zadowolenia Hanka przyglądała się ich szkaradnym obliczom, ich szybkiej burzycielskiej robocie, dopomagała im. Lubiła szydzić z siebie, z Hanka, marzącej podniosłe, cierpiącej górnie, miłującej szczytnie, bijącej się w piersi, klęczącej przed Bogiem, bojaźliwej i dziewiczej, z ochotą deptała dawne poglądy, uniesienia, dawne modlitwy ducha, śmiała się z upadku i z bólu, którym za upadek płaciła swemu sumieniu. Teraz chciałaby upaść jeszcze niżej. I kartowała projekt wyszukania panny Malinowskiej, zasięgnięcia jej światłej rady, udania się pod jej opiekę, sprzedawała cnotę swoją za zły szeląg, babrała się w błocie ostatecznego poniżenia, wywlekała obrazy najpodlejszej hańby, staczała się... Mściła się w ten sposób na sobie samej, na Andrzeju, na życiu swoim, na nieznanym krzywdzicielu, którego czyniła odpowiedzialnym za niedolę życia. Wydawało się jej, że, skoro stawka szczęścia przegrana na zawsze, gra pozbawiona jest wszelkiego sensu i że ona nie ma już nic do stracenia. W dali widziała śmierć, która przyjdzie na jej zawołanie, ale przed końcem bliskim a marnym postanowiła wyczerpać wszystko. Pragnęła bogactwa i uciech, z nędzy i szarzyzny rwała się do rozkoszy, które tę mają niepowszednią wartość, że odurzają i pożerają serce razem z jego bólem. Znała smak „ucziwie zapracowanego chleba“ i dość już miała tej sielanki w marzeniu sytych i chorych z przejedzenia, znała spokój nudnych dni, kierał obowiązku, cnotliwy uwiąd—i zazdrościła tym, którzy pełnymi garściami czerpią złoto i śmieją się nad otchłanią. Szumiały jej w głowie gwary świętych uczt, rozpałały się przed oczami wizje szafów, kusiły godziny upojenia. Wina, które daje wesele i zapomnienie, pragnęły jej usta. Gotowa była wyjść na ulicę, z pijanymi tańczyć, w szynku zabawiać się... Ale zostawała w domu, na krześle, przy oknie z widokiem na nieznośne podwórze, gapiała się, poziewała... Był zanik woli i niemoc i w głębi wstręt do ludzi, do kamienic, bo są mieszkaniem ludzi, do ulic, bo jeżdżą niemi ludzie, wstręt do siebie samej i do swego nieszczęścia. Cierpiąc, znienawidziła cierpienie oraz siebie za to, że cierpi. Miała obrzydzenie do jęku słabości, który w niej mieszkał, do owych niezliczonych skarg, które żaliły się

w sercu, wiecznie te same, jak melodye w pozytwce. Rozumiała niedołęstwo swej duszy, i marzył się jej czyn mocy. Potem wyśmiewała marzenie, wiedząc, że jest niezdolna... I sprawiały jej zadowolenie tylko gazety, w których czytała przepowiednie wybuchu, który, być może, zaleje krwią, spali pożarem, stratuje zniszczeniem, zamieni w gruzy... Zakopać najgłępsze własne istnienie pod gruzami tego ohydneho miasta byłoby najlepiej...

*

*

*

Pewnego rana niespodzianie we drzwiach stanęła matka. Bez zdziwienia Hanka wyszła na jej spotkanie. Przywitały się. Pani Krystyna chwyciła ją w objęcia, tuliła, trzymała długo, jak gdyby chciała osłonić, obronić, nie puścić od siebie. Miała ciche słowa na wzruszonych wargach, łyły się z oczu, któremi patrzyła bojaźliwie i żałośnie, któremi kochała, pieściła... Otarła je szybko, usiadła i Hanka pomyślała, iż to jest jego krzesło, krzesło, które stało dotąd nieporuszenie. Było milczenie.

— Udało mi się dojechać ostatnim pociągiem — zaczęła matka — miałam przygody.

— Podobno nie chodzą pociągi...

— Prawdziwa rewolucya... czytałam dziś w pismach... i u nas tam chłopi...

— I u nas także... należało spodziewać się... przecież to raz musi się skończyć...

— Co też ty mówisz?!

Zauważyła, iż matka trzęsie się, że głos ma zdławiony trwożą. Od dnia owego pożaru, od śmierci ojca nie przestała drżeć... Twarz sterana, pokąsana przez troski, wążę, znużone, pracowite ręce, obrączka na wskazującym palcu, suknia odświętna, ta sama... Przypominała znane szczegóły, czyniła obojętne spostrzeżenia. Potem odwróciła się, wołała spoglądać przez okno.

— A ty oddawna tu?—nieśmiałe pytanie, pierwsze, po którym nastąpią inne, coraz ciekawsze, coraz bardziej śledcze.

— Ja? chyba tak... nie liczyłam dni... były jesszczo na drzewach liście...

— Czemu nie pisałaś do nas?

Córka uśmiechnęła się dziwnie.

— Od roku nie dawałaś znaku życia... byłabym przyjechała wcześniej... nie wiedziałam... — z trudem mówiła matka. Mimo-woli spuściła oczy.

Nastąpiła cisza.

— Zdrowa jesteś teraz?

— Chyba tak...

— Wyglądasz blado...

Tak rozmawiały. Po roku oddalenia, po tem, co było, nie mogły inaczej. Hanka lakonicznie odpowiadała na pytania, leniwie cedziła słowa. Serce jej uciekło na odległy brzeg za lodowatą rzekę obojętności. Co jakiś czas zapadało milczenie. W pewnej chwili pani Krystyna zbliżyła się do córki z pieszczotą.

— Hanuś moja biedna! — szepnęła.

Spotkała niechętnie wejrzenie — zmieszała się.

— Niech matna nie nazywa mnie biedną—sucho rzekła Hanka.

Bojaźliwe kochanie, litość, przebaczenie i współczucie, z któremi matka szła do niej, niby z gojącym plastrem, drażniły ją. Jednocześnie niepokoił wzrok matczynych oczu, które kołatały natarczywie do zamkniętej duszy, niby właściciel do swego mieszkania, w poczuciu niezaprzeczonych praw. Domyślała się, iż przyjdą wnet prośby o zaufanie macierzyńskiemu sercu, że będzie żądanie „dowiedzenia się o wszystkim,“ że jest już jakiś gotowy projekt, ułożony na jej conto jeszcze na wsi, a przy pośrednictwie proboszcza, projekt pokuty i poprawy, że matka zechce rozciągnąć nad nią, potrzebującą oparcia, opiekę. Czytała w sercu matki, zresztą i bez czytania odgadła... Będzie narzucać jej rolę córki marnotrawnej, Magdaleny, oblewającej łzami drogę upadku, ofiary buntowniczego ducha czasów... Kazanie o skrusze i miłosierdziu Bożem, zwrotka na temat pychy... Jak gdyby słyszała rozmowę matki z proboszczem, który nauczał, karmił, pocieszał i doradzał... matka popłakiwała... załamywano nad jej zbłąkaniem ręce... zgodne zrzęczenie na duch czasu i nieposłuszeństwo... lekka wymówka za zbytnią słabość dla dzieci, które pozbawione właściwego kierunku schodzą na manowce... upadek, wytykany skwapliwie z pewnem zadowoleniem... „Nie słuchałaś nas — masz tedy... chciałaś być rozumniejszą od nas — jesteś ukarana. Ale jeśli żałujesz za grzechy, my litujemy się nad tobą i pozwalamy ci wrócić...“

— Otóż nie wrócę! — myślała z dziecinnym uporem — nie stało mi się nic złego... rada jestem z siebie...

Znużona cierpieniem, była tak bierna, iż zgodziłaby się na wszystko i poszłaby za każdym, przyjazd matki poruszył dawne

myśli. Przypomniat się jej wróg, z którym staczała walki, którego z takim trudem pokonała, który, skoro zwycięży kogo, wpręga w swoje jarzmo i czyni niewolnikiem, wróg ten niebezpieczniejszy, iż miał w jej własnem sercu sprzymierzeńców, że na sztandarze swoim wypisywał słowa święte i drogie, że zasłaniał się matką, przeszłością, ukochanem wspomnieniem, że za uległość płacił ciszą domu rodzinnego, miłością blizkich, bezpieczeństwem, wygodą i spokojem, przypomniat się smutne lata poddaństwa... W jego to imieniu przybyła tu matka ze słowami litości, pod któremi kryje się radość, że buntownica pobita jest na głowę, z żądaniem, by ona wyparła się praw swoich i podeptała to wszystko, czego ongi broniła i przygotowano już dla niej kajdany, wór pokutniczy, włosienicę... Rozpocznie się niewola... trzeba być pokorną i posłuszną... niewolno mieć myśli własnych, niewolno pragnąć... ze spuszczonei oczami iść i deptać ścieżkę, wydeptaną przez ojców, przez dziadów, przez prababki... oddawać cześć tradycyi... bodajbyś była len przędła niewiasto!... Rozeszła się po okolicy wieść, kiwają się z ubolewaniem stare grzyby, każdy ciekawy jest i każdy ze swemi trzema groszami rudy... przyjaciółki-sąsiadki odwróca się zgorzone, drżąc o swoją cnotę, skandal w parafii... Nie śniły się kurom w kurniku percie nadchmurne, orłowe szlaki, wysoki lot tęskniących skrzydeł, czarne przepaści zatracenia, groby dumnych... są rozsądne kurze przepisy, jest użyteczność znoszenia codziennie jaj... I one to sądzić będą skrwa-wioną orlicę!...

Wyniosłe myśli zaigrały w Hance, gotowa była stawiać opór, jak dawniej. Brakowało tylko dawnej wiary... Jakichże praw miała bronić? praw do życia, które stało się nieznośnem, jak cuchnąca szata? przywilejów szczęścia, którego nie znała i z widzenia? nędzy i hańby? miłości, którą zabrały jej ręce ulicznej kobiety? tej pustki i nudy? I przemagało w niej zmęczenie... postanowiła tylko milczeć...

Jakoż tego jeszcze wieczora, gdy matka usiadła przy niej i rozpoczęła rozmowę, jak dawniej, jak dawno temu, gdy nieraz do późnej nocy gwarzyły — ona nie odpowiadała na pytania.

— Hanuś moja! — mówiła matka — ja wiem, że ty cierpisz... ciężką zgotowałeś sobie dolę... Boże, takie koleje!... Dreszcz chwycił ją i otuliła się w swoją chustkę.

— Biedne twoje serce, Hanuś, i dusza biedna — dodała ciszej.

— Byłaś wśród obcych, wśród złych ludzi i nieufna jesteś nawet ze mną, z matką. Nie chcesz otworzyć serca, a byłoby ci

lżej... Słuchaj, Hanuś, powiedz mi wszystko... łzami trzeba wyplakać...

I pani Krystyna brała chłodne ręce córki, gładziła niemi siebie po twarzy, chuchała na nie. Potem zaglądała w nieruchome, obojętne, nieme oczy. Hanka przywierała powieki, po twarzy pełzało niezadowolenie, nad którym nie umiała zapanować. Każdy wyraz, szeptany przez drogie usta matki, jątrzył, niecierpliwiał, gniewał. Jak rozkapryszone dziecko, miałyby ochotę zatkać sobie uszy — słuchała...

— Boisz się, że zacznę uskarżać się, że ja z potępieniem, z wyrzutami... Hanuś, zapomniałaś, że matka... że są serca, które kochają, że nie moja rzecz przebaczać, że Bóg... — matka dła-wiła się łzami, milkła na chwilę.

— Czas łagodzi i leczy. Wszystko przechodzi, Hanuś. Są dnie, jak wieki, ale lata mijają... Przeżyłam ja tych lat... Jeszcze i ciebie nie ominie szczęście. Bóg doświadcza, a potem, potem pociesza promieniem radości... Czego ty się marszczysz? Nie wierzysz, żeby mogło być dobrze na świecie? Zawsze miałaś pochmurne usposobienie... Seweryn był taki... spodziewał się tylko złych rzeczy, z dnia na dzień oczekiwał nowego ciosu — gadała prędko — zrazili go ludzie, a i życie nie płynęło nam po różach... przebyliśmy z nim niejedną... Ale on mężny był... dzwigał... pamiętasz ojca, myślisz czasami o nim?...

— Pamiętam...

— Widzisz, Hanuś... dobrze, że choć pamięć ojca... Mój Boże, gdyby on żył, nie przyszłoby do tego...

Zaczynała płakać na wspomnienie rozstania z mężem, straszliwego dnia nieszczęścia, najokropniejszej w życiu chwili, gdy w letnie południe, wracając od gospodarstwa, ujrzała drogą głowę, która bezwładnie przewisała przez poręcz fotelu i grymas prze-raźliwy wykrzywienia na twarzy... Świeciło na werandzie lipcowe słońce, w lipach pełzały szelesty... ona krzyknęła... pamięta, pamiętać będzie do śmierci... Łały się z oczu łzy, ocierała je pośpiesznie, płynęły znowu...

— My dwie zostałyśmy z tobą, dwie sieroty — szeptała dalej. Nam jego zastępować... A ja zineczona, pracy coraz więcej, sił mniej... starły mnie trudy... dychawiczna ze mnie szkapa, jak mawiał Seweryn — krótki, słaby uśmiech na zwiędłej twarzy. I wóz ciężki coprawda i gruda i wszystko się łamie... Z każdej strony wróg czyha... Rok był zły, teraz rewolucya... rozzuchwaleni chłopci postawili warunki, płacę drożej, rozdać musiałam trochę zboża — mimowoli wchodziła na zwykły tor trosk własnych.

Trosk było tyle, że mogłaby opowiadać o nich całemi godzinami, przywykła wyrzekać, utyskiwać, biadać, ale zmiarkowała się.

— Zresztą te moje kłopoty — dodała zaraz — każdy je ma... Widać tak trzeba. Im gorzej jest tu, tem lepiej będzie tam... odpoczniemy kiedyś wszyscy, zapracujemy sobie na śmierć—popadła w zadumę znużenia.

Tęskno jej było po długiej i twardej służbie do wiekuistego wychnienia i nieraz hamowała w sobie prośbę, która jak jęk wyrwała się z dna udręczonej duszy, prośbę do Boga o koniec. Sterana i zmęczona radaby już odejść. Marzyło się jej połączenie z mężem i synem, marzyły się zbolałemu sercu spokój, ukojenie, rozweselenie w miłości, marzyły się słowa ukochanego psalmu o „miłych przybytkach pańskich,“ ale i to pragnienie wydawało się jej grzesznem, bo samolubnem. Żyła dla córek, potrzebna była córkom, ugniatały ją obowiązki i w ciągu pracowitego dnia brakowało czasu na smutek i tęsknotę, które powstają z rozmyślenia nad sobą, które są zbytkiem próżnujących, leguminą nasyconych. Około rubla, około rzeczy małych, powszednich a niezbędnych i doniosłych dla tego, który ich niema, krążyły jej myśli od rana do późnego wieczora. Godzina modlitwy, krótki sen i znowu od świtu te same troski, zachody, kłopoty, niepokoje... Zato w podróży, po szeregu lat, pierwszy raz bezczynna i samotna, doświadczyła rozterki, uczuła zmęczenie i zniechęcenie, poznała gorzki smak zastanawiań się i rozstrząsań. Stukające koła wagonu gadały jej przez dwie noce bezsenne o bezpowrotnem uciekaniu lat i znikomości doli człowieczej, o smutku istnienia i żalostnem złudzeniu tych, którzy czekają, o krótkich radościach, które rozwiały się, jak dym, i wiecznym żalu, przypominały przeszłość, z której nie zostało nic, krom żałoby w duszy, tłómaczyły niestrudzenie, że człowiekowi sądzono być złąknionym zajączkiem, który tuli się do miedzy i drży i spodziewa się, że każdej chwili z każdej strony wyskoczą ogary nieszczęścia, szydziły, opowiadały rzeczy straszne, nasuwały myśli grzeszne o niesprawiedliwości losu, nasuwały zuchwałe pytania... Z przerażeniem słuchała i usiłowała odzegnać je pacierzem, podnosiła duszę do Boga, utrapioną była... teraz powracały fale tamtych dumań...

— Trzeba mieć odwagę, córuś moja—zaczęła cicho—wszystko przechodzi. Czas zatrze, ludzie zapomną, ty sama zapomniesz... Wiara pokrzepia... Złamało ciębie nieszczęście i poddałaś się. Nie należy...—mówiła jak gdyby bez zapału, bez przekonania—smutek, to choroba, to rak na sercu — zabija, jeśli pozwolić mu rozrastać

się. Jedyne sposob nie myśleć o nim, nie myśleć o sobie. Bóg radzi o swojej czeladzi...

— Nie myśleć?!—szepnęła Hanka—ja wiem, że wy nie pozwalacie myśleć...

— Tak, Hanuś, nie myśleć, nie roztrząsać, nie pytać, nie rozdrapywać rany palcami. Bo cóż po tych analizach, po rozumnych badaczach? Rodzą się z nich niepokój, niezadowolenie, pycha i bunt. A ból bólem... Uznaj wolę Bożą, wybierz pracę, w pracy — sypała słowami doświadczenia.

Hanka oddawna umiała je na pamięć, te cudze, wytarte słowa i gardziła nimi, jak zdawkowym pieniądzem. Uśmiechnęła się.

— Ty śmiejesz się, Hanuś, z tych rad moich. Że radzić ła two, a temu, który cierpi, ciężko... Wiem ja o tem, wiem sama... Nie z książki ja ci mówię... Żyłam długo, widziałam, pamiętam... Nie raz zdawało się, że ani dnia dłużej... przeszło... ból łagodniał... Bóg pocieszał..

Hanka znowu zamknęła oczy, zacisnęła wargi.

— A w tobie jest gorycz i złość — ciągnęła dalej pani Krystyna, tak samo cicho i prędko — i z tem przedewszystkiem walczyć powinnaś. To są trucizny... Osłabła twoja wiara, zastygło serce, cierpienie zasłoniło wszystek świat. Tak bywa w młodości.. gniew do ludzi i losu, nienawiść... chwasty zarastają duszę, która nie patrzy w Boga... On jeden, Hanuś, ratuje, dźwiga, prowadzi. Rozminęłaś się z wolą Jego, upadłaś — zachwiało się to słowo w ustach matki — i nie podniesiesz się, dopokąd nie przebłagasz, nie ukorzysz się.. zawsze, w każdej chwili, cokolwiek staje się z nami, trzeba ukochać wolę Bożą. . Czemże jest człowiek bez Niego, bez Jego dobroci, pomocy i miłości, i jakież to życie nasze, to ludzkie, nędzne, smutne, grzeszne życie bez tego celu, który On nam wskazał, bez obietnicy, którą nam dał?... Rozważ to w sobie, rozważaj często... Młodą jesteś i wiem, że trudno... Pomódlmy się, Hanuś... dobrze—poprosiła łagodnie.

Zaległo milczenie. Pani Krystyna szukała oczu córki, potem, zdjęta smutkiem, zwiesiła głowę. Jej zmięta twarz miała wyraz boleściwy. Hanka dumiała gniewnie. Wiedziała, że na tem się skończy rozmowa, że między kochającym sercem matki a nią, stanie Bóg surowy, zimny i bezwzględny z rozkazem wyrzeczenia się, z żądaniem pokory, z pogardą dla jej cierpienia, że chłodne kazanie zastąpi słowa miłości, że matkę nietyle boli jej niedola, ile przeraża grzech.

— Nie chcesz się modlić? — szepnęły usta matki.

Milczała.

— Może ty nie modlisz się nigdy? — trwożnie pytała pani Krystyna — prosiłam, gdyś wyjeżdżała... Hanuś, Hanuś na jakie ty drogi! jakże daleko! co będzie z tobą i z nami! — urwała i zasłoniła rękami oblicze.

Była cisza.

— Nie modlę się, mamó, i w waszego Boga, który zazdrośny jest, który gniewa się i karze, nie wierzę — odezwała się wreszcie Hanka — dlatego ty mnie nie nawracaj! próżny trud! Każdy żyje, jak unie i jak może.. ty inaczej, ja inaczej, a kto z nas lepiej, nie wiem, nie wiem doprawdy... Nauczasz mnie, ale gdybyś ty sama pomyślała nad sobą i życiem, gdybyś pamięcią obejrzała całą przeszłość? Możebyś powiedziała sobie, że zmarnowałaś, że nie było warto!... przez długie lata krzątałaś się, zabiegałaś, mizolilaś się... szycie, pranie, kuchnia, obora, śpiżarnia, bielizna... w troskach, w trudzie, w wiecznym niepokoju, w nudzie i ubóstwie płynęło istnienie... zwiędłaś, zmęczyłaś się — powoli mówiła córka, przyglądając się matce, jakgdyby liczyła i brała na świadectwo zmarszczki jej twarzy. Malutkie były dni twoje, jak mrówki, które umieją tylko pełzać i znają tylko trzy piędzi dookoła mrowiska... Modliłaś się żarliwie, a drżysz cała z ciągłego strachu, z zalęknienia... I Boga boisz się, który karze, i ludzi... To nazywa się życie obowiązku, życie podług woli Bożej... Ja nie chcę, mamó, ja nie potrafię, ja nie mogę... Nie żądaj ode mnie tego, czego ja ci dać nie zdołam... My nie zrozumiemy się nigdy... Wyrwałam się raz i nie wrócę... I wolę już tutaj cierpieć, niż tam z wami... Cierpiałam i cierpię, ale czułam, widziałam, doznałam... Są wielkie godziny, jest płomień, są gościeńce dalekie i świat szeroki, ogromny, piękny... Są także ludzie szczęśliwi. Jedni znajdują szczęście, inni — nie jak co komu, ale szukać trzeba i brać i cieszyć się... Chodzić w pokorze i w żałobie, ja nie potrafię! Nie potrafiłam przecież nigdy... pamiętasz mamó?... Nie rozumiałyśmy się oddawna... taką już masz córkę... zła ze mnie córka — tłómaczyła spokojnie, dziwiąc się i słowom tym i swemu spokojowi. Miała cierpliwie milczeć do końca, a stała się szorstką i mówiła, jak gdyby powtarzając za kimś, dawne, młodzięncze zdania z okresu walk z matką.

— Zła ze mnie córka — powtórzyła — i ja przepraszam ciebie. Nieraz z mojej przyczyny płakały twoje biedne oczy, nie dopadłam wam, zasmucałam, teraz rzuciłam na was wstyd... Dla tego chciałam, żebyście zapomnieli o mnie... pójdę sama, ukryję się daleko, nie żądam ani pomocy, ani żalu... przeżyję swoje życie do końca... Lepiejby może było i dla mnie, gdybym urodziła

się inną... Nie słuchałabym od dzieciństwa głosów, które wołają z daleka i z wysoka, nie widziałabym świecących po przez rozłogi marzenia nadziei, nie umiałabym tęsknić... Mijałyby senne lata w spokoju, spałoby serce—coraz ciszej mówiła—ale dziś... Zostanę taką, jaką jestem... Cierpiałam wiele i nie wiem, nie wiem—urwała na chwilę.

— Nie sprawiaj mi, mamo, meki—kończyła—nie narzucaj mi cudzej woli, cudzego ducha... Nie mogąż wszyscy myśleć tak samo. Każde drzewo rodzi własne, a odmienne owoce... Zamilkła wyczerpana. Wzięła rękę matki, zimno dotknęła jej ustami, chwilę trzymała, potem wypuściła. I odwróciła się do ściany, zamknęła oczy. A myśli, raz poruszone, szły dalej, głębiej... pytały ją, zali ona wierzy temu, co mówiła i jakim jest drzewo jej wiary, z czego wyrasta, dla dlaczego same gorzkie przyniosło owoce i gdzie jest cel, do którego ona dążyć będzie, dla jakiej prawdy ma żyć czyżby jeszcze raz dla szczęścia?... Była niezmiernie znudzona, nie chciała odpowiadać. Żałowała już słów swoich, które plotła, wiary nie mając, uczyniło się jej żal matki... Pani Krystyna wbiła w nią osłupiałe wejrzenie.

— Hanko, Hanko — szepnęła z przerażeniem i urwała. Trwało milczenie.

— Ja nie myślałam nigdy i nie wiem już, Hanko...

— Co mamo? — cicho, łagodnie spytała córka.

Ale matka nie odpowiedziała nic.

— Zgrzeszyłaś i chełpisz się — rzekła naraz surowo — skruchy nie czujesz, grzechu nie rozumiesz...

I znowu zapadło milczenie.

Pani Krystyna wstała i cicho poszła ku kanapie, na której przygotowała była sobie pościel, usiadła, siedziała nieruchomo. I ona nie mogła modlić się dnia tego...

*

*

*

Odtąd spędzały całe dnie w milczeniu. Mówiły sobie „dzień dobry“ i „dobra noc,“ czasami Hanka zadawała jakie obojętne pytanie, zresztą nie przeszkadzały sobie. Pani Krystyna krzątała się nieustannie. Sprzątała pokój, czyściła ubranie, słała pościelę, zajmowała się herbatą i obiadem, szyła. W wolnych chwilach szła

na gawędkę do gospodyni, odwiedzała z filiżanką mleka albo rosołu w ręku chorą żonę i dzieci stróża, robiła wycieczki do odległych a tanich magazynów. skąd przynosiła „resztki,“ kupowane za „bezcen,“ na suknie dla ubogich dzieci podwórza. Nad Hanką rozciągała troskliwą a dyskretną opiekę. Zgadywała każdą jej chęć i wystarczało Hance wyciągnąć tylko rękę... Pod tym względem zapanowało między niemi najdoskonalsze porozumienie... Hanka przyjmowała chętnie nieocenione usługi tych pracowitych rąk, tych pilnych oczu, tego oddanego serca. Tylko jeszcze niekiedy przypominał się jej Andrzej, który tak samo uwijał się po tym pokoju, tak samo troszczył się i czuwał—i wówczas odwracała się do ściany, żeby nie widzieć matki. Zato w innym dniu spejrzenie jej przez cały dzień biegło za nią z ciekawością, zatrzymywało się z uznaniem. Doświadczała przytem smutku. Słyszała westchnienia, słyszała każdej nocy szept długich pacierzy, widziała w tej biednej twarzy, w ruchach, w całej postaci kamienne pogniębienie, rozumiała mękę tej duszy—i nie umiała na to zaradzić. Nie mogła cofnąć słów swoich, wyrzeczonych pierwszego dnia—wzdrygała się w niej wola, nie chciała kłamać, bała się nowej rozmowy. Już wówczas—zaraz po wybuchu—podniosły się wątpliwości, które zachwiały nią, i tłumiła je z samozachowawczego strachu, żeby nie ujrzeć próżni. Te wątpliwości rosły. Bez słów, niemym przykładem matka uczyła, karciała, nawracała, w milczeniu ścierały się ich poglądy na świat. Nieraz Hance wydawało się, że każde spojrzenie matki zawiera wymówkę, a każdy postępek został obrachowany na to, by służył dla niej za lekce pogładową, że słodka dobroć wobec niej jest robiona a miłosierdzie, okazywane żonie i dzieciom stróża, sztucznem, więc badała jeszcze uważniej—i odsuwała nedorzeczne przypuszczenie. To dziwne, znękanę, tyle razy kruszone ciosami nieszczęścia serce było nieprzebraną krynicą miłości, poświęcenia, litości i przebaczenia, ta dusza kryła w sobie moce... I z życia, które szpeciły pozory mierności, ubóstwa duchowego i słabości, wydobywał się głos wysoki... Hanka zapuszczała wzrok w głąbie doli, dumając wysnuwała wnioski. Oto miała przed sobą znamienny symbol, doskonałe uosobienie wierzeń, które jej narzucano, i mogła jak z książki czytać dzieje życia, które było najcierpliwszem poddaniem się, najbardziej uległem wyrzeczeniem się, służbą surowemu Bogu cierpienia a także nieskończonym smutkiem. Trudno było oprzeć się bolesnemu podziwowi... Czasami brała tę rękę wątłą (z każdym rokiem szczuplejszą, tak że obrączka ślubna przechodziła z palca na palec), znużoną, najpracowitszą i całowała ze czcią. Wówczas dobre, litościwe,

niezmiernie żałosne spojrzenie czarnych oczu, które czuwały strzegły, miłowały lekliwie, głąskały serce nieśmiałą pieszczotą... Patrzała w nie długą chwilę... Och, wypaliły się te oczy, ogniste niegdyś, świetne, młode i szczęśliwe przez dni życia i noce bezsenne; strawiły je smutki, troski, zgryzoty... przeznaczenie człowieka... krótkie złudzenie młodości i długie lata dogasania... Rodzić się na chwilę, odchodzić w mrok... jako cień mija wszystko... a tyle cierpienia!... I w zmęczeniu ciała zazdrościła matce, że przepłynęła już smętną toń ludzkiego wieku, że przybija do tantego brzegu, że dźwigała wytrwale, wierzyła mocno, że oczekuje śmierci, jak robotnik sobotniego wieczoru, po którym następuje uroczysta niedziela spoczynku... Ale wnet zżymało się w niej niepodległe serce, serce spragnione, z którego głębin wyrwał się krzyk tęsknoty za szczęściem... W wyniszczonem ciele żyła jeszcze nadzieja, ukrywała się ochota... Cisnąć do wyschłych piersi swoje chude ręce, błędząc wzrokiem w przestrzeni, całe godziny marzyła o błękitnych, morskich zatokach, nad którymi słuchała wiekuistego śpiewu fal, o jeziorze słodkim dla źrenic, o pewnej ścieżce w górach, o dniu słonecznym, o wiosnie w Jaworowie, o rozkosznej mocy wichru, który gna nad oceanem. . Widziała tante dnie, lgnęła do nich spojrzeniem, pamięcią. Pieśń o nieśmiertelnem pięknie życia rozpierała gasnącą duszę... Wykwitały najdroższe, skapane w promieniach jasne, najcudniejsze obrazy... Młode majową, lipką. pachnącą zielenią brzozy, rzeka o złocistem dnie, łąka i woń traw, opalowe pod zbiełałem niebem morze, jakaś aleja drzew, osypanych białem kwieciem i jakiś ogród, w którym o południu szlochała fontanna, zamek ze skały spoglądający w mijające nurty Renu, zadumany nad znikomym szmerem stuleci, trwoga nad przepaścią, na dzikiej przetęczy i szczyty dalekie, niezbadane, chłodne, na wieki niedostępne... Była godzina taka, że zarumieniły się na nich śniegi. . turkusowe roztocze morza i zachód słońca i długi, świecący szlak, niby droga usypana żarzącymi się węglami i noc, pełna tajemnic, pełna gwiazd i niespodziana fala, która przybiegła do stóp i rozpląkała się na piasku...

Kołysały ją marzenia-sny o rzeczach widzianych, marzenia, by jeszcze raz tam być, jeszcze raz patrzeć, całować wzrokiem, czuć w sercu radość-siłę, płomień życia w duszy, rozkosz rozpostartych skrzydeł. I znieawidziła swój pokój, jesienne niebo, smrodliwe i ciasne podwórze, znieawidziła każdą godzinę dnia, codziennie tę samą, dusiła się jak w więzieniu, w bólu swoim, z którego nie było wyjścia. Czasami także nienawiść jej zwracała się do matki, która była obrazem cierpienia, cieniem żalobnym,

żywym wyrzutem, kazaniem o cnocie, która podsunęła jej nieznanie „Naśladowanie“ — i zamysłała ucieczkę. W pewnych chwilach wybuchał z dawną mocą ogień kochania i zżerał serce. Postanawiała iść w świat i szukać Andrzeja, szukać aż znajdzie, rzucić mu się na szyję, wyznać, zostać z nim, służyć mu, zostać niewolnicą, której dość jest spojrzeniem dotykać. Każdy odgłos dzwonka budził najbardziej głupią nadzieję, że to jest on. Nasłuchiwała... Gdy zostawała sama w pokoju, rozmawiała z nim głośno, pieściła go czułymi wyrazami, błagała o litość... Potem śmiała się z siebie. Kładła swoje ręce na czoło i marzyła, iż to są jego dłonie, marzyła o słodyczy ust, obojętnie uśmiechniętych do niej pod płowym wąsem... A wówczas przesywały serce wspomnienia owego wieczoru, gdy przyszedł do niej bezmyślnie wesoły, lśniący, obcy, inny... i szarpał ją ból, poprostu obrzydliwy. Rozumiała teraz wszystko. Już dawniej: Orkiszowa i Rzyzniewski napomykali zlekka o pewnej kobiecie z ulicy i wyśmiewali gust, zapał, stałość przywiązania, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Nie przyglądała się i w pracowni licznym szkicom, portretom, fotografiom... Naiwnie wierzyła w anielskość... aż pokochała... on tymczasem wychodził od niej, żeby śpieszyć do tamtej, żeby tam brać w objęcia, całować, oddawać się i brać... żeby noc szalu... Hanka dusiła w sobie władzę, która snuła domysły, szeptała prawdę, widziała jawnie i wyraźnie... ale myśl, jak ćma, bez końca krążyła i rzucała się w płomień bólu. Następowaly pytania bez odpowiedzi, pytania o kolor włosów i oczu, o imię, nazwisko i adres, wykluwały się bezsensowne projekty odnalezienia jej, tej tamtej, przychodziły na niczem nieoparte pocięchy, że to już się skończyło, bo on wyjechał, że to była zła plotka ludzka, że wróci i będzie do niej należał, że takie związki nie trwają długo... Łudziła siebie, żeby usnąć ból... Ale wmawiane w siebie kłamstwa przestawały natychmiast działać, jak narkotyk, który uśmierza cierpienie na krótko, i znowu rozpoczynała się męka. Męka oczu, przed którymi wstawały obrazy ohydnej miłości...

Wieczór i znużenie kładły kres tej bolesnej pracy. Bezsilna i zbiedzona rzucała się w ramiona matki, tuliła się do niej, szukała pomocy. Łkała, a łzy matki sypały się jej na twarz. Milczały wszakże obie.

RODZINA W POLSCE.

Nie bez słuszności jeden z myślicieli starożytnych, określając podniosłe stanowisko ojca w rodzinie wobec społeczeństwa i państwa, powiedział: „Chcesz mieć dobrego panującego, bądź dobrym ojcem.“ Rodzina bowiem jest początkową uczelnią cnoty, obowiązku, dobrowolnego posłuszeństwa, umiarkowanej wolności, a przede wszystkim początkiem zjednoczenia narodowego i wszechludzkości, a jeżeli posłuszna Bogu „zawszad ma błogosławieństwo“ (Levit. 26).

Rodzina w Polsce w pięciu jej częściach składowych, mianowicie: w Polsce właściwej, Rusi, Litwie, Żmudzi i Prusach przechodziła rozliczne w swym rozwoju koleje.

W Polsce, dzielnicy hegemonicznej, Ziemomysł, ojciec Mieszka, był wielożeńcem. „Że ojciec Mieszka żył w poligamii nieulega wątpliwości,“ powiada Balcer (Genealogia Piastów, 18). Mieszek, jeszcze w błędzie pogańskim pogrążony, „z siedmioma żonami (septem uxores) przez nałóg żył,“ powiada Gallus, „Miał siedm nałożnic,“ powiada Kadłubek. „Żona uważana była za przynależność męża i po jego zgonie i spaleniu na stosie, ścięta, towarzyszyła mu i w pozgonnem życiu“ (Thietmari Chronicon, VII). Wielożeństwo nie wyłączało pewnej obyczajności: „In tempore patris sui (Bolesława), powiada tenże Thietmar, cum is iam gentilis esset, unaquque mulier post viri exequias sui igne cremati decollata subsequitur. Et si qua meratrix inveniebatur, in gentilitate suo, turpi et poena miserabili circumcidebatur, idque, si sic dici licet, preputium in foris suspenditur ut intrantis oculus in hoc offendens, in futuris rebus eo magis sollicitus esset et prudens.“ Wszakże przed urzędowem wprowadzeniem chrześcijaństwa, pod wpływem Zachodu, jednożeństwo już się upowszechniało. Piast,

wprawdzie postać na wpół legendowa, już w IX wieku miał jedną żonę — „zaczynną i cnotliwą małżonkę, która się zwała Rzepicha“ (Długosz, Dzieje. I).

Rok 965, w którym Mieczysław pojął Dąbrówkę, księżniczkę czeską, uważać należy za pierwszy, w którym w Polsce powstała rodzina chrześcijańska, ta zaś, od przedchrześcijańskiej wyróżniała się tym głównym rysem, że do niej, jako na prawie oparty czynnik unoralniający w pewnym, danym zakresie, wchodziła matka i dziecko. Wieloletstwo też zwolna ustępowało, lubo nie bez oporu. „Lud bowiem jego (Bolesława Chrobrego, 967—1026), powiada Thietmar, nakształt wołów winien być pasiony i nakształt osłów leniwych karcony, tak, iż bez ciężkich kar nie może być z bezpieczeństwem panującego rządzone... Jeżeli kto cudzołoży lub w nierządzie żyje, ten następnej karze podlega: stawia się go na pomoście i daje mu się do wyboru: okaleczenie lub śmierć.“ Znanem jest surowe postępowanie Bolesława II (1058—1080) w podobnych przypadkach, który „niewinne dziateczki w porubstwie i cudzołóstwie zrodzone, od piersi macierzystych odrywać, a szczenięta do nich przysadzać kazał“ (Kromer, Kronika, IV). Jeszcze w wieku XIII, Honorusz III, papież, wśród zarzutów, czynionych biskupowi płockiemu w r. 1218, pisze: „kanoników również dwużeńców z świadomością cierpisz w kościele katedralnym“ (Theiner, Monum. I). Władza też duchowna, na której rzecz władza świecka w powyższym zakresie ze swych prerogatyw stopniowo się wyzuwała, w wyższym stopniu niż ona, przyczyniła się do uporządkowania stosunków rodzinnych. Synod, odbyty w r. 1197 w Krakowie i Lubczu, za papieża Inocentego III, postanowił, aby śluby odbywały się nie gdzieindziej, jak przy świadkach w kościele (Naruszewicz, VI). Synod Peszteński, odbyty w r. 1309 dla Węgier i Polski, potwierdził ten zakaz i, niestosującym się do niego, zagroził ekskomuniką i odnowieniem chrześcijańskiego pogrzebu. Gregórz IX, papież, broniąc świętości sakramentu małżeństwa i w obawie utraty wiary w razie związków małżeńskich z inowiercami, zakazał w r. 1232 zawierania z inowiercami ślubów, objaśniając, iż „blasku światła w ciemność obracać nie należy, jak również nie przystoi członków Zbawiciela łączyć z członkami szatana, lub smoły z wonnym balsamem“ (Hist. Rus. Monumenta I). Na Synodzie Wroclawskim, w r. 1248 odbytym, zabroniono księżom dawania ślubów osobom, nie należącym do ich parafij (Art. 16), a natomiast postanowiono, aby wstępujący w związki małżeńskie, brali ślub w swojej parafii, a jeżeliby byli z parafij różnych, to w parafii dziewicy, przy niezbędnej obecności świad-

ków. Nadto Synod ten nakazuje, aby każdy ślub poprzedzały trzykrotne zapowiedzi, wygłaszane przez trzy kolejną poprzedzające niedziele (A. 17). Na tymże Synodzie przepisano formułę przysięgi ślubnej, która długie wieki przetrwała. Powiedziano: „Ksiądz zaleci niewieście, aby swą rękę złożyła do ręki mężczyzny, który pierwszy powiedziec ma: Ja tobie daję przyrzeczenie, iż bi-rę ciębie ślubnie (matrimonialiter) za małżonkę, jeżeli św. Kościół pozwoli.“ To samo powiedziec obowiązana była niewiasta (A. 17). Ponownie surowo potępiono porywanie dziewczyn lub niewiast, uznając zgodę porwanej za nieważną, dopóki poprzednio władzy rodzicielskiej lub przyjaciół zwróconą nie będzie (A. 18).

Synod Łęczycki w r. 1285, ogłaszając, że Kościół uznaje siedm Sakramentów, a w tej liczbie i Sakrament małżeństwa (A. 10), dodaje: „Stanowimy także, aby nie sprzedawano Sakramentów duchownych: mają być udzielane darmo z łaski (cum gratia) (A. 10).

Wobec podobnych pobożnych zarządzeń zinniejsza się liczba „niewiast powłocznych“ i „macierzy nieoddanych“ (illegitimes), o których wspomina jeszcze Statut Wiślicki. Prawo zwyczajowe i władza świecka wtorowała tym władzy kościelnej usiłowaniom. Sto lat przed wydaniem Statutu Wiślickiego, już w połowie wieku XIII, Prawo zwyczajowe pisane regulowało stosunki rodzinne: „Po rycerzu i po kmieciu, wyrzekało, biorą dziedzictwo tylko syn lub synowie,“ z wyłączeniem córek i krewnych, córki są tylko „słusznie“ wyposażane — w braku synów dziedzictwo bierze Pan (Monarcha). Matkę, upośledzoną u Słowian, Prawo zwyczajowe pod szczególną opiekę bierze: „gdy umrze rycerz, powiada, mający jednego lub kilku synów, posiadających jego dziedzictwo, tedy ci mają w imieniu matkę swoją w tej swojej władzy pozostawić, w jakiej była przedtem, dopóki tylko pozostać chce w stanie wdowim. Lecz jeżeli pójdzie zamąż, tedy mają jej dać konia do pociągu jej woza, jako miała przedtym, a drugiego konia, na którymby jeździł jej sługa, prowadzący jej konia zaprzężonego do woza; prócz tego dać matce mają dziewczek służebnych jej własnych tyle, ile ich do męża przyprowadziła, lub które od czasu pójścia za mąż sama kupiła. Albowiem żony zbierają niekiedy pieniędzy za len lub inne pewne zboża, które osobliwie do nich samych należą. Za to tedy mogą kupić służebnice lub bydło, lub odzież, lub obicia, materye, firanki, które posiada, lub inne różne rzeczy, które do swych robót przyczyniają, jak mianowicie obicia i pokrowce na ławy, i poduszki, i firanki. Te, które do męża swego wniosła i te, które od owego czasu sama wyrobiła, te wszystkie rzeczy mają być wdowie wydane, lecz nic imnego z dziedzictwa męża nie otrzy-

muje“ (A. XXI). W stanie kmiecym to Prawo zwyczajowe po-
wiada: „Jeśli umrze kmić, nie mający syna, tedy pan bierze je-
go mienie: ma jednakże jego żonie wydać jej poduszki i pokrowce
na ławy, i to, co nazywają dzienicą, na której się sypia; i szczo-
drość jej także należy okazać z męzowego mienia, dając jej krowę,
albo troje świń, lub może więcej, lub też może co z innego bydła,
na jej utrzymanie. Jeżeli zaś kmić ma syna, dziedziczącego po
jego śmierci, tedy ten pozostawia swoją matkę przy sobie, gdy
ta nadal niezamężną chce pozostać. Lecz jeżeli niezechce po-
zostać wdową, tedy syn daje matce jej poduszki, jej pokrowce,
jej dzienice; a jeśli jej chce dać co więcej, to zależy od jego
woli“ (A. XXII). Prawo zwyczajowe broni dziewice: „Kto dzie-
wicę usili, lub wykradnie przeciw jej woli, ten pokupi winę sę-
dziowi pięćdziesiąt grzywien, a dziewicy tyle, ile osądzi sędzia
za jej pohańbienie“ (A. XVII). „Gdy córka kmiecia idzie do lasu
lub w pole za jagodami, lub jabłkami, lub innemi rzeczami i tam
usiloną zostanie, tedy usilca zapłaci sześć grzywien“ (Helcel, Sta-
rodawne Pomn. Prawa Polskiego).

Statut Wiślicki, dzieło Kazimierza Wielkiego (r. 1347), usze-
regował, uporządkował, zatwierdził przepisy Prawa zwyczajowego.
Podług Statutu, do ustanowienia przynależności do rodziny, do ro-
dziny szlacheckiej potrzebni są świadkowie: „dwu z swego rodza-
ju, dwu z dziada, a pośledniu dwu z macierze“ (A. XXXI). Dalej,
„gdy żywi są oćcowie, synowie tylko pieczęci oćcowskiej poży-
wali, a inszej nosić albo mieć nikako nie śmieli“ (A. VI). Arty-
kuł doniosły: dał bowiem początek i ustalił nazwiska familijne,
bez względu na posiadane dobra. Utrzymując powagę ojca, stano-
wi: „Synowie po śmierci macierzynej nie mają żądać od oćca czę-
ści, aliż wtórą żonę pojmie“ (A. LXXIX). Również zapewnia
prawa matce: „Żona, gdy mąż umrze, przy wienie, a daninie ostać
ina“ (A. CI). Ochronia i bezpieczeństwo rodziny: „Dziewki po-
chwaćca gwałtowny jako i silnik na łasce jey i przyjaciół bądź“
(A. CXXV). Dla zachowania rodziny, w razie zgonu rodziców
i małoletności dzieci, ustanawia opiekuna, przezornie ograniczając
tegoż prawa względem sprzedaży i odgraniczenia dóbr (A. CXXIII).
Statut, znosząc „umarszczyznę,“ na mocy którego zwyczaju, po
śmierci kmiecia mienie jego ruchome szło na kościół, na rozszar-
panie, na „pana,“ stanowczo się przyczynił do ustalenia rodziny
kmiecia. Statut Kazimierza Wielkiego dopiero wytworzył rodzi-
nę kmiecia, stanowił bowiem: „Ostatki, jeż rzeczony puściny kmie-
ce panom przyjść nie mają, ale na bliższe spadną, jż z nich kie-
lich za półtory grzywny do cerkwie sprawić mają, acz z ich
z tyle będzie; ostatek sobie inając spokojnie“ (A. LIII).² Również

bezpieczeństwo osoby kmięcia zabezpiecza: „Za rany kmięce alibo wszelkie szkaradne obicia cierpiącemu dwie części, a trzecią sądowi“ (A. LXXXVII), oraz rodzinę kmięcia, uwalniając względem pana w razie „trzy członki te: pierwszy, gdy pan wsi żonę kmięcową zgwałci, gwałtem onieczyści. alibo dziewce usilstwo uczyni; wtory, gdy kmięce o winę pana klną; trzeci, gdy kmięce o winę pana ciążają; nietylko jeden (kmięć), ale wszyscy wstać mogą“ (A. LXIX).

Statut zatem Wiślicki nadał ostateczny kształt szlacheckiej i kmięcej rodzinie w Polsce, która, jak zobaczymy, stała się wzorem dla innych dzielnic.

Ruś, druga dzielnica Polski, miała ustrój rodzinny dwojaki: inny wśród plemion południowych od Buga do Dniepra, a inny wśród plemion około Prypeci. Polanie, zostający pod wpływem Byzancyum, Polski i Węgier, „mieli — wedle Nestora—zwyczaje, podania i prawa ojców, oraz każdy szczep swój obyczaj, a był on prosty i surowy. Wstydlivość mężczyznu wobec matek, sióstr, synowic i niewiast wobec świekra i dziewierzów, a synów względem ojca, była wielka. Stadła u nich bywały we zwyczajau. Natomiast Drewlanie — według zakonnika Pieczarskiego — żyli po zwierzęcemu, jak bydłęta. Zabijali jedni drugich jedli pokarmy nieczyste. Stadeł u nich nie było, jeno porywali dziewice u wody. I Radymczanie, i Wietycze, i Siewierzanie mieli jednake obyczaje. Żyli po lasach, jak wszelki zwierz. Wobec ojców synowie nie znali skromności. Również stadeł u nich nie bywało. Schadzali się na igrzyska i piasy, śpiewali różne pieśni biesowskie. Tu porywali niewiasty, z którymi się wprzódy zmówili, a mieli po dwie, i po trzy żony. I siostry brali Radymczanie za żony, dodaje Letopisiec wedle odpisu Nikonowskiego. O dziewicach oddawanych „na tołoku“ na uctach wspomina się jeszcze w XI wieku.

Waregi, którzy nadali byt polityczny tym rozosobnionym plemionom i telnęli w nie nowe życie i energię, dawali niezbyt budujące pod względem etyki rodzinnej z siebie przykłady. W owej przełomowej chwili, gdy Ruś przyjąć miała Chrześcijaństwo, Włodzimierz W. utrzymywał na raz pięć żon: jedną z Waregów, drugą Greczynkę, trzecią i czwartą Czeszkę, piątą Bulgarkę i do tyśiąca dwieście nałożnic w Wyszogradzie, Białogrodzie i Berestowie w okolicach Kijowa. Z przyjęciem Chrześcijaństwa w r. 988 i poślubieniem Anny, siostry cesarzów byzantyńskich, nastąpiła zmiana w życiu Rusi kijowskiej. Wszystkie sprawy, dotyczące rodziny, Włodzimierz wyjął z pod prawa świeckiego i poddał je władzy kościelnej. „Otworzywszy Nomakanon grecki—powiada—i znalazłszy w nim, iż spraw podobnych nie przystoi sądzić księ-

ciu ani jego bojarom, postanowiłem, po porozumieniu się z księżną Anną i moimi dziećmi, oddać te sprawy cerkwi, t. j. metropolicie i wszystkim biskupom ziemi Ruskiej.“¹⁾ Poczem następuje wyliczenie spraw, należących do jurysdykcji kościelnej, a mianowicie: dotyczących rozwodów, zaręczyn, pożycia między sobą małżonków, oraz wspólnego ich mienia; dalej, sprawy o zawarcie małżeństwa w pokrewieństwie lub kumostwie, o nierząd, otrucie, lub pogryzienie zębami, o pokaleczenie, pobicie ojca, matki lub świekry; o spory spadkowe pomiędzy braćmi, wreszcie o okradzenie cerkwi, wykopanie trupa, porabianie krzyża, wyrzynanie na ścianach cerkwi wizerunków bydła, psów lub ptaków, oraz dopuszczania się wszelkiego rodzaju czynów, uwłaczających poszanowaniu świątyni.“ Również do spraw, podlegających sądom duchownym, należały: „przeciw wróżbom, prorokowaniu, lecznictwu ziołami, czarom i wszelkiego rodzaju znachorstwu,“ dalej, „gdy przy pobiciu dwóch przyjaciół, żona jednego z nich pochwyci drugiego za mosznę i zgniecie mu jądra, lub gdy dziewczę wyda na świat dziecko.“ Do tych spraw ani książę, ani bojarowie wtrącać się odtąd nie mieli.

Jarosław, syn Włodzimierza (1015—1054), na podstawie tegoż Nomokanona w zakresie rodziny, rozwinął i obostrzył prawodawstwo duchowne (Prodołużenie Rusk. Wifliotiki, III). Odtąd władza świecka miała wspólnie działać z władzą kościelną. Naprzód ustanowiono więzienia na wykroczenia przeciw rodzinie, zwane „domami cerkiewnymi,“ określono kary pieniężne na rzecz biskupów, oraz kary, które miała władza świecka stosować. Oddziałując przeciw wielożeństwu, Jarosław stanowi: Kto pojmie drugą żonę, nie rozwiodłszy się z pierwszą, płaci karę biskupowi, „a mołoduju w dom cerkiewnyj, a s staruju żyti.“ Przyczynami usprawiedliwiającemi rozwód była epilepsya i ślepotą, długo trwająca choroba, jednak potoczna słabość nie dawała do niego powodu. Mąż, żyjący w nierządzie, płaci karę biskupowi, a „kniaź kaznit.“ Bojarszyn, który opuści żonę bez jej winy, płaci za wyrządzoną jej „sromotę“ grzywien 10 księciu, biskupom grzywien 5 w złocie. Zapobiegając zwyczajowi porywania dziewczyc, stanowi na przestępców surowe kary: bojarskiej dziewczicy grzywien 5 w złocie na biskupa, a za córkę „dobrych ludej“ 6 grzywien srebra. Nadto „kniaź kaźnit umycznika.“ Dziewicę, która w domu ojca zajdzie w ciążę, prawo Jarosława karze oddaniem do domu cerkiewnego,

¹⁾ Dopełnienie k Aktam Istoriceskim, I. Ustaw W. K. Władimira o cerkownych desiatach, sudech i t. d.

dopóki jej nie wykupi rodzina. „Kto dziewczkę odda na tołokę—pozostałość igrzysk Drewlańskich—płaci karę wraz z wszystkimi przyjaciółmi, biorącymi w tołoce udział.“ Powyższe prawodawstwo pod nazwą: „Świtok Jarosława,“ utrzymywało się przez długie lata, nawet po pogromie mongolskim. W r. 1407, metropolita kijowski, Cyryl, na podstawie Nomokanonu, streszczonego w powyższym „Świtku,“ zatwierdza usynowienia (Akta Istoricz. I). Sam zaś „Świtok,“ na prośbę metropolity Jerofego, zatwierdził jeszcze W. Ks. Aleksander w r. 1492 (Metryka Litewska, VI).

Świeckie prawodawstwo, zawarte w wydanej współcześnie przez Jarosława i jego synów „Prawdzie ruskiej,“ wtórowało usiłowaniom duchowieństwa, by dać trwałe podstawy ustrojowi rodziny. Podług „Ruskiej Prawdy“ w skład rodziny wchodzi: ojciec, syn, brat, bratanek i siostrzau (Art. I). Kobieta, dawniej za rzecz uważaną, przyszlą matkę, stawia narówni z mężczyzną. „Ktoby zabił kobietę, sądzony być ma tem samem prawem, jakby zabił mężczyznę“ (A. 6). Dzieciom po rodzicach zapewnia spadek, z tą różnicą, że w rodzinach bojarskich odziedziczają synowie i córki (A. 62); w rodzinach zaś „smerdów,“ odpowiadających stanowi kmiecemu w Polsce, odziedziczają tylko synowie. Jeżeli smerd umrze bez dzieci, to statek jego przypada księciu, a jeżeli zostawi córki w domu, to dać część na nich, a jeśli już będą wydawane za męża, tedy żadney części niedać (A. 61). Dzieci nieślubne „Prawda Ruska“ od spadku usuwa, ale położenie matki i dzieci uwzględnia. „Jeżeli kto będzie miał dzieci z niewolnicą, to spadku brać nie mają, lecz wolni są wraz z matką“ (A. 67). Natomiast matce legalnej należne stanowisko zapewnia. „Matka, po śmierci ojca — powiada — jeżeliby dzieci nie chciały jej cierpieć w domu, a ona w nim pozostać chciała, wtedy wypełnią jej wolę, a dzieciom nie dać woli“ (A. 70). O matce w innym artykule „Prawda“ powiada: „A co się tycze matki, tedy który syn był dla niej dobry, czyli to z pierwszego czyli z drugiego męża, to temu da swój majątek. Jeśli zaś wszyscy synowie będą dla niej złyimi, to może dać córcę, która ją karmi“ (A. 71).

Związki ślubne, przez Kościół błogosławione, upowszechniały się jednak powolnie i, jak to widać z cyklu Pieśni Włodzimierza, długo jeszcze utrzymywały się wolne związki:

„Oni w czystem polu żenili się,
Wieńczył ich wieniec z krzaku korcipki.“

(Kirsza Daniłow. *Drewnoruskije Stichtoworenia*, 1818).

Włodzimierz Monomach, niewątpliwie jeden z najmądrzejszych książąt wareckiej dynastyi, w „Nauce do synów,“ dość sucho mówi o stanowisku niewiasty w rodzinie: „Żonę swoją kochajcie, ale nie dajcie jej nad sobą władać.“ Cyryl, biskup Turowski (Turów, położony nad Prypecią), w samym rdzeniu Drewlańskiej Rusi, zapytany, jak mąż postępować ma w domu odpowiedział: „Ty jak Apostoł w nim nauczaj—grozoju i łaskoju.“ W razie niewierności małżeńskiej, Dobrynia, sławny, narodowy bohater, tak karci swoją niewierną żonę: „Niema ikony Zbawiciela, niema do kogo się pomodlić i począł Dobrynia żonę swoją uczyć. Na pierwszą naukę rękę jej odciał. Ta ręka — powiada — mnie niepotrzebna. A na drugą naukę nogi jej odciał. I te nogi mnie niepotrzebne. A trzecia nauka—usta jej obciał i z nosem. I te usta niepotrzebne mnie... A na czwartą naukę—głowę jej oderznął. I ta głowa niepotrzebna... I ten język niepotrzebny — znał on sprawy niewierne“ (K. Daniłow: Dr. Rus. Stichtow.).

O obchodzeniu się z dziećmi powzięć można wyobrażenie z opowiadania współczesnego Daniły Wygnańca (Zatocznika). „Ktoś—powiada on—po zgonie żony, dzieci swoje zaczął sprzedawać. Ludzie zatem mu mówili: „Dla czego dzieci sprzedajesz?“ A on im odpowiedział: „Jeżeli wrodziły się w matkę, to gdy porosną, mnie samego sprzedadzą.“ O mnogości nieślubnego potomstwa na Rusi, jeszcze w XIII wieku sądzić możemy z bulli papieża Innocentego IV (1247), który do święceń kapłańskich pozwala dopuszczać w braku zrodzonych z prawnych ślubów, urodzonych nieprawnie, byle nie z cudzołóstwa.

Gmach państwowy Rusi świetnie rozpoczęty, wraz z ustrojem rodziny, runął pod pogromem i panowaniem Mongolskiem. Pod jarzmem najezdników, Kijów, niegdyś tak ludny i bogaty, zmalał do kilkudziesięciu domów, a Ruś od Dniepra do Buga stała się niemal pustynią—obozowiskiem Tatarów.

Odnowienie Rusi, a zatem i rodziny, inną koleją odbyło się w tej jej części, która bezpośrednio wcieloną została do Polski, t. j. od Sanu do Buga, a inną, która popadła pod rządy litewskie od Buga do Dniepru. Polska Ruś przyjęła prawo polskie najprzód na drodze zwyczajowej, a następnie urzędownie: w Sannockiem w r. 1423, w Przemyskiem i Lwowskiem r. 1435. Przejście to zostało wniesione do Akt lwowskich w następującem (w tłumaczeniu z łacińskiego języka) brzmieniu: „Roku pańskiego tysiąc czterysta trzydziestego piątego, w sobotę, w sam dzień obrzezania Pańskiego (1 stycznia), prawidłowo sądząc synów ludności ziemi ruskiej Dostojnicy i Ziemianie Wiec pierwszy raz od-

bywali powszechny po nadaniu Prawa Polskiego Ziemi Ruskiej przez pobożnej pamięci Najjaśniejszego Księcia Pana, Władysława Króla Polskiego“ i t. d. Wprowadzenie na Ruś prawa polskiego znosiło „umarszczyznę,“ na mocy której po ojcu kmieciu, odziedziczali nie spadkobiercy, lecz pan ziemi (Akta Ziem. Grodz. Halickie, IX). Odtąd po kmieciu pan niema dawać innym gruntu, lecz rolę i odzież mają otrzymać krewni. Król Kazimierz przywilejem, danym dnia 6-go po uroczystości jedenastu tysięcy dziewic w nowym mieście Korczynie, roku 1456, Prałatom, szlachcie, rycerzom i innym Ziemi Ruskiej, potwierdził zrównanie praw Rusi z prawami polskimi, a zatem i zespolił ustrój rodziny.

Litwa — trzecia dzielnica Polski, była zamieszkałą przez $\frac{1}{10}$ część ludności litewskiej, a w $\frac{9}{10}$ przez ludność ruską, składającą się ze szczepów, o których pod względem ustroju rodziny, tak niepochlebne dawał Nestor świadectwo, t. j. Drewlan, Siewierzan i Radymiczy. Wobec przemagającej ich liczby, narodowość litewska zeszła na plan drugi. Ruś, wzięwszy nad litewską ludnością górę, narzuciła jej swój język i obyczaje. Litwa sama nie miała ustroju rodzinnego, opartego na prawie „bo nie miała prawa pisanego przed wprowadzeniem do niej Chrześcijaństwa“ — powiada Czacki — i do zjednoczenia jej z Polską. Wielożeństwo było wśród niej powszechne: papież Jan XXII w r. 1324 pisze: „O małżeństwie wyznają, iż każdemu wolno kilka żon i nawzajem niewiastom wolno na raz kilku mężów posiadać“ (Suppl. ad Hist. Monum. Rus.). Stosunki rodzinne opłakane: „Mendog — powiada Kojalowicz — każdego z krewnych, którego za nieprzyjaznym swoim zamiarom uważał, natenczas ten żelazem lub trucizną zgładzonym był.“ Nadto Litwa nie miała prawa własności prywatnej: Wielki Książę był jedynym właścicielem ziemi. Wdowa i dzieci nie odziedziczyły nic po ojcu, gdyż skarb wielkoksiążęcy wszystko po zmarłym mężu prawem „Odumarśczyzny“ zabierał, a gdzie niema własności prywatnej, tam rodzinie brakuje zasadniczej podstawy. Również władza ojca była znicowana: wydanie za mąż córki czy wdowy zależne było od woli W. Księcia i urzędników. Na związki małżeńskie ciążyły pobory, zwane swadebnyje, zmirskie, wychodne kunice, płatne w naturze „szerstiu,“ lub w pieniądzach. Było to jedno ze znaczniejszych źródeł dochodów skarbu Wielkoksiążęcego. Żona i dzieci, uważane jako mienie, w razie występku lub niewypłacalności ojca, szły w niewolę. (Akta Zapad. Rosii, I, II, III, XI — Akt. Istor. I, Zbornik Muchanowa. Przyw. ziem Kijow. Bielsk, Witebsk, Połock, Smoleński 1494—1548).

Litwa pod względem pojęć o rodzinie stała tak nisko, że jak twierdzi prof. Brückner: „Litwin niema nawet osobnych wyrazów dla nazwania żony, kobiety, wesela i ślubu. Żonę i kobietę zwie słowem, urobionem od wyrazów, zapożyczonych z ruskiego lub polskiego języka“ (Starożytna Litwa, 1904). Obyczaje Litwinów, (nie tłumacząc z powodów łatwych do zrozumienia), Eneasz Silwius (1405—1464) tak opisuje: „*Matronae nobilis publice concabinos habent, permittentibus viris, quod adiutoris vocant. Viris turpe est ad legitimam coniugem pellicem adiungere. Solvitur facile matrimonium mutuo consensu atque iterum nubent.*“

Zygmunt I, oddziaływując przeciw łatwości dawania rozwodów, pisze w r. 1544 do księżny Heleny Słuckiej: „Ty namiestnikom swoim: Słuckiemu i Kopylskiemu, w sprawy duchowne mieszczą się pozwalasz, mężów z żonami rozwodzić i brać rozwodne“ (Akta Zapadn. Ros. VII). Zygmunt August, na prośbę biskupa wileńskiego Pawła w r. 1548, pisze odezwę, w której czytamy: „Mnogie niewiasty mężów swoich porzucają, swawolnie żyją i nie w zakonie przebywają, a Chrześcijankami będąc z Żydami, z Turkami, z Tatarami przeżywają cudzołostwo i inne zbytki czynią.“

Litwa zniesienie wielożeństwa i wprowadzenie chrześcijańskiej rodziny, zawdzięcza dopiero Władysławowi Jagielle. Wprawdzie powiew z Polski grunt przygotował: Piotr Gasztold, wojewoda wileński, „mąż na Litwie pierwszej powagi i władzy“ już przed Jagiełłą, żonę poślubił z domu Buczackich, przyjął Chrześcijaństwo rzymsko-katolickiego wyznania. Dowoyna, w najeździe roku 1384, uprowadził do Litwy w niewolę dziewczę z świetnej rodziny polskiej, poślubił ją i przyjął wiarę rzymsko-katolicką. Władysław Jagiełło, dostąpiwszy tronu polskiego, przywilejem, wydanym w Wilnie 20 lutego 1387 r., urzędownie i stanowczo zapewnił Litwie prawo własności i prawo dzieci po rodzicach do spadku; prawo dziewic i wdów swobodnego zamążpójścia, oraz prawo matki do mienia po zmarłym mężu. „Każdy rycerz lub bojarzyn,—powiada przywilej—przyjmujący wiarę katolicką, oraz jego spadkobiercy i potomki prawowici, zamki, powiaty, wsie, i domy i wszystko, co ze spadku po ojcu są w posiadaniu, posiadać, mieć, sprzedawać, zamieniać i t. d., mogą tak, jak szlachta w innych ziemiach królestwa naszego Polskiego posiadają.“ Dalej: „Udzielamy i dajemy tymże rycerzom zupełną i wszelką władzę, aby córki, siostrzenice i każdą dziewczę pokrewieństwem z nimi związaną, oraz wdowy swobodnie mężom oddawali, zachowując w tem obrządek katolicki. Jeżeli, córka, siostrzenica, lub krewna którego z tych rycerzy, po zgonie swego męża, wdową się stanie, to w dobrach czyli w posiadłościach

męża, aby pozostała, chcemy“ (Działyński, Zb. Praw Litew.). Na sejmie zaś w Horodle dnia 2 października 1413 roku, obok potwierdzenia i zrównania swobód szlachty litewskiej ze swobodami szlachty polskiej, zapadła uchwała, że pięćdziesiąt rodzin polskich, przyjęło do swoich herbów tyleż rodzin litewskich w tem brzmieniu: „Nadto My, Aleksander czyli Witowd, za zezwoleniem najjaśniejszego księcia pana Władysława, króla polskiego, brata naszego najmilszego, wybieramy na herby szlachty polskiej szlachtę ziem litewskich naszych, niżej napisaną, które sama Królestwa Polskiego szlachta także ze wszystkimi, którzy z ich pokolenia idą, ku braterstwu i spowinowaceniui przyjęli“ (A. XVII). Król Władysław Jagiełło, Wielki Książę Witold, oraz szereg rodzin polskich, w ten sposób stali się rzeczywistymi założycielami rodziny na Litwie.

Współcześnie, bo w r. 1388, Witold zabezpieczył rodziny Izraelitów, stanowiąc: za zabicie dziecka z rodziny Żydowskiej winny ulegnie karze gardłowej. Prawo zatwierdzone r. 1507 i 1514 w te słowa: „Jeśliby kotoryj detia żedowskoje okarmił, tot jako złodej mająt karan byti.“

Powyższe przywileje nie znosiły jeszcze zwyczajowego prawa, iż za winy ojca odpowiada żona i dzieci. „A jeśli ne było ezem zapłatiti w domu, tedy żoną i detmi płatiti“ (Sudebnik, z r. 1468). Jedyne złagodzenie dopuszczało prawo: „gdy będą dzieci młodsze od lat siedmiu, w tem newinne“ (A. II). Dopiero Aleksander Jagiellończyk, objąwszy rządy wielkoksiążęce, w przywileju, wydanym w sierpniu 1492 r., zniósł ten nieludzki i rodzinę znieważający zwyczaj. „Za zbrodnię wszelką nikt inny, jak ten, kto zgrzeszył lub występki uczynił, prawa katolickiego porządek zachowując, sądownie przekonany i skazany, karany być będzie (A. VI). Przywilejami, wydanymi dla ziemi Kijowskiej, Witebskiej, Smoleńskiej i Połockiej (1505 — 1546) wskutek ich domagania się „prawa dobrowolnego chrześcijańskiego,“ wszelkie ograniczania co do rodziny, pod względem religijnym, usunięte zostały.

Statut litewski, który uważać można za streszczenie metodyczne wszystkich Litwie nadanych dotąd praw i przywilejów, pod wpływem prawodawstwa polskiego, ułożono na skutek żądania sejmu wileńskiego, odbytego w dniu 6 grudnia 1522 r. Opracowany w ciągu lat siedmiu, uzyskał zatwierdzenie na sejmie walnym wileńskim w sierpniu 1529 r. i stał się obowiązującym we wrześniu, w dzień św. Michała, nadając ostateczny kształt rodzinie na Litwie.

Prawo własności, dające podstawę bytu rodzinie, ostatecznie przyznane temi słowy zostało: „Ktho by za Kazymyerza krolya, kthore ymyenye w pokoiu myał, a pothym za Aleksandra krolya bądź sye nykth nye przypomnył, thedy tho w pokoyu dzyerszeć ma,“ bez względu, czy na piśmie na to dowód miał, lub nie (Działyński: Zbiór Praw Litewskich, R. 1, 20). Rodzinie przede wszystkim waruje domowe bezpieczeństwo: „Kto na osiadłość, na dom najedzie, ten gardło traci“ (R. VII, 1). O należeniu do rodziny wyrzeka po dwóch świadków ze strony ojca i matki. W razie wygaśnięcia rodu, strona „na postawić dwu człowiekie szlachytczów, kthóre s they strony, szkąt y on“ (R. III, 11). W razie zarzutu komu, „thy yesthesz zlego losza szyn“ i tego nie dowiedzie; „ma s thego gabanya sądownye oczyszczicz (się) poth themi słowy: „yszem myenyl na czyę nyeprawdzywye yako pes“ (R. III, 12). Ojciec w rodzinie już nie jest wszechwładnym lecz zgodnie z „dobrowolnem prawem chrześciańskim,“ jak się wyrażali mieszkańcy Kijowskiej ziemi w r. 1494, ma władzę słusznie ograniczoną. Dzieci sprzedawać nie może, choćby to uczynił z konieczności, np. podczas głodu: „takowy (sprzedaży) list „nie ma dzierżan być“ (R. XI, 10). To ograniczenie pod względem osobistym. Pod względem majątkowym ojciec z mienia ojczystego sprzedać może na wieczność jedną trzecią część; zostawić zaś dwie trzecie (R. I, 17). Powaga ojca i jego stanowisko w rodzinie jest zabezpieczone. „Jeśliby sin oycy uderzil, abo sromocil, abo ktore utiski przenabagania iemu czynil; tedi ociec może od takovich sinow wszitką ich, oicizną oddalic“ (R. IV, 13). Wdowy, których dawny zwyczaj litewsko-ruski bezbroną zostawia, w Statucie właściwe stanowisko zajmują. „Żona z dziećmi małemi, po sznyerczy męszowy ma siedziecz, na wdowyem sztolczu do lath dzyecinnych“ (R. IV, 6). W razie podziałów, „tedi ma równą część wziąć miedzi dzieczni swoiemi“ (Id. 3). Statut raz jeszcze usuwając wszelkie „odumarłszczyzny,“ na rzecz panującego i jego urzędników, stwierdza, iż dzieci po rodzicach mają prawo do spadku. „Po szmierczy oycowey dzyeczy: synowye y dzyewky oyczyszny oddalyeny nyemayą bycz“ (R. III, 9). Za opiekunkę dzieci uznaje przede wszystkim matkę (R. IV, 6), następnie starszego brata, z ograniczeniem, że „zadłużyć, przedacz, zastawicz, oddalicz i utracicz, nie może“ (R. V, 7). Urządzona w ten świetny sposób na Litwie rodzina, na wzór polskiej, przetrwała do dnia zniesienia Statutu litewskiego przez rząd rosyjski.

Żmujdź — czwarta dzielnica, nie uległa, jak Litwa, wpływom słowiano-ruskim. Posiadała ona doskonały ustrój rodziny już w cza-

sach przedchrześcijańskich. oparty na kulcie religijnym, czci przodków i poszanowaniu władzy rodzicielskiej — trzech niezaprzeczonych podstaw każdego społeczeństwa. Każda rodzina miała swego ducha opiekuńczego, niby anioła-stróża; w dniu uroczyste Żmujdzini wywoływali cienie przodków, zastawiając im symboliczne uczty. Ojciec, zajęty rolą i barcią; matka gospodarstwem domowem; wielożeństwa niema śladu. Mężczyźni i niewiasty są miłe, poczciwe, rzadkie zabójstwo, kradzież, gwałt, nierząd. Na ucztach, po ukończeniu zbiorów, co przypadało we wrześniu lub październiku, zasiadali około ojca za stołem: żona, dzieci i czeladź. Ojciec, jako stróż domu i rodziny, sypia u progu izby (J. Lascii: *De Diis Samogitarum*, 1580); o czci, oddawanej obojgu rodzicom przez synów, z zachwytem mówi Kojałowicz: „*Felicitas in parentum pietas!*“ Ojciec synowi narzeczoną wybiera, nie z mienia lub piękności, lecz z przymiotów mogącą się zalecać. Córki zamąż nie wychodzą przed 25 lub 30 rokiem. Wprzód odpłacić się muszą za daną im w dzieciństwie przez rodziców opiekę, przygotować sobie wreszcie własną pracę wyprawę: koszule, obrus, opończę z wełny, rękawice, surmoczce. Dopóki pozostają w panieństwie w ciągu dnia noszą dzwonki; nocą zaś wychodzą z domu z zapalonem łuczywem, by rodzice zawsze wiedzieli, gdzie się znajdują. Dziewczyny na nieprzyzwoite odezwanie się, nożem odpowiadają. Dopóki ojciec lub matka nie dotkną placka lub piwa, nikt do stołu z rodziny przystąpić nie śmie. Dziewczyna-narzeczoną z towarzyszkami nuci pieśń pożegnalną: „Kto rodzicom odtąd nogi unywać będzie, kto im przygotuje posłanie, kto dREW do pieca przyniesie“ i t. d. Inna pieśń maluje stosunki małżeńskie: „Mąż swej żonie do łaźni złoty most buduje,“ przy łożu chorej nuci: „Bierz Boże złoto, nie bierz duszy“ i t. p. Ustrój więc rodziny na Żmujdzi był idealny: chrześcijaństwo tu miało niewiele do przekształcenia—przyszło niemal do gotowego. I nie też dziwnego, że okoliczne plebiona tę zapadłą krainę zwykle „świętą Żmujdzą“ nazywają. Ustrój ten, pomimo stuletniego władztwa Rosyi, przetrwał prawie po dziś dzień. Jeszcze w połowie wieku zeszłego Ludwik z Pokiewa powiada, „iż gmin na Żmujdzi stanowi rzadki wzór wszystkich cnót (Żmujdz, 1842).

W Prusiech — piątej dzielnicy Polskiego Państwa, w czasach przedchrześcijańskich—wielożeństwo było powszechnem. Prusacy mieli do trzech żon, które nabywali przez kupno. Żona też była uważana za sługę. Umywała nogi mężowi, gościom i sługom codziennie. Za ubliżenie sobie, mąż karze ją różgami, gdy już dzieci rodzic niezdolnać ją jej nos lub skazuje na spalenie za cudzo-

łóstwo. Ojciec może swe dzieci sprzedać, porzucić na gościńcu, utopić, spalić lub poprostu zabić. Temu samemu losowi ulega dziecko urodzone kaleką, „ponieważ cierpienia ludzkie na bogów i ludzi sprowadzają smutek.“ W jednym z okręgów, w Galindze, zabijają noworodki płci żeńskiej, męskiej zaś zachowują do wojny. Rodzice w latach podeszłych, gdy są schorowani i do pracy niezdolni, winni sami się życia pozbawiać. Synowie odziedziczają mienie nieruchome; ruchome zaś idzie na kosztą pogrzebu, co zaś od tego zostanie, to się przez wyścigi na rączych koniach zdobywa. Syn, w spadku po ojcu żonę jego bierze (Petri de Disburg: *Chronicon Prussiae*, 1679.—Voigt: *Geschichte Preussens*, I).

Za pośrednictwem archidyakona laodyjskiego, Jakóba, później papieża pod imieniem Urbana IV (1261—64), Krzyżacy w r. 1249 przyznali ludności pruskiej prawo obywatelstwa, a zatem: prawo posiadania dóbr ruchomych i nieruchomych, prawo testowania i swobody, zawierania małżeństw. Natomiast ludność zrzekła się wielożeństwa, przyrzekając, „że odtąd nie dwie mieć i więcej naraz, lecz jedną żoną zadowalać się będą.“ Wyrzekła się także sprzedawania córek i przyjęła warunek, iż małżeństwa zawierac będąc przy świadkach, w kościołach, w czasie ustanowionym, z nalezną uroczystością. Umowa na zakończenie tak brzmi: „Ciz nowonawróceni, wezwani od nas i zapytani, jakiemu sądownictwu życzą sobie ulegać, kościelnemu czy świeckiemu i jakim prawem się rządzić, po naradzie pomiędzy sobą, prosili, by im nadane było prawo świeckie, doczesne, a sądownictwo, jakiemu podlegali ich sąsiedzi, Polacy.“¹⁾ Tak więc prawo, rządzące rodziną w Polsce, stało się prawem rządzącem na Rusi, Litwie, Żmujdzi i w Prusiech. Streszczając to, co się powiedziało o kształtowaniu się Rodziny w dawnej Rzplitej, dojdziemy do przekonania, iż ustaliła się Rodzina w Polsce w r. 1347, w Rusi Polskiej 1456 r., na Litwie z wcieloną do niej Litewską Rusią w r. 1529, na Żmujdzi w czasach przedhistorycznych, w Prusiech r. 1249 na podstawie Prawa zwyczajowego Polskiego.

J. T. LUBOMIRSKI.

¹⁾ Privilegium Prnthenis a Legato Pontificio an. 1249 d. 7 Id. Febr. concessum. Jidem Neophyti requisiti a nobis quam Legem intendant vel vel lent eligere, vel quae vellent secularia judicia observare, habito inter se consilio petierunt et elegerunt legem mundanam et secularia judicia Polonorum vicinorum suorum etc.

NASZ LUD.

I.

Lud nasz był przedmiotem licznych naukowych badań.

Poświęcono wiele czasu i usiłowań, aby poznać go gruntownie.

Badania były skierowane nie ku fizycznej stronie przedmiotu, jak to miało miejsce u innych narodów. Nie badano ani budowy ciała, ani wytrzymałości zdrowia, ani przyrodzonej energii, ani zdolności do pracy. Podobne dane służyły innym za materiały do studyów społecznych, w których, przez zestawienie fizycznej budowy mas ludowych z otaczającymi je zewnątrznie warunkami bytu, czyniono wnioski, bądź o koniecznych zmianach w ostatnich, bądź też, gdyby można było, w pierwszych.

U nas, zagadnienia społeczne były dotychczas przedmiotem powszechnej uwagi w nader małym stopniu.

Literatura nasza, przez cały czas istnienia swojego, była — z wyłączeniem nauk fizycznych — religijną, polityczną, albo wprost nadobną.

Stąd te strony badań ludowych, które gdzieindziej występują naprzód, jako wynik poruszających umysły zagadnień społecznych, u nas musiały zostać na uboczu. Tutaj należą stosunki ekonomiczne ludu, tutaj jego pojęcia o dostępnych mu sprawach bieżącego życia, tutaj zamiary, dążenia, ideały jego.

Psyche, dusza ludu, była prawie wyłącznym przedmiotem zajęcia naszych badaczy. Głównym ich celem było poznanie umysłowości ludu, jego charakteru i własności etycznych.

Na pierwsze pytanie miały udzielić odpowiedzi podania ludowe, pieśni ludu i jego przysłowia; na drugie — zwyczaj, obrzędy towarzyszące rozmaitym momentom i przygodom życia, oraz ten

cały kodeks towarzyski, w którym ogół stosunków etycznych odbija się, jak w zwierciadle.

Byłaby rzeczą bardzo ciekawą bliższa charakterystyka dokonanych na tem polu badań; rozpoznanie ich wybitnych kierunków i przeważnych upodobań. Gdyż miały one swe upodobania i sympatyje.

Faktem jednak, który nadewszystko uderza, faktem ważniejszym od kierunku prac uczonych, faktem, który się nam nie wydaje bardzo dziwnym dlatego tylko, żeśmy do oglądania go nawykli, jest sam fakt tych badań.

Jeżeli bowiem rozważymy, co się pod nim z konieczności ukrywa, jeżeli zapagniemy, niezależnie od treści i wyników zdobytych, rozpoznać jego prawdziwe znaczenie, ujrzymy, że przedmiotem nieznanym, odrębnym od nas i obcym nam, jest—nasz lud.

I to jest właśnie najważniejszym badań owych rysem.

Wistocie, wszystko, co tylko się staje przedmiotem dociekań, musiało być nieznanem badaczowi.

Ale oprócz tego, czemś więcej jeszcze być musiało. Musiało być czemś innym, niż on sam; czemś od niego odrębnem; czemś niezależnie całkiem bytującym współcześnie z nim i obok niego.

Otóż, jeżeli w tego rodzaju stosunek weszły dwa odłamy jednego narodu, to nie może to być zjawiskiem normalnem.

Ono może czasem dobrze wróżyć na przyszłość; ale w ciągu trwania procesu, ani żadna terażniejsza chwila nie może być pomyślną, ani też pewnym los tej przyszłości.

Bo taki stosunek dowodzi wielkiego i stanowczego rozłamtu tam, gdzie panować powinna spójnia i zgodność; wskazuje na rozstrzelenie żywiołów, z natury swojej powołanych do stanowienia części składowych jednolitego w sobie organizmu, oraz domyślać się każe rzeczy tak niebezpiecznej dla pomyślności powszechnej i dla postępu, jak niepodobieństwo porozumienia się i zrozumienia przez ludzi, którzy powinni by mieć wszystko wspólne: pojęcia, interesy, potrzeby, nadzieje i cele.

Niestety, rzeczywistość jest taką właśnie a nie inną.

II.

Kiedy rzucimy okiem po wielkim obszarze społecznego życia naszego, na każdym niemal kroku uderzy nas ów rozłam pomiędzy ludem, a nie ludem; co chwila rzucać nam się będzie w oczy brak

wszelkiego punktu zetknięcia, w stosunku do zagadnień poruszających umysły jednych, a obojętnych drugim; a nawet niekiedy rozpaczliwy brak możliwości i brak nadziei, że punkt taki da się znaleźć kiedyś.

Istnieje mnóstwo względów w sferze ekonomicznej, co do których nie możemy się porozumieć wzajemnie do tego stopnia, aby się to pomyślnie na całości organizmu narodowego odbiło.

W sferach zaś moralnej i umysłowej — odeszliśmy od siebie tak daleko, że zdajemy się zupełnie obustronnych głosów nie słyszeć, ani — tembardziej — rozumieć ich treści.

Co chwają jedni, to ganią drudzy; co tamci przedsięwzują, ci pominają.

A tak, życie staje się wielkim odnętym niewykonanych pomysłów, wysiłków zmarnowanych i zawiedzionych nadziei.

Jako w przepaści, gdzie strącono społem wrogie sobie żywioły, kipi i wre walka wzajemnej zagłady, tak w łonie, spokojnego na pozór do niedawna bytu naszego, walczą o śmierć i życie nienawistne sobie lub tylko sprzeczne jego elementa. Kiedy się znieść nie mogą, ni wygubić, to się przynajmniej neutralizują.

Czynną, skierowaną ku pracy dla jutra energię jednych, ubezwładnia bierność nieruchoma innych, obcych wszelkiemu przedsięwzięciu dobremu, z natury bądź ekonomicznych interesów, bądź umysłowych czy moralnych względów.

A gdyby ci ostatni znowu przedsięwzięli to, co ich widokom dobrze odpowiada, wtedyby pierwsi umieli znaleźć ważne powody do przeciwienia się i do oporu.

Jest to stan, któryby można było nazwać stanem wzajemnego przeszkadzania sobie, świadomie, czy nieświadomie, — mniejsza o to.

Stan, z pod którego wpływu żadna z pośród prac życia uchylć się nie może, lecz musi zostać objętą nim i wprowadzoną na teren walki sprzecznych z sobą żywiołów społecznych.

Stan, taki ważący, a taki ciężki, że przygniata sobą większą część tego wszystkiego, co miało nieszczęście uledeż przeważnemu jego oddziaływaniu.

Skąd się wziął ten wielki rozłam pomiędzy braćmi, wspólnymi synami tej ziemi? Rozłam, który częściowo ujawnił się w studyach, mających zapoznać jednych z drugimi?

Jakie są, i jakie być muszą społeczne jego skutki?

Czy jest on koniecznym na przyszłość, czy też uniknąłby go można?

Jeżeli zaś koniecznym nie jest, to w jaki sposób go usunąć, i jak zapełnić głęboką przepaść, przez którą żadne badania nie przerzuciły kładki, i która przed siłą badań samych zapewne nigdy nie ustąpi.

Oto pytania godne, jak sądzę, żywego naszego zajęcia.

Ani sił niemam, ani nadziei, abym je zgłębić mogła i wyczerpać.

Chcę tylko zwrócić na nie uwagę myślącego ogółu, wysunąć naprzód, postawić je przed oczy opinii, obowiązanej czuwać nad ruchem wszystkich nasion przyszłości, jakie się we wnętrzu społecznej budowy ścierają, a powołanej do pielęgnowania zakwitnąć mogącej płonki, ażeby owoc jej nie zmarniał, aby się na powszechny obrócił pożytek.

III.

Był niegdyś zwyczaj, że rozpoczynano pisanie dziejów ojczy-
stych od—stworzenia świata.

Jakkolwiek może się to nam wydawać śmiesznem, kiedy ten i ów wywodzi nas wprost od jakiegoś bohatera starego testamentu, Jafeta lub Clłama, rzecz ta ma także swą stronę poważną.

Nie mogli owi pisarze dobrze i ściśle powiązać dawnych wypadków z nowemi, bo im brakło pośrednich ogniw łańcucha. Zaczepiali tedy znany koniec o znany początek, jak umieli, nie troszcząc się o możliwe pomyłki i nie przypuszczając nawet, że ów znany koniec mógł też być końcem innego zgoła jakiego początku.

Ale nawiązując w ten sposób wypadki, dali nam dowód, że nie obce im było jakie takie już pojęcie ciągłości historycznych wydarzeń.

Wiedzieli, że się nic samo z siebie nie bierze.

Każde zjawisko dziejowe miało tam poprzedniości swoje, sztuczne może, ale mające reprezentować przyczyny jego powstania. Był to jakgdyby przedmiot nowoczesnych metod badania, dla których owa ciągłość, w najobszerniejszem wziętu znaczeniu, stanowić ma i treść dziejowej prawdy, i jej probierz.

My dzisiaj nie potrzebujemy się cofać aż do stworzenia świata. Jeżeli jednak chcemy pojąć znaczenie jakiegokolwiek historycznego zjawiska, bądź co bądź, musimy się cofnąć w przeszłość, tam szukać zarodków jego powstania, śledzić warunki, które roz-

wojowi jego sprzyjały, równie jak te, które mogły stawiać mu przeszkody.

Rozłam społeczny pomiędzy ludem a nie ludem, o którym mówić mamy, zrozumiany być może także jedynie wtedy, gdy uchwycimy go jako moment dziejowy, i gdy go oglądać będziemy obok wszystkich przyczyn i wszystkich okoliczności, które się zrazu na utworzenie go złożyły, a później, umiały go utrzymać i utrwalić.

Prawie na całej przestrzeni dziejowej, którą wzrokiem objąć możemy, widzimy społeczeństwo nasze podzielone na stany.

Ma je nie tylko nasz wiek i wiek poprzedni; ma je cały szereg dawniejszych wieków tak wyraźne, że nie tylko możemy je dojrzeć bez kłopotu, ale tak się one z wiekami temi zrosły, że są dla nich tłem, a nawet obrazem samym.

Cofając się jednak wstecz, coraz dalej a dalej, mijając wiek XV, XIV, XIII,—zmuszeni w końcu będziemy zatrzymać się w łańcuchu pochodzie.

Bo patrząc pilnie, dojrzymy stopniowe zwięźanie się przestrzeni, dzielącej ludzi między sobą, a przy początku dwunastego wieku mimowoli zapytać musimy: gdzie są te linie, które tak jaszkrawą tworzyły nieco wyżej granicę?

Tutaj tło szarzeje, pokrywa się matem.

Widzimy, że jestto czas przełomu jakiegoś. Że, jeżeli się posuniemy wstecz jeszcze dalej, zdarzyć się może, iż miejsce rozmaitości i różnic zajmie przeciwna im wręcz—jednolitość. Jednolitość w każdej gałęzi życia, prostacza, jak wszystko co pierwotne a stare, ale —jak wiele ze starych rzeczy—szacowna.

I tak też jest w istocie.

Charakterystycznym piętnem w życiu pierwotnych szczepów i ludów słowiańskich jest właśnie jednolitość; a co do rozłamu, który nas głównie zajmuje, to brak go wopśród nich zupełnie.

Przyrodzone własności zajmowanego przez ludy owe terytorium, nie pozwalały na kupienie się zrazu w większe liczebnie ogniska. Wymogi życia, równie jak bezpieczeństwo, powodowały rozstrzelenie ludności na drobne grupy, które najczęściej pokrewieństwem związane, siedliły się zosobna, wybierając ku temu miejsca odpowiednie.

Potrzebna była zwierzyna, ryby, zboże, owoce; potrzebną była możność ukrycia się przed żadnym łupem najeżdżcą. To też mieszkano w lasach, po brzegach rzek i błot niedostępnych, jak o tem świadczy pisarz z VI w. po Chrystusie.

Podobne warunki życia bezwątpienia, z biegiem czasu, ulegać musiały zmianie.

Bez względu na klęski wojenne, na wrogie ludów łupieżczych napady, ludność rosła, skupiała się, umożliwiając przez to powstanie organizacyi jakiejś społecznej, a nawet—czyniąc ją konieczną.

W trzy wieki później spotykamy już wzmiankę o pierwszym księciu polskim, o księciu Wiślicy, którego 5-ty Metodyusz do chrześcijaństwa chciał skłonić.

Wątpić niepodobna, że owe trzy wieki były epoką organizacyi dla plemion, na ziemiach późniejszej Polski zamieszkałych.

Przestrzeń czasu, pomiędzy wiekami VI a XII, jest niemal tak samo wielką, jak przestrzeń, która nas dzieli od XII wieku.

Jeżeli przez ciąg tej ostatniej zaszło tak wiele wypadków; jeżeli po niej przesunąć się mogła tak nieskończona prawie ilość wydarzeń i ludzi, którzy zdołali w ciągu jej trwania i sami siebie, i otoczenie swego istnienia zmienić nie do poznania — coś podobnego mogło się stać i na przestrzeni pierwszego owego peryodu.

Prawda, że stosunki były całkiem inne; że czasy były mniej ruchome, ludzie mniej zmienni; że nie było tak wiele, jak potem, powodów do ciągłych przeobrażeń, a pewną bezwładność musiało cechować to życie pierwotne, niespójne, potrosze nawet bezkształtne.

Ale, bądź co bądź, jest to kawał czasu olbrzymi; wszystko zaś, co go wypełniało, tem większej właśnie jest wagi, że był to czas niezmiernie powolnego rozwoju. Że przeto, wszelki czynnik i wszelkie zjawisko społeczne nie przemijało tam szybko, jak za dni naszych, zdyszanych niejako pośpiechem życiowego tętna, ale działając i trwając, odeiskało głębokie ślady na wszystkim, co ulegało jego wpływowi.

Jeżeli tedy mówimy, że społeczeństwo pierwotne było jednolite, jeżeli ta jednolitość ma objąć obszar, choć w przybliżeniu tak wielki, jak ów wspomniany, to mamy przed sobą zjawisko wcale nie błahe i lekceważyć nam go nie wolno.

IV.

Szczupłe są dane, które nam wprost o tych prastarych czasach dają świadectwo.

Kilka drobnych wzmianek źródłowych, treściwych, a niezupełnych—oto wszystko.

Wróg Słowian, Maurycy cesarz, pisał o nich w VI wieku, że prostych, będąc obyczajów, szacują wolność i w żaden sposób nie dają się skłonić do służby, lub posłuszeństwa.

To zaniżowanie wolności w stosunkach zewnętrznych, było tylko objawem szczegółowym przywiązania, jakie jej Słowianie okazywali w ogóle. U siebie bowiem w domu, choć im to często na złe wychodziło, także znać nie chcieli władców nad sobą.

— „Neminem ferunt imperantem“—nie znoszą żadnej władzy.

Prawda, że trapią się rozterkami, nienawiścią wzajemną; prawda, że jest tu może mowa o czasie wojny.

Ale, gdyby nie znano władzy wtedy, gdy jest najpotrzebniejszą, nie istniałaby i w czasie pokoju.

Skąd inąd wiemy, iż rządem ich był rząd starców, którzy dla rozumu i doświadczenia długiego, tem ważniejszego, im mniej być mogło wówczas sztucznej nauki, mogli stanowić światłą Radę publiczną, pełniącą funkcje najwyższej instancji prawnej, głoszącej rozkazy czy wyroki—mądre, więc poważane.

Jakiegokolwiek być mogły w podobny sposób żyjące grupy plemienne, musiały one być nawskroś jednolitemi.

Był to zawsze jeden ludek, w obrębie pewnej przestrzeni ziemi; jeden, nie rozdzielony na warstwy, które się już zrozumieć nie mogą, bo zbyt daleko odbiegły od siebie—duchowo.

Jakiegokolwiek tam być mogły pomiędzy ludźmi różnice, — tej być nie mogło.

Ale i innych różnic także nie było.

Historycznym jest dzisiaj pewnikiem, że pierwotni Słowianie pogańscy nie mieli stanu kapłańskiego.

Ta więc hierarchia duchowna, która umiała być często w dziejach potężną, a która bezwładną nigdy nie była, nie mogła sobą dawać powodu do podziału na oświeconych i prostaków; na posiadających tajemnice pogańskiego kultu, a niewtajemniczonych; na zbliżonych do bóstwa, a szukających do niego przystępu przez pośrednictwo kapłańskie.

Wszyscy jednakowo czcili Peruna, Trygława czy Światowida, Dadźboga czy Jesse.

Wszyscy na jeden sposób modlili się i w jednym do bożków swoich stali stosunku.

Nie dość jednak na tem.

Nie istniał u Słowian pierwotnych osobny stan rycerski; a niewolnictwo miało całkiem odrębne, sobie tylko właściwe, formy.

Walczyli na wojnie wszyscy zdolni do boju. A jeżeli „juvenes“ stanowili kwiat orężnej siły, mogli być także w szeregach mężowie pełni lat wprawdzie, ale krzepcy i dzielni.

Jeżeli zresztą za Mieszka I-go i za Bolesławów nie mamy rycerstwa, jako stanu, tembardziej nie mogło ono istnieć w tej formie poprzednio, przed dwoma lub trzema wiekami.

Co do niewoli, to istotnie, może być ona ważnym czynnikiem w procesie rozróżnień społecznych. I to nie tylko sama przez się, ale i przez wpływy, jakie ubocznie na społeczeństwo wywiera.

Gdzie niewolnicy są liczni, a forma niewoli ciężką, tam tworzy się w łonie narodu warstwa, a nawet—stan upośledzonych.

Tak jeden z historyków naszych, Smółka, wszystką ludność niewolną, a przywiązaną do ziemi, wywodzi od niewolników wojennych.

Ale u Słowian pierwotnych, niewola posłużyć może raczej za dowód jednolitości ich społecznej.

W jakiejże się to ona bowiem praktykuje u nich postaci?

Maurycy opowiada nam to szczegółowo: „Jeńców trzymają w niewoli nie tak, jak inne narody, które niewolą nazawsze; lecz określają im pewien czas, przez który mają zostawać w rozporządzeniu, aby potem, uściwszy pewną opłatę, mogli według woli, albo wrócić do domu, albo też, gdyby zechcieli, pozostać wpośród nich, jako „liberi et amici.“

Niewolnik więc—jak widzimy—nie naruszał przez swe istnienie organicznego ładu społeczeństwa.

Przynosił pewien zysk, bo wojna opłacać się musiała; ale—co najważniejsza—nie wychodził poza obręb tego społeczeństwa, nie zostawał wyłączony od niego, obcy, wzgardzony.

Różnił się chwilowo przez swą pracę specjalną, jaką mu wykonać kazano; lecz gdy wykonał, mógł się stać wolnym i przyjacielem, człowiekiem jednako ze swoim dawnym panem uprawnionym, ani pod jakimkolwiek względem odeń różnym.

Jest to wybitny dowód, że wpośród onych prastarych plemion, nie tylko nie było rozłamów i różnic społecznych, ale że ich być nie mogło.

Ci ludzie w zmięczeniu dziejowym przez nas szukani, i wtedy nawet, gdy się zdarzała potem taka wyborna sposobność, która gdzieindziej lub kiedyindziej różnicom wszelkim dobrze służyła, nie byli w stanie, ani umieli jej ku podobnemu celowi wyzyskać.

V.

Minęły wieki i w 1102 r. zasiadł na tronie Krzywousty.

Ani poprzednik jego żaden, ani następca, równie potężnej nad ludem nie piastowali władzy. Wszystko się przed nim ugina, wszystko mu służy. On panem wszystkiego bezwzględny. On tylko może mieć wolę i ma ją.

Cokolwiek go otacza, jest mu posłuszne, a oślepiający blask majestatu zaćmiewa wszystko dokoła, aby sam jeden mógł świecić tem jaśniej i tem swobodniej.

Ale w dziejach nie stoi osobno, ani powstaje bez racyi.

Zdawaćby się mogło, że pomiędzy ustrojem Bolesławowego królestwa, a budową społeczną XVII lub XVIII stulecia nie może być żadnego podobieństwa, tak jak pomiędzy ustrojem pierwotnych prastarych plemion słowiańskich, a państwem Krzywoustego.

Tak jednak nie jest.

Te pierwociny, ten Krzywousty, a potem Sasi — to są trzy stadya w jednym procesie rozwoju, leżące na jednej linii, jak gdyby przystanki, złączone ciągłym, równym gościńcem.

Państwo Krzywoustego jest górnym pokładem dla czasów, które je poprzedziły; jest dolnym, dla mających później nastąpić. Mieści też w sobie, w zarodzie lub szczątkach, wiele takich pierwiastków, których kwitnienie minęło, albo dopiero nastąpi. W szczątkach, potężnych jeszcze, mieści pierwotną jednolitość; w znacznie już rozwiniętym zarodzie — późniejszy rozłam, i wszystkie jego następstwa.

W ciągu całego peryodu przed Bolesławem zaszły w stosunkach pierwotnych duże przedewszystkiem zmiany.

Zostały uregulowane chaotyczne niegdyś warunki posiadania ziemi a nadto wydzielili się stanowczo i ustaliła silna władza polityczna, uosobiona w majestacie królewskim.

Te zmiany były potrzebne i zbawienne. Wprowadzały one ład społeczny, bez którego niema rozwoju, i zapewniały lub zdawały się zapewniać podtrzymanie go na wypadek, gdyby się zachwiało.

Ale te zmiany jednolitości pierwotnej nie naruszały.

Pod względem politycznym życie było teraz inne o tyle, że władza królewska ciążyła wszchwałdnie nad każdym; lecz we wzajemnym do siebie stosunku, wszyscy, bez wyjątku, pozostali tak sobie równi, jak przed pięcioma wiekami.

Pod względem obyczajowym i umysłowym był postęp wprowadzie; lecz ten nie dotykał pewnych tylko punktów i pewnych

ludzi. Szedł równolegle, miarowo, na całym obszarze społecznego życia, i stądto głowy miały jednaka siłę, a obyczaj jedną do czasu i potrzeb stosowaną modłę.

Jednakże porządek i władza nie przyszły same.

Sposoby i warunki, w jakich się rozwijać musiały, były tej natury, że pociągały za sobą, jako konieczne, nieuniknione następstwo, inne jeszcze, zrazu o zagadkowym obliczu czynniki, mające w przyszłości pokonać to właśnie, co zwyciężało teraz.

Teraz zapanowywał pierwiastek władzy, rozpostarty nad całym obszarem życia równego, nieskopanego jeszcze w doły i wzgórki, w zagony i bruzdy.

A obok niego, pod połą niejako purpury, kroczyły narzędzia, które je miały w przyszłości skopać, poruszyć, znierównić, a w utworzone przy tem przepaście zepchnąć ów, w górze stojący, pierwiastek władzy.

Narzędzia te były to przywileje, na czele których kroczył przywilej ekonomiczny, najpierwszy w długim szeregu, nieprzystającym rozszerzać się i rozrastać przez cały ciąg dziejów królestwa.

Na dwa wszakże punkty pilną należy zwrócić uwagę.

Najpierw, że przywilej ekonomiczny był w owe czasy nieuniknionym tak co do faktu samego, jak co do formy, w jaką się przyoblekł; a potem, że chociaż następstwem jego był rozłam psychiczny pomiędzy ludem, a nieludem, sam rozłam ten przecież nie był wcale koniecznym.

Przyszedł, bo taką była wola nasza lub może tylko nasza nieopatrzność.

W Bolesławowem państwie, obok masy ludności, stanowiącej jądro narodu, osiadłej na ziemi królewskiej i płacącej oznaczone do skarbu ciężary, na mocnych już ekonomicznych podstawach stoi z jednej strony kościół, a z drugiej — garstka rycerstwa, z której, o wiek, dwa później, miały wyrosnąć zastępy herbowej szlachty.

Ekonomiczne stanowisko obu tych czynników było o tyle od stanowiska reszty ludności odrębne, że kiedy ta pracowała na siebie i na skarb książęcy, tamte uzyskiwały z hojnej ręki panującego wielkie obszary ziemi na wyłączną własność, a osadzając na niej ludność niewolną, kupioną albo na wojnie zdobytą, usiłowały postawić się względem niej w takim stosunku, w jakim monarcha stał do całej masy ludności kraju.

Pomiędzy kościołem a świeckimi panami ta jedynie zachodziła różnica, że kiedy kościół odrazu, z mocy książęcej woli, sta-

wał ekonomicznie ponad tą samą ludnością, nad którą poprzednio stał skarb książęcy, panowie świeccy wsparli się na niewolnikach, jeńcach wojennych, aby potem dopiero zagarnąć pod skrzydła swojego wpływu i resztę ludności, mającej dotychczas w państwie ściśle określone stanowisko polityczno-prawne.

Dużo potrzeba było czasu, ażeby przywilej ustalił się ostatecznie. Żeby się stał silniejszym nad wszystko i pewnym siebie. A równie długo i równie powoli wykluwał się on ze skorupy nowych politycznych stosunków, jakie stopniowo doprowadziły do utworzenia Mieszkowego państwa, państwa „Króla północy.“

VI.

Już Maurycy cesarz pisał o Słowianach, że są plemieniem nadzwyczaj kłótliwem, niesforem; że nadto są przewrotni i chytry.

Z doświadczenia wiedział, że pieniądźmi czy innymi środkami można ich sobie ująć, skłonić do zdrady względem współbraci, i uzbroidć jednych przeciw drugim.

Wątpić niemożna, że rys ten moralny, w połączeniu z politycznymi czynnikami, z zewnątrz działającymi na luźne plemiona, był jednym z ważniejszych powodów, które stworzyły na terytoriach słowiańskiej ziemi mnóstwo drobnych państewek, księstw zapewne—choć mniejsza o nazwę—który to proces, raz rozpoczęty, trwał bez przeszkody i rozwijał się, im dalej, tem gwałtowniej.

Wzajemna rywalizacya, kłótnie, niezgody, a potem idące za niemi napady i walki, skupiały w rękach szczęśliwych coraz to większe kawały ziemi, coraz to obszerniejsze dzielnice.

Z podbojem gruntu przechodziły na własność zwycięzcy, równie jak wszystko, co na nich żyło: ludzie i zwierzęta.

A z drugiej strony, z tymże podbojem, rody, które najpierwsze stanęły u steru nowej organizacyi, traciły władzę, choć nie traciły powagi u ludu, ani uroku praw swoich zgwałconych.

Z czasem, gdy drobne a liczne schedy stapiały się w coraz większe dziedziny, na których władza monarsza stawiała się coraz to silniejszą, doszło do tego, że masy wcielonych do berła poddanych siedziały na królewskiej ziemi, jako czynszownicy państwowi; z drugiej zaś strony, upokorzone rody przodujące, których część, jak przypuszcza historyk (Bobrzyński), mogła ustąpić władzy dobrowolnie, dostały cząstki ziemi na własność, mając możność uprawiania ich na swoją korzyść rękami niewolników.

Ci tedy notable, pierwsi stanęli obok mas ludu, w pozycji ekonomicznie od niego różnej.

Ale było i inne źródło, z którego przybywać mogły podobne wyjątki.

Książęta utrzymywali drużynę wojenną na własnym żołdzie. Z własnego majątku karmili i odziewali swe wojsko, zaspakajając sami wszystkie jego potrzeby.

O Mieszku mówi Ibrahim, że córki wojowników swoich wydawał za męż, synów żenił, a dawał przytem posagi, które—dodaje nawiasem—i wtedy już były duże.

Takiej drużyny miał Mieszko trzy tysiące. Rzecz prosta, że utrzymać ją własnym kosztem było ciężarem nielada. Tembardziej, że wymagania rosły, wojska coraz więcej było potrzeba, i już Chrobremu, jak Gallus wylicza, sam Poznań dostarczał przeszło pięć tysięcy ludzi, Gniezno przeszło sześć, a było to przecież nie wszystko.

Zmiana gospodarki, częściowa choćby, była nieuniknioną.

Zrazu, za szczególne zasługi dawali książęta szmat ziemi temu lub owemu z rycerzy. Potem dawali go wprost, jako uposażenie, mające żold zastąpić.

I to było drugie źródło owych wyjątków, korzystnych na razie dla króla, bo rycerz ziemią nadany, rękami jeńców ją orzący, nic nie kosztował i schodził z pańskiego stołu—na własny.

Z jednej więc strony służył dobrze interesowi księcia cały ustrój polityczno-prawny mas społeczeństwa; z drugiej, okazały się pewne od ogólnej reguły wyjątki także niezmiernie dogodnymi. Popierali je więc książęta tak, jak się popiera wszystko, co korzyść przynosi.

Rycerstwo rosło w zamożność, a z nią i w siłę; a to tak dalece, że już Krzywoustego rządy widziały ukryte w łonie społeczeństwa pierwiastki, które właśnie przez ekonomiczną przewagę miały—za bezpośrednich jego następców—wystąpić do walki z koroną.

Prócz tego był jeszcze kościół.

Kościół musiał być wyposażony przez państwo dochodami. A że dochody państwa płynęły z czynszów ludności, dla braku organizacji administracyjnej, trzeba mu było dać prawo poboru czynszów wprost od ludności, tak, jak to czynił skarb państwa.

Wprawdzie ciężary ludności podzielone zostały na dwie części, z których jedna zawsze jeszcze szła na korzyść państwa. Wprawdzie biskupi byli jeszcze uposażeni dożywotnio tylko, a po

ich śmierci dobra i czynsze zwracały się z daniną napowrót całym do tronu.

Miały jednak przyjść takie czasy, kiedy część książęca zostanie zniesioną zupełnie na korzyść kościoła, a raz nadany majątek biskupi stanie się również wieczystą jego własnością.

Miały jednak przyjść czasy, kiedy w stosunku do ludności kościół zajmie to stanowisko, jakie niegdyś zajmował monarcha.

Uposażenie kościoła było rzeczą konieczną. Równie konieczną była ta forma, w jakiej dokonaniem zostało. I nie było złem to, że forma owa, w stosunku do położenia mas ludu, była przywilejem, podobnym do przywilejów rycerstwa, komesów i urzędników książęcych,—ale to, że dała pochop i możność do wykopania obyczajowej i umysłowej przepaści, pomiędzy dwiema częściami narodu.

To bowiem, jak powiedzieliśmy wyżej, wcale rzeczą konieczną nie było.

Istotnie, wyobraźmy sobie, że słudzy kościoła, pojawiający jak należy wielkie posłannictwo jego, zwracają wszystkie usiłowania ku popieraniu wszechstronnego rozwoju ludu; że świeccy panowie nie wyosobniają interesów swoich z pośród masy zadań społecznych i nie stawiają ich ponad wszystkim, ale podobnie jak tamci, i sami idą naprzód, i pomagają w tem innym. Gdyby tak było, wtedy te ich przywileje mogły się okazać rzeczą dla narodu zbawienną.

Bo lud, który sam przez się mógł, a nawet musiał rozwijać się ekonomicznie i psychicznie — w ludziach, mających znaczne środki materialne, czas, a przeto możność rozporządzania swą pracą i zamiarami, mogących wreszcie iść naprzód z nim razem, albo bez niego—znalazłby skuteczną pomoc dla własnych swoich usiłowań.

Warunki były tak szczęśliwe, że społeczeństwo weszło już na drogę nieuniknionego postępu i rozwijać się coraz dalej musiało. Potrzeba było tylko chcieć mu dopomódz albo przynajmniej iść obok i nie chcieć im przeszkadzać.

To można było zrobić. A jednak, nie zrobiono tego.

Położenie uprzywilejowanych było bardzo dla nich korzystnem, lecz przedstawiało zbyt wiele pokus, których zwyciężyć nie chciano, czy też nie umiano.

Może pokusy były zbyt silne, może za mało było dobrej woli, dość, że historia kilku następnych stuleci staje się — w ścisłym znaczeniu słowa—obrazem nieustającej walki o utrzymanie, utrwalenie i rozszerzenie przywilejów ekonomicznych. Walki, w której

zwycięstwo musiało rozłamać naród, i w której — niestety — zwyciężono.

A lud?

Otóż tutaj jest rdzeń całej kwestyi. Od chwili, gdy tylko wstąpiono na taką drogę, pierwszy krok na niej zrobiony już rozstrzygnął o przyszłości ludu. W takich warunkach, nie mógł on mieć w sobie nic szacownego sam przez się, jako lud. Jak wszystko też został poświęcony na ofiarę i — uległ.

Niepodobna procesu tego przedstawić we wszystkich drobiazgach i wszystkich szczegółach. Ogólne jego kontury zbyt są wszakże wyraźne, aby go po nich nie można było rozpoznać.

Znane są te dzieje, które, przeszedłszy przez cały szereg cząstkowych zwycięstw, kończą się na Opczyńskich statutach, ustawodawstwem Olbrachta w Piotrkowie, przytwierdzającym ludność rolną do ziemi.

Zrobiono swoje.

Naród został złamanym, a ta jego część, która nie chciała postawić granicy swojej przewadze, ani się z masą ludu zespolić dla dobra kraju — lud ten odepchnęła, a potem — zdeptała nogami.

Taka jest zewnętrzna strona dziejów rozdwojenia narodowego.

Wewnętrzna, psychiczna, postępowała równoległe z tamtą, stwierdzając raz jeszcze prawo oddziaływania form i urządzeń społecznych na umysły i serca ludności.

VII.

Kiedy siekierą zatniemy pień drzewa, a potem ją zaraz wyjmemy, dwie rozdzielone części zejdą się znowu i przystaną do siebie z łatwością.

Ale gdy pień zaciąwszy, klin w szparę wbijemy i zostawimy go tam na długie, długie czasy, to po wyjęciu klina, rozszczepione części już się do siebie same nie zbliżą, lecz rozchylone, będą patrzyły na siebie zdaleka.

Pracowano u nas gorliwie nad whciem i utrzymaniem mocnego klina!

To też, kiedy czas jego minął, kiedy trzeba go było wyjąć, klin tak się zasiedziało, że napotkano wielkie trudności; a gdy go nareszcie wyjęto, pozostał po nim ślad niezatarty, próżnia, dzieląca odłamy jednego narodu, które się same przez się już zbliżyć nie mogły.

Kiedy przywilej ów, który był pierwszym źródłem i przyczyną rozdziału, który uwiódł szlachtę i pchnął ją na drogę przeciwstawienia co jej służyło, wszystkiemu, coby służyć mogło innym, jako i samej sobie—ludowi; kiedy przywilej ów ekonomiczny upadł, została po nim puścizna, którą my, choć testamentu nie było, z prawa natury objąć byliśmy zmuszeni.

Pozostał zgubny dla życia i dla postępu rozłam, a jego posępna doniosłość góruje dziś nad społeczeństwem naszym.

Jak wielką jest ona i jak posępną, oceni każdy, kto choćby przez chwilę istocie spadku przypatrzeć się zechce.

Mamy dziś takie czasy, że ludzie myślą—nie każdy o sobie tylko—ale jedni chcą, aby drugim dobrze było na świecie.

Wiemy nadto, że tak się tu wszystko wiąże z sobą i jednoczy, a pomyślność każdego tak jest zależną od pomyślności innych, że kiedy cierpią miasta, wsie kwitnąć nie mogą; kiedy wieś marnieje—i miasto upada; a powiem także: kiedy ludowi źle, dworowi dobrze być niemoże.

Myślimy też dzisiaj nietylko o materyalnych pożytkach wzajemnych.

Rozwój uczuć szlachetnych, poczucia godności ludzkiej i wszystkich tych wyższych przyniotów, które są cechą społeczeństwa, a ozdobą człowieka, ciąży nam na sercu. Pragnęlibyśmy rozwój ten wspierać, przyspieszać, rozszerzać.

Jeżeli tego w słusznej mierze uczynić nie możemy, lub raczej, jeżeli praca nasza jest bezowocną, to są to właśnie następstwa narodowego rozłam.

Z chwilą, kiedy dążność do obciążenia, w imię przywilejów, chłopskiego karku przybrała wyraźne kontury, musiał się rozpocząć proces rozwoju zewnętrznych wyróżnień pomiędzy ludem a szlachtą, proces, wprowadzający coraz jaskrawsze różnice w zwyczajach i obyczajach.

Mowa, strój, obrzędy, obchody—wszystko się to musiało rozstrzelić. Dwa tryby życia i obejścia, postępowania,—musiały wypłynąć na powierzchnię stosunków społecznych, bądź z rozmysłu, bądź też jako następstwo różnicy w pozycjach zajętych, przeciwnych sobie, więc szukających odmiennego wyrazu i kształtu.

Ani interes, ani potrzeba nie mogły skłonić ludzi żądnych władzy do pielęgnowania cech narodowych, bo one były znamięm ludu, więc tych, których skazano na służbę.

Ludu odrazu przerobić nie było można; siebie—też trudniej może, niżby chciano.

Nie jest to więc zapewne przypadek, że się panowie najpierw wyrzekli narodowego języka. Bo i najłatwiej było w ten sposób od gminu się wyróżnić i wyróżnienie było odrazu—jaskrawe.

Prawda, że ono głęboko w życie sięgać nie mogło, był jednak czas od tego, aby, co płytkie, pogłębił.

I to nie przypadek zapewne, że język ojczysty powrócił do praw swoich wtedy, gdy inne wyróżniające znamiona aż nadto bujnie się rozrosły.

Nie mogły się one zresztą mnożyć po stronie ludu.

Coraz gwałtowniej spychany na ostatni szczebel istnienia, jeżeli nie tracił obyczaju, wyrobionego w normalnych warunkach życia, nie mógł wygładzać go, ani wyszlachetniać.

U możnych byłoby dobry rodził potrzeby nowe i dawał środki do ich zaspokojenia.

Szlachta, wolna od przymusowej pracy, ciężkiej a ustawicznej, mogła wypełniać dnie swoje rozrywką, zabawą, przy których towarzyskie przymioty muszą się kształcić, wdrażając człowieka w te karby postępowania, co to umieją obcowaniu ludzi dodać powabu i wdzięku, ścierając szorstkie, choć naturalne może uczuć objawy.

Lud towarzyską stronę życia zaniedbywać musiał coraz bardziej, w miarę tego, jak coraz silniej opasywała go obręcz przymusu.

Ograniczany w środkach stopniowo aż do kresu, po za którym niedostatek lub uędba przebywa; doprowadzony powoli do stanu, w którym zaspokojenie pragnienia i głodu staje się jedynym niemal życia celem, - lud nie mógł wyrobić sobie delikatnych form towarzyskich.

Kto wie, czy nie będzie to prawdą, że w tej jedynej sferze, jaką mu pozostawiono całkiem dla niego samego, w sferze stosunków z równymi sobie towarzyszami pracy i zależności, szukał wynagrodzenia za ustawiczny przymus, puszczając wodze gwałtownym, niehamowanym wybuchom uczuć, bez względu na formę ich zewnętrznego wyrazu.

Jego ruchy były tu śmiałe a szorstkie, jego słowa dobitne a swawolne.

Z pośród uciech życia pozostał mu tylko śmiech i rozkosz zmysłowa. Śmiał się więc dużo a głośno; do towarzystwa wnosił zmysłowość, którą, w braku czego innego, obyczaj swój zabarwiał.

Panowie gładzili się i okrzesywali.

Mogli, musieli nawet o zagraniczny otrzeć się obyczaj, a wiele z niego i do domów wnieśli.

Dworskość stoczyła zwycięską walkę z resztkami prostactwa. Mowa stawała się coraz gładszą, słodsza; strój obcej formy zgrabnie owijał ciało, uwydatniając ruchów okrągłość i wdzięk postaci.

Zaczęto wreszcie synów za góry posyłać, do włoskiej krainy, a to—„dla lutni i tańca.“

Taniec i lutnia, uprzejmość i etykieta, dowcip i humor,—oto co zapanowało w pańskich komnatach, ozdobionych dziełami cudzoziemskiego przemysłu i sztuki.

Dobra to była rzecz; ale lud jej nie mógł dostąpić.

Nie szukał on towarzystwa dla towarzystwa. Szukał go dla wrzawy, dla wypitki, dla muzyki.

Wpółród gwałtownych ruchów i skoków szukał zapomnienia o dniu wczorajszym i niepamięci na jutro.

Musiał żyć z ludźmi, którzy byli we wsi, a życie, zaprzątnięte pracą i pozbawione—z wyłączeniem modlitwy—wszelkich podniosłych wrażeń, bez upojenia od czasu do czasu, bez szału tańca i trunku, byłoby może nazbyt ciężką męką.

Rodziny obyczaj nie mógł też łagodnieć, bo i temu sprzeciwiły się warunki.

Nie żeby tam uczuć nie było, ale że troska powszednia musi od nich odwracać uwagę, a czasem nawet tłumić je potrafi.

Szlacheckie pacholę miało nad kołyską matkę, która tam czuwać mogła i we dnie i w nocy. Miłość mogła jej życie wypełniać, a przeto je uszlachetniać.

Ale tam, gdzie między matką a dzieckiem stanęło widmo niedoli, gdzie chwila rozkoszy całymi latami biedy opłacać się musiała; gdzie dziecię stać się mogło jednym więcej ciężarem życia, tam miłość zasypywał pył kurzawy polnej albo sadze komina, tam życie wpychało uczucia w głąb duszy, skąd wybuchały niekiedy—pieśnią i łzami.

Jak niezgrabny posążek pogańskiego bóstwa zmienił się z czasem w misterną rzeźbę, tak się zmieniła zewnętrzna postać życia szlacheckiego. U ludu — formy zostały starym owym posążkiem.

Dodajmy do tego obyczaj rycerski i kształty, jakie przybierał, podczas gdy lud, z ziemią związany — z samej natury zajęcia swojego — życie inaczej formować musiał, a zrozumiemy, dlaczego od stóp aż do głowy, od poruszenia ręką aż do czynu, od myśli aż do słowa, wszystko nazewnątrz, tu i tam inaczej wyglądać musiało.

Dawnemi czasy mógł rozłam taki nie dać się wcale uczuć, ani nawet być szkodliwym. Kiedy ludzie nie podnosili żadnych ogólnych zadań, obejmujących szerokie kręgi serc i umysłów; gdy

przodująca w narodzie warstwa umiała lub udawała, że umie rozwiązać każdy węzeł, jakiby los na drogę jej rzucić zechciał,—wtedy nie tylko niemożna było mówić o jedności, wtedy może to nawet było niepotrzebnem.

Ale zmieniły się czasy.

Dzisiaj życie płynie głębszem korytem, a wielkich jego zagadnień nikt sam nie podejmie, nikt sam nie rozwiąże.

Dzisiaj—wszystko, co żyje, musi się wprzódz do pracy około powszechnego dobra. Inaczej—nie będzie ono albo dobrem, albo też powszechnem.

Cykl wielkich zadań życia wymaga natężenia sił wszystkich. Wszystkich zmusza do zbliżenia się i porozumienia z sobą, a ta przepaść, która dzieli naród na dwie obce sobie niemal części i pochłania tak wiele wysiłków, tak wiele ofiar nawet, musi być zasypaną koniecznie.

VIII.

Moralność publiczna i prywatna jest drugą częścią obyczajowej strony życia.

Patrząc w te stare wieki, trafiamy czasem zadziwieni na niespodziane całkiem zwroty i przejawy etyki.

Już to cnota błysnie nam przed oczyma tak jasna i czysta, że niemal oślepia; już to potworny występki łączy się i żyje w zgodzie z pobożnością i ofiarnością bez granic.

Po za wyjątkami wszakże, które dziwactwem lub niezwykłością uderzą nas zrazu, szarzeje ogólne tło, mniej więcej na całym obszarze życia jednakie, zwyczajne, a więc nie dziwne.

To przecież zastanowienia jest godnem, że w moralności lud nigdy nie stał niżej od szlachty, ni wyżej.

Czy zresztą nie stał wyżej—nie zaręczę.

W każdym razie lud pobłażliwiej trzeba sądzić, niż szlachtę.

Łamał on wprawdzie obowiązki swoje, a nawet dopuszczał się gwałtów. Ale spytajmy, co było trudniej: czy nie wyłamać prętów małej klatki, do której sferę możności, jaką lud rozporządzał, porównać nam trzeba; czy, rozpierając się wolno i szeroko, nie ograniczać nadużyciami i tak już małej przestrzeni powietrza, w którym poruszał się chłop, i którym oddychał?

Zaiste, łatwiej było panom utrzymać łokcie przy sobie—w mierze

Gdy nie uczynili tego, powiedzieć mamy prawo, że moralność ich od ludowej wyższą nie była.

Kto pragnie przypatrzeć się smutnym tej kwestyi szczegółom, niech czyta „Jurisdykcyę patrymonialną“ Lubomirskiego albo Górnickiego „Rozmowa o Elekcyi.“

Jeżeli tedy moralność ludu i szlachty stała na jednym poziomie; jeżeli poziom ten był—biorąc ogólnie—bardzo niewysoki; jeżeli, wreszcie, wznosić się nie mógł po jednej, ani po drugiej stronie,—to były to nieuniknione skutki zajętych wzajemnie stanowisk, tak umieszczonych, ażeby być od siebie jaknajdalej.

Nie wszelkie prawo jest miłym Bogu i sprawiedliwem.

Ten, kto popiera niesłuszne prawo w cudzem imieniu—upada moralnie. Bardziej upada, kto je popiera we własnem imieniu i dla swej własnej korzyści.

Kto karze winy, z wykroczeń przeciw niesłusznym prawom powstałe—upada moralnie.

Kto prawa te sam postanowił i karze—bardziej upada.

Szlachcic mógł panować nad ludem, utrzymując go w karbach pokory i posłuszeństwa. W tym celu, chociaż go zepchnął na najniższy szczebel istnienia, musiał z nim wchodzić w stosunki.

Wydawał rozkazy, sądził, karał.

Lecz jeżeli rozkaz był nadużyciem, kara była niem w dwójnasób.

Bo jedno i drugie było objawem i treścią zarazem tej usurpacyi prawa publicznego na korzyść jednostek, z której, raz wszedłszy na drogę przywilejów, musiano zrobić sobie zyskowny interes prywatny.

Szlachcic, w zetknięciu z chłopem, musiał być twardym, szorstkim, surowym, z jednej strony; ślepym na prawdę i egoizmu pełnym—z drugiej. A czerpiąc w tym, utworzonym przez siebie świecie, zatruwające moralność pierwiastki, wnosił je w życie, którego etycznego poziomu wznieść nie był w stanie.

Chłop, chociaż z innych powodów, był na toż samo skazany.

Ustrój stosunków, wypierający go z areny życia w kąt najodleglejszy, spowodował go do zamknięcia się w ciasnem kole rodzinnem. Choć niezupełnie zawsze był tu panem.

Własna potrzeba i rozum kazały mu tak postępować, ażeby życie znośnem sobie uczynić.

To wystarczało do wyrobienia i utrzymania średniego poziomu moralności, który powinien był rozwijać się i podnosić, a gdyby nie zewnętrzne przeszkody, niechybnie byłyby to zrobił.

Przeszkody tkwiły znowu w ustroju stosunków, tworzących całe szeregi przeciwieństw.

Dopóki łamał prawo, chłop moralnym być nie mógł. Dopóki nad sobą miał prawo niesłuszne — podstępem tajnym, chytrością, oszustwem, albo wprost jawnym gwałtem — łamał je i deptał.

Pytam tych wszystkich, którzy znają naturę ludzką i którzy w dziejach czytać umieją, czy nie jest to naturalnem?

Czy lud mógł nie deptać tego, co jego deptało? A unikając kary, czy mógł nie ćwiczyć się w fałszu, stając się więcej niż złym, bo — przewrotnym?

Dopóki nad nim wisiał miecz Damoklesa, nie dziw, że strącić go pragnął. Ale pragnienia podobne, tembardziej usiłowania, wiodły go prosto do zbrodni.

Czerpał więc około siebie truciznę, którą zakazał się na całe życie.

To, co uważał za drogę do ulgi dla siebie, było gościńcem, który go wiodł do moralnego upadku, i do poniżenia. A na potomność smutne z tego wszystkiego spadło dziedzictwo.

Kiedy mechanizm sztucznego życia runął nazawsze, szlachta, w szczęśliwszych żyjąca warunkach, przyjęła chrzest oczyszczenia, i wszystko zaczęło rosnać moralnie.

Ale lud, mało ruchliwy, do powolnego życia nawykły, niełatwo zewnętrznym ulegający bodźcom, pozostał prawie takim samym, jakim go widziały wieki, których nieszczęsną robotę odrobi dopiero przyszłość, i my — jej gońcy.

IX.

Szereg wpływów obyczajowych nie kończy się na tem.

Nie mógł się wymknąć ich oddziaływaniu charakter tak ludu, jak szlachty, a dłoń warunków zewnętrznych odbiła na nim też jaskrawe piętna.

I tutaj także skutki są różne, jak różne były pozycye, bo właśnie te ostatnie były dla pierwszych przyczyną. I tutaj rozszliśmy się w dwie przeciwne strony.

Po jednej, stopniowo rozwijać się i rosnać musiały — niedbalstwo i lenistwo.

Na cudzej ziemi i cudzym pracując dobytkiem, pocoby miał być chłop dbałym i opatrzynym?

Zainteresowanym nie był osobiście, więc dbał, o ile go zmusić zdołano.

A pracowitym pocoby miał być, kiedy pracował na pana?

Ze wsi wydalić się nie mógł w celu szukania przemysłowego zarobku po kraju; we wsi, kęs ziemi, z którego miał żywić rodzinę, uprawił bez mozołu, jedyne oprócz tego mając zajęcie w pracy dla dworu.

Była to praca, którą mógł dać tylko pod przymusem; więc dawał jej tak mało, jak można.

Prawda, przez czas oznaczony był' w polu.

Tego uniknąć nie było sposobu.

Ale w tym czasie, jak najjnniej darmo dać pragnąc, tak długo do lenistwa się wdrażał, że mu ono wreszcie do krwi przesiąkło.

Dzisiaj, pracuje chłop tylko tyle, aby najpierwsze zaspokoić potrzeby. Po za tem, bez względu, że mógłby zarabiać,—próżnuje, jak gdyby wcale nie myślał o rozszerzeniu skali swych potrzeb, ani o środkach lepszego zaspakajania dawnych.

Drugim rysem, który stopniowo przenikał do charakteru ludu, była bierność.

Chłop przytwardzony do roli, mający z góry zakreślone małe kółeczko obowiązków i robiący dziś to samo, co będzie robił jutro, i nie mogący pomyśleć nawet o przedsięwzięciu jakimś, dla siebie korzystnem; chłop żyjący bez woli i czekający pańskich rozkazów, które mu zastępowały i wolę, i rozum — musiał po upływie całych wieków utracić wszelką zdolność do inicjatywy, nawet w sferze własnych swoich potrzeb. Musiał się stawać powoli coraz mniej ruchliwym, coraz cięższym, coraz bardziej zakrzepłym niejako w tych starych formach i warunkach bytu, w jakich tak długo zostawał bez możności, chociażby nawet niegdyś miał potemu zdolności.

Wszak do niedawna i po za ruchem emigracyjnym, który jest zjawiskiem stosunkowo świeżym i obejmującym pewne okolice kraju, nie widzieliśmy, aby chłop myślał o polepszeniu losu swego na wsi. Tem mniej, aby cokolwiek w tej mierze przedsiębrał sam przez się.

Złudzone oko nasze skłonne było mniemać, że lud utracił zdolność postępu i posuwania się naprzód.

I jest to poniekąd prawdą, bo owa bierność i ociężałość, tłem charakteru jego na ogół będąca, stanowi silną dla wszelkiego postępu zaporę. Zaporę, którą wewnątrz dopiero, z niemałym wysiłkiem podważać i usuwać trzeba.

Otóż ta bierność i ta ociężałość ściśle związane są z dziejami ludu, i historycznym jest ich początek.

Po drugiej stronie, charakter szlachty przybierał odmienne wręcz cechy, bo stanowisko jej wręcz odmienne było.

Ten, kto rozkazy wydaje, kto opatruje własnym rozumem potrzeby swoje, oraz innych ludzi, mniejsza o to—źle czy dobrze je pojął—od kogo w każdej chwili zażądać mogą postanowienia lub rady, ten nie może utracić energii, ani bystrości.

Przeciwnie. Wola jego musi być zdolną co chwila do gwałtownego napięcia. A raczej, gdy przez długie czasy każda chwila wymaga od niej napięcia, nareszcie staje się ona zdolną do niego w każdej chwili.

Stąd też, owa doza energii, jaką rozporządzają dziś wyższe warstwy narodu, jest bezwątpienia także historycznego początku.

Współcześnie jednak z energią, będącą czynnikiem życia dodatnim, przychodził inny, już całkowicie ujemny. Przychodził brak wytrwałości tak w drobnych, jak i w wielkich sprawach.

Jeżeli bowiem dla osiągnięcia zamiaru dość było zdobyć się na jeden akt woli, na jej jedyny wysiłek, który sprawą zarządza i rozkazuje,—a u nas tak właśnie było,—to wola nie mogła ćwiczyć się w wytrwaniu. Do tego brakło osobistego udziału w tych pracach, które opatrywały potrzeby; udziału czynnego i odpowiedzialnego. Tutaj dość było rozkazać.

Gdyby się rzecz nie udała, winien był chłop, albo Pan Bóg. Więc nowy na moment akt woli, i nowa praca—tym samym porządkiem.

Zestawmy teraz dwie takie postacie i każmy im wspólnie pracować dla dobra kraju. Jedna wykwintna, okragła, gładka, druga rubaszna, szorstka.

Jedna rzutka, druga ociężała. Jedna niewytrwała. druga leniwa.

Co będą w stanie zdziałać pospołu?

Czego dokażą?

Jak woda i ogień skłócają się z sobą: z jednej powstanie czeza para, dym z drugiej.

Gdy jeden co przedsięwzięmie, drugi nie poprze go, bo ociężały, starych form i starych bied porzucać nie chce.

Przypuśćmy wszakże, iż przezwyciężył się i poprze. Wtedy zaczną pracować wspólnie. Ale skutek taki w końcu być musi, że niewytrwały opuści leniwego, choć sam go z miejsca ruszył, a tamtem, zostawiony sobie, znowu do dawnej drzemki swej powróci.

Jest to formuła, pod którą podciągnąć można tysiące faktów, jakie na każdym kroku, wokoło siebie w życiu spotykamy.

X.

Ale historyczne warunki życia ludu odcisnęły niezatarte piętno i na myśli jego.

Pomijając podrzędne odcienia, w trzech przedewszystkiem względach różni się myśl ludu od myśli warstw przed nim stojących: w formie, w treści i w sposobie rozumowania, pod które podciągnąć należy takie objawy, jak pojęcie o przyczynie zjawisk, rozległość skali myślenia i t. p., ujawniające naturę swą w niezliczonych, szczegółowych przypadkach.

Co do formy, to myśl ludu tem się głównie wyróżnia, że w nader małym stopniu zdolną jest do abstrakcyi, że bardzo mało mieści w sobie oderwanych pojęć, że wreszcie przeważną część wiadomości ludu stanowią fakta, nie idee, pojęcia proste, najprostsze.

Chłop wie, że funt jest równy funtowi, ale obce mu jest pojęcie równowagi. Wie, że koń może wóz ciągnąć; ale niema pojęcia o sile. Wie, że pokarm wzmacnia, głód osłabia; — ale obce mu jest pojęcie o życiu. Wie, że można i trzeba raz zboże sprzedać, to znowu kupić soli, — ale niema pojęcia wymiany. Wie, że grunt, na którym siedzi, jest jego, a grunt, na którym siedzi sąsiad—sąsiada; a niema abstrakcyi prawa własności.

Dowodów na to nie trzeba daleko szukać.

Ten tylko włada pojęciem, kto umie podciągnąć pod nie każdy szczegółowy fakt, z pośród tych, jakie to pojęcie obejmuje, kto potrafi dopatrzeć w wielu różnych faktach pokrewieństwo, będące właśnie podstawą uogólnienia.

Spróbujmy jednak przekonać chłopą, że koń, co ciągnie, wiatrak, co miele, młocarnia parowa we dworze - mają w sobie cokolwiek wspólnego.

Albo nam się wcale nie uda, albo jeśli się uda, to będzie skutkiem wielkiego mozołu.

A może zechcemy w niego weprzeć, że sprzedaż jest podobną do kupna lub nawet, że jest z niem jedną i tą samą rzeczą?

Kupno będzie dla niego zawsze tylko kupnem, sprzedaż tylko sprzedażą. Nic on w nich nie dopatrzy wspólnego, każde pojmie oddzielnie, i we wspólnem pojęciu wymiany nigdy ich nie połączy.

Tak samo niema pojęcia o życiu, bo je w chorobie ratuje czarami, a mętne tylko bardzo pojęcie o prawie. Dlatego też nie korzysta z niego, kiedy mu służy, lub często, gdy go obciąża, z całą naiwnością je łamie.

Szczegółowość więc, faktyczność, pojedynczość—oto są znamiona myśli ludowej, co do formy.

W przeciwstawieniu do myśli ludowej, myśl wyższych warstw w narodzie pełną jest uogólnień, abstrakcyi. Tak pełną, że daleko więcej niemi żyje, niż faktami.

I to jest właśnie wybitne piętno tej myśli, której naczelną cechą formalną jest ideowość, ogólność.

Fakty powyższe mają doniosłość niepospolitą.

Ta pojedynczość bowiem i ta ogólność mają swoje psychiczne następstwa, wyjawiające się w rozumowaniach i wnioskowaniu. Jeżeli tedy w formach istniały różnice pomiędzy ludem a nieludem, to i w funkcjach myślowych znaleźć je musimy.

Prawdą to jest niezbitą, że do szeregu mętnych bardzo pojęć u ludu, należy pojęcie o prawdziwej, fizycznej przyczynie.

Widzieć w tem można tylko poparcie twierdzenia o formie ludowej myśli.

Jednakże pojęcie to jest dla nas z wielu względów ważniejszym od innych abstrakcyj. Bo najpierw, pojęcie przyczyny jest nader złożonem pojęciem, i bez ogromnej liczby pojęć ogólnych, daleko odeń prostszych, w umyśle znaleźć się nie może. Tak dalece jest to prawdą, że są uczeni (Spencer), którzy stopień wyrazistości i jasności, w jakim ktoś to pojęcie posiada, uważają za miarę jego umysłowego poziomu.

A potem, podczas gdy inne pojęcia niejako same sobie służą, albo też stają się materiałem dla myśli i rozumowania, pojęcie przyczyny stanowi podstawę każdego rozumowania i wszystkie je, do pewnego stopnia, obejmuje.

Znaczy to, że jeżeli samo pojęcie jest niejasnem, rozumowanie musi być fałszywem, lub chociażby—niedokładnem.

Jeżeli tak, stosunkowo, proste abstrakcje, jak siły lub wymiany, nie mogą się pomieścić w chłopskiej głowie, lub mieszczą się tam w karykaturze—tembardziej dziać się to musi z pojęciem przyczyny.

A kiedy tego nie posiada, rozumowania jego szwankować muszą, co znowu odbija się szkodliwie na życiu.

Jakoż wszelki zabobon, przesąd, wszelkie gusło stoi brakiem pojęcia przyczyny, a ile lud na nich cierpi, to wszyscy wiemy.

Teofrast opowiada nam o starym Greku, że gdy mu kot drogę zabieżał, zostawał na miejscu bez ruchu, dopóki nie przebieżał drugi, albo szukał trzech kamieni, aby je rzucić przez drogę. A kiedy zobaczył sowę, nim ruszył dalej, musiał krzyknąć: „Ate-

no, ratuj!“ A gdy mu myszy worek pogryzły, to szedł do wieszczka i pytał: „co robić?“

Mówi mu wieszczek: „każ dziurę załatać“ — aliści Grek nie wierzy, i idzie złożyć ofiarę.

Ileż to razy i nasz chłop, zamiast załatać dziurawy worek swej biedy, składa ofiary, a zamiast pracować, czeka nadprzyrodzonej pomocy! Ileż to razy sen, jaki miał w nocy, kieruje postępowaniem jego we dnie, lub przypadkowa całkiem okoliczność, cień jaki, szmer, ruch, dźwięk, czy inna rzecz, ze sprawą związku zgoła nie mająca, rozstrzyga o wyborze drogi i środków działania?

W takich warunkach praca nie może być rozumną, a więc skuteczną. A te warunki są ugruntowane na braku pojęcia przy czyny, pośrednio zaś, na małym wyrobieniu myśli w ogóle, wyrobieniu, które nie przeszło przez stadyum faktów i uogólnień najprostszych.

W ścisłym z tem związku zostaje skala rozległości chłopskiej myśli.

Wielkie obszary zjawisk w przestrzeni, bądź w czasie, ten tylko umysł naraz objąć zdoła, który swobodnie włada znacznym zapasem pojęć ogólnych. Bez nich trzymać się będzie zawsze w pobliżu głównego ogniska myśli i uczucia, to jest myślącej osoby i bezpośrednich, palących jej potrzeb. Ale pomyślność nie może się stać udziałem człowieka, który nie umie związać zjawisk współczesnych, z szeregiem odległych następstw, który nie sięga w przeszłość, nie przewiduje.

Myśl zaś chłopska dlatego małą obejmuje skalę, że stoi na niskim szczyblu ogólności.

Otóż praktycznem następstwem tego być musi, że lud nie jest przewidującym, zabiegłym, nie jest przezornym, nie wie co to jest praca dla przyszłości.

Jest jeszcze trzecia różnica pomiędzy myślą ludu a nieludu, różnica treści samej. Wiele tu o niej wszakże mówić nie możemy.

Jest ona wielką i jest ona ważną.

Dość przecież jest wskazać na nią, bo nie wyczerpać już, ale choćby trochę zaczerpnąć w niej—trudno. Trzebaby tutaj wliczyć wszystkie pojęcia, jakie się w ludzkich umysłach pomieścić mogą; tego jednak zrobić niepodobna, bo trzebaby na to spisać całą encyklopedyę.

Jestże to traf lub przypadek że wszystkie zjawiska w sferze ludowej myśli?

Jestże to traf, że chłop umysłem tak ciężko porusza, a sięga tak niedaleko?

A gdy już poruszać zaczął, to tak mu to idzie kulawo, że błądzi na każdym kroku, bezwiednie szkodząc sobie i innym.

Czy może jestto zjawisko logiczne, na samą chwilę konieczne?

Czy może ten chłopski umysł dzisiejszy, jest normalnym wytworem dziejowym, zdawna na taką urabianym modłę, w jaką się sam dziś przemienił?

Gdybyśmy o to zaczęli pytać historyi, odrzekłaby nam, że niema tu nic zgoła niezwykłego, nic przypadkowego. Że wszystko jest takie właśnie, jak być powinno. Nie takie wprawdzie, jakbyśmy pragnęli, aby było, i jakie może jeszcze kiedyś będzie, lecz takie, jakie ustawicznym naciskiem w pewnym kierunku wytworzyć musiały dzieje.

Umysł chłopski był przykuty do wiecznie jednakich warunków bytu, zamknięty w ciasnym kole zwierzęcego niemal istnienia, więc go świeże pojęcia zasilać nie mogły.

Rozległe stosunki życia i natury leżały zawsze poza granicą sfery, z którą mu wolno było się stykać; pojęcia jego musiały pozostać tak proste, jak świat, w którym był zamknięty, a którego nie mógł opuścić.

Brak szerszego widnokregu, brak wszelkich pobudek do wybiegania myślą poza chatę, a klęski, jakich doznać musiał, kiedy wybiegł, kiedy zapragnął czegoś, a potem szczęście chciał chwycić za poję— wszystko to musiało urobić myśl tę powoli na bezwładną, skamieniałą, zadrobniałą, jako kłosa płonne.

A gdy minęły szeregi wieków, znalazł się ślad bez przerwy padających kropli,—leż może.

I kiedy dziś my, którzy nie jesteśmy ludem, w myśl jego patrzemy, widzimy ze smutkiem, często z przerażeniem nawet, że dzieli nas wielka przepaść, następstwo sztucznych warunków istnienia w przeszłości.

A tak, owo rozdwojenie, ów rozłam, jest tak głęboki, jak życie samo, i sięga najdalszych jego zakątków.

Obecność rozłamu tego występuje wszędzie, na każdym polu, w każdej sferze czynu i niema takiego, obchodzącego społeczność całą zadania, gdzieby się on dotkliwie nie dał uczuć. Owszem, gdzieby nie paraliżował wszelkiego działania narodu, jako narodu; gdzieby go nie obezwładniał, nie pozbawiał siły i wiary w tę siłę, wiary w życie samo, w jego fundamenty i w żywotność jego.

XI.

A teraz pytam: nie jestże mrzonką myśl o zniszczeniu tak zadawnionej choroby? Czy nie jest to jakaś fantastyczna sielan-ka, niewykonalna, a zatem czcza i próżna?

I czy nie jest to łudzenie samych siebie, i piękny sen — na jawie?

Nie.

Nie jest to ani mrzonka, ani też złudzenie.

Na powierzchni życia naszego występują coraz częściej idea-ły przyszłości, któremi żyją ludzie, i w imię których pracują.

Otóż, jestto niezbitą prawdą, że odwrotną stroną wszystkich rozumnych ideałów życia, niedostrzeganą dlatego tylko, że się pod spodem ukrywa, jest zniesienie zgubnego w narodzie rozłam.

Wszyscy do niego dążymy, choć często nie wiemy o tem.

Bezładnym wszakże uczynić go będziemy mogli tylko wtedy, gdy walka z nim stanie się świadomą swego celu.

O czemże to bowiem marzymy, czego to pragniemy dla przy-szłości kraju?

Oto pragniemy wszyscy, aby naród nasz był wolnym, był silnym, by był szlachetnym, zamożnym i światłym.

Lecz czyż to nie znaczy właśnie, że pragniemy zniszczyć owo rozdwojenie. Wszak bez wyplenienia tego chwastu, bez ule-czenia tej niemocy, żadne z pożądań naszych się nie ziści, żadne z ziarn powszechnego szczęścia nam nie wszędzie.

Nie chodzi tu, jak to rozumiemy wszyscy, o jakąś sztuczną równość między ludźmi. O niwelację stanowisk, serc i umysłów.

Nie.

Tutaj idzie o postęp na wszystkich polach życia. W tym po-ściepie zatrzeć się musi na dole to, co tam jest złego; podnieść co jest niskiego, wyrość, co jest małego.

U góry wzimogą się uczucia bratnie, szczerze społeczne; do-brobyt musi się wznieść tam, gdzie go niema; światło i ciepło tam, gdzie dusze znartwiały w egoizmie; a całość musi się we-sprzeć na trwałych podstawach rozwoju.

Jeżeli zaś, na każdym z tych pól, rozdwojenie uniemożliwia rozwój ten i postęp, albo go tamuje, to w pierwszej linii stać się powinno nieprzyjacielem naszym.

Każdy zwycięzki krok w neutrudzonym z nim boju będzie zbawiennym tryumfem, bo za nim już same przyjść muszą nabytki owej prawdziwej, owej podniosłej wielkości, która sama tylko może być treścią ideałów.

Lud zatem podnieść, lud dźwignąć, lud wyprowadzić z apaty, z obojętności duchowej—oto powinny być cele i zadania nasze.

Ułatwić mu rozwój wszechstronny, rozruszać go, pchnąć z miejsca, tak, jak niegdyś został na miejscu wstrzymany.

On się powinien podnieść i stanąć na tym poziomie, by wspólna praca wszystkich synów tej ziemi stała się możliwą i płodną.

On się powinien przybliżyć do nas, wyżej od niego stojących.

Wprzód jednak własnymi rękami zasypujmy tę przepaść, jaką niegdyś ręce ojców naszych wykopały.

W miarę, jak ona niknąć pocznie, coraz bardziej będziemy wszyscy razem zdolni do życia, do czynu.

W miarę, jak się ona będzie zmniejszała, coraz obfitsze będą owoce naszych usiłowań i ofiar i coraz większą powszechną pomysłność.

Jak tego dopiąć i jakich użyć środków do podniesienia chłopskiej doli, chłopskiego serca i głowy, o tem tu mówić—nie będę.

Naród potrafi znaleźć skuteczne środki dla dopięcia celów, byle tylko cele miał wielkie i jasne.

A gdy inne narody szukają chluby w rozwoju nauki czy sztuki, mybyśmy pewno nic nie stracili, gdybyśmy inne wytknęli sobie zadanie.

Czerpajmy ze skarbnicy wiedzy, oddawajmy hołd pięknu; lecz przede wszystkim szukajmy wielkości duszy w masach społecznych.

Będzie to szczytne i płodne zadanie.

Szczytne, bo stworzy miliony prawdziwych obywateli, prawdziwych synów ojczyzny. Płodne, bo niema nic, coby się milionom takim oparło.

A gdyby kiedy zbudowano wielką „świątynię ludzkości,” do którejby wchodziły narody, uosąc najlepsze pracy swej owoce, byłoby dla nas chlubą i zaszczytem, gdybyśmy tam wprowadzili naród, o którego każdym dziecięciu, chór sędziów musiałby wyrzec:

„Oto człowiek!”

MARYA KONOPNICKA.

Joris Karl Huysmans,

(PORTRET LITERACKI).

„Je n'ay pas plus fait mon
livre que mon livre m'a fait.“
(*Montaigne*).

I.

Linia rozwoju.

Nigdzie może pojęcie *artyzmu* nie ulega częstszemu nadużyciu, jak w piśmiennictwie francuskim. Każdy autor, który zyska obszerną klientelę, nazywa się tam prędzej lub później „artystą.“ A jednocześnie w tym kraju geniuszów wdzięku, jasności i czaru, kraju pozytywnych logików i wrogów poezji, ale i najzręczniejszych kabotynów — rozbrzmiewają stale utyskiwania na bezwzględność, a nawet tyraństwo sztuki. Zdawałoby się, że w kim raz ta władczyni roznieci swą iskrę, ten już nigdy spokoju nie zazna, ten — do śmierci płonąć będzie wiecznem pożądaniem ideału. „Artysta“ — to synonim wzniosłej ofiary, żarliwego poświęcenia.

Rzeczywistość nieco inne opowiada legendy. Twórczość literacka we Francji jest sobie spokojnem tkactwem unysłowem na umówionej z góry osnowie, a marzenia służą ku takim samym handlarskim celom, jak kawa lub cukier. *Do, ut des* — mówi powieściopisarz sztuce: piszę, abyś dała pieniądze. Literatura należy do „przedmiotów codziennego użytku,“ każdy bowiem porządny obywatel pragnie kontrolować przez nią stanowisko swoje do otoczenia, do siebie i do absolutów, które nad życiem poumieszczał. Warunkom tym najlepiej odpowiadają utwory, które jak naj-

większej ilości jednostek podają możność łagodnych wzruszeń, przelotnych zachwyków i nieszkodliwych nienawiści. Ktoby obliczył, ile dany „romans“ francuski mieści w sobie przeciętnych ludzi, określiliby z góry czas trwania jego poczytności. Społeczeństwo narzuca granice swobodnej grze wyobraźni i wzlotom „natchnienia,“ więc też literatura ułożyła się w typy przerażającej banalności. Pisarz, który zapomni o normach i formach popytu, który duszę swą odsłoni w całej nagości, nie myśląc ani o doraznych tryunfach, ani o wrzaskliwych sporach dziennikarskich, który w każdym twórczym słowie przejęty będzie do szpiku kości ideą piękna i tylko ideą piękna — uchodzi za potworną anomalję. Ale cóżby warte było piśmiennictwo, gdyby garści potworów takich wykazać nie zdołało?

Joris Karl Huysmans, pomimo osobliwej postawy, jaką przyjął w ostatnich latach i jaką zachował aż do śmierci, ¹⁾ zaliczony być musi do najbardziej konsekwentnych artystów-potworów. Od pierwszej do ostatniej książki żywił nieubłaganą pogardę dla mieszczańskiego czytelnika. Nigdy, najdrobniejszym ustępstwem względów jego nie okupywał; przeciwnie—wprowadzał go w unyślną mistyfikację, aby odczuł nieuleczalną swoją poziomość i duchową nędzę. Żaden z wybitnych powieściopisarzy ostatniej doby nie doznawał podobnego, jak Huysmans, losu: poza granicami swego kraju znany jest tłumom czytelniczym zaledwie z nazwiska, chociaż piśmiennictwo francuskie rości sobie jeszcze pretensye do nadawania tonu na całym świecie. Na miejscu zaś, we Francji, liczni jego czytelnicy dzielą się na trzy kategorie: tacy, co czując nieprzeparty wstręt do jego pism, z niesmakiem i goryczą o nim mówią; tacy, co nie chcąc okazać się „muffles,“ ²⁾ wielbią go na kredyt, chociaż go nie lubią; wreszcie—entuzjastyczni wielbiciel, dla których niektóre książki Huysmansa są „breviarzami“ arcyzmu. Największą, rzecz prosta, jest kategoria pierwsza, bo ją tworzą przeważnie „piękne czytelniczki,“ które rzucają niezabawne książki po kilkunastu stronicach.

Syn Flamandczyka, osiedlonego we Francji, otrzymał Huysmans w dziedzictwie wybitne cechy swej rasy: flegmatyczność, smakoszostwo, pedantyzm, oschłość, brak uczuciowości; z drugiej strony, pomiędzy przodkami bezpośrednimi (ojciec i dziadkowie)

¹⁾ Umarł d. 12 maja b. r.

²⁾ Wyrażenie „muffle,“ pokrewne używanemu u nas *filister*, posiada ostrzejszy akcent pogardy. (Przyp. autora).

liczył wielu artystów-malarzy i rzeźbiarzy. Może w tych silnych prądach organicznych szukać należy wyjaśnienia podstawy jego dziwnego talentu? Bo i czemuże wytłómaczyć, że od trzydziestu lat ten zabłąkany w literaturę malarz, przebiegał z jednego środowiska obserwacji w drugie, z jednego źródła poszukiwań w inne i rozpałał w sobie nieznanne żądze, drażnił i wysubtelniał wszystkie zmysły, budził niespokojne ciekawości, obiecywał nadludzkie dreszcze i dziełami własnej wyobraźni zmieniał swą duszę stopniowo, ale do gruntu? Jak niegdyś Montaigne, mógł Huysmans powiedzieć: „Tak samo i tyleż zrobiłem moje dzieło, jak ono zrobiło mnie.“ Proces tych przemian, jeden z najciekawszych, jakie postrzegano w historii literatury, zaznaczył się w trzech wyodrębnionych, ale powiązanych ze sobą ścisłą następczością peryodach:

Opisując najpierw przedmioty i wypadki pospolite lub odrażające, wykazywał Huysmans bezbrzeżną wzdargę do otoczenia i do życia. W tym pierwszym, najdłuższym cyklu powieści, ratował się moralnie tem, że zaczął w pogardzie smakować, lubić brzydotę dla rozkoszy nienawidzenia. Wkrótce sama wzdarga nie mogła już wystarczyć dla wypełnionej nudą wyobraźni. Począł Huysmans budować światy sztuczne, takie właśnie, które będą zaprzeczeniem życia mieszczańskiego, które będą zbudowane na opak wszystkiemu, co się dzieje w naszej codzienności. Skąpał się w krwawych, demonicznych orgiach, w sadyzmie religijnym. Ale i to długo trwać nie mogło. Wyszedł z kąpieli do gruntu niespokojny, z duszą w trwodze i bólu, aż musiał w okrutnej skrusze „wymiotować“ samego siebie. Zachwycony pięknem sztuki kościelnej, wraca, jak pokutnik średniowieczny, do ślepej wiary, wstręt do siebie wypowiada w ohydnych zwierzeniach, zapada w głęboki, zmysłowy mistycyzm i rzuca najgwałtowniejsze przekleństwo literackie na literaturę.

II.

Męczennik brzydoty.

Pierwsza młodzieńcza książeczka Huysmansa „Słoik z cukierkami,” nie posiada jeszcze wyraźnej cechy osobistej. Poprzedzone pretensjonalnym wierszykiem, ośmiuście obrazków, poematów prozą i nowelek, nie zapowiadają ani zdecydowanego talentu, ani rodzaju, w którym ten odezwać się może. Częste u młodych

szukanie nowej formy, walczy tu nieśmiało z pozowaniem przed sobą i przyozdabianiem się w szaty, zapożyczone zlekka od Baudelaire'a, Edgara Poe'go i innych. Jediną, dostrzegalną już cechą stała się skłonność do drobiazgowych, plastycznych opisów, przez które można dołączyć jako tako owe „fanfreluches“ (jak je sam autor nazywa) do późniejszych, bardziej już dojrzałych utworów.

Mocniejszy krok literacki postawił Huysmans opowiadaniem „Marta.“ Zuchwałe poruszenie i traktowanie przedmiotu, zjednało powieści rozgłos znacznie większy, niż spodziewać się należało po jej wartości artystycznej. Działo się to w epoce, kiedy jeszcze ani Zola „Nany,“ ani Goncourt „Elizy“ nie ogłosili i kiedy w literaturze pojęcie naturalizmu zaledwie wiązać się zaczęło z wybieraniem drastycznej treści. „Marta“ w samym tytule nosiła objaśniający dodatek: „historia dziewczyny publicznej,“ więc wciągnięto autora odrazu do „szkoły naturalistycznej.“ Tymczasem „Marta,“ jakkolwiek zawiera wiele obrazów, przypominających najjaskrawsze ustępy pism Zoli, przecież, na każdej niemal stronie, wymyka się z pod formuł szkoły. Huysmans, od początku swej twórczości aż do końca, nie był w stanie wznosić się po nad przedmiot, być w nim, podług woli Flauberta, niewidzialnym „niby Bóg w stworzeniach.“ W *Marcie* widzimy wciąż autora, odczytujemy raczej kronikę jego własnych wrażeń, dziennik stanów jego duszy, niż bezstronną historję upadku dziewczyny. Sama treść zresztą, bez nieustannej interwencji w słowa i gesty bohaterów, nie zdołałaby przekroczyć dziennikarskiego opowiadania o tem, w jaki sposób robotnica paryska staje się pewnego smutnego wieczoru wasalką ulicznego przechodnia, jak miewa błyski szczęścia w przypadkowym macierzyństwie, jak życie jej chwile się pomiędzy samobójstwem i domem publicznym, do którego wraca kilkakrotnie, aż pełna żalu i rozgoryczenia osiada w nim na stałe. Ale w rozwoju tej strasznej akcji, Marta dość często myśli i rozumuje, jakby była samym Huysmansem. Niekiedy uczuwa litość nad swymi kochankami, szydzi z jedwabnych koszul burżuazów i nudzi się okropną „banalnością“ swych przejściowych wielbicieli. Buntuje się w słowach, pożyczonych od autora, a stopniowy upadek swój zaznacza w nienaturalnych okrzykach pesymistycznych. Dowiedziawszy się np., że poszukuje jej policja od obyczajów, przygnębiona, bezdomna, błąka się po ulicach i zapada w stan ostatecznej rozpacz. Deszcz leje okropny, zmokła do nitki. Zgłodniała, zziębnięta, wyczerpana, zawlokła się nad Sekwanę i wlepiła w rzekę wzrok samobójców. Nagle

ktos ją zaczepia: był to pół-pijany dawny towarzysz, dyrektor teatryku, który tragiczne położenie odrazu zrozumiał i ofiaruje Marcie swe względy. „Dotknąłeś—woła dziewczyna z goryczą— błota. Gdybyś nie wiem jak zeskrobywał, pozostanie ślad zawsze, jak tłusta plama na ubraniu. Wszystko mi zresztą jedno. Ani ojca, ani matki, ani zdrowia—to się nazywa powodzenie! Patrz—dodała, zagłębiając nogę w kałuży—masz błoto. Ale tego mało, wejdę w nie po szyję i przysięgam, że głowy nie podniosę, aż będę miała pełne usta, aż się zaduszę i zdechnę!“ W podobny sposób zjawia się autor często pomiędzy wierszami i albo wypłukwa gorzkie zdanie, albo podszeptuje bohaterce wyrazy wstrętu. Niekiedy pomaga mu w tem zadaniu jeden z trwalszych kochanków Marty, dziennikarz Leon, z którym Marta „udawała miłość przez miesiąc.“

Uderzają w „Marcie“ dwie cechy. Przedewszystkiem sposób, a zwłaszcza język, którym została napisana. Mamy tu zdania zbudowane oryginalnie. Niektóre rozwijają się swobodnie i brzmią tryumfalnie, jak hymny zdobywcze; inne przesuwają się cicho, jak węże. Obok wyrazów bieżących, spotykamy takie, które szepcą do ucha nieprzystojnie propozycyę. W całości panuje atmosfera zatruta zgnilizną, chmurna i odrażająca.

Pozatem wykazuje „Marta“ pierwiastki, niezgodne z objawioną następnie naturą talentu Huysmansa. Posiada dosyć wykończoną fabułę, stopniowy rozwój wielu aktów dramatu, próbę syntezy jednego nieszczęsnego życia. Dla ścisłego zbudowania takiej syntezy należało posiadać jakąkolwiek filozofię życiową. Zola np., nakreśliwszy sobie szczegółowy plan, budował podług niego wielkie gmachy, wypełniał je życiem i wstawiał w wielkie tło społeczne, z którego, pomimo rzekomego obiektywizmu autora, wyłania się zupełnie wyraźna filozofia osobista. Tymczasem Huysmans opisuje tylko okropne i wstrętne rzeczy, nie dbając o wartość szczegółów. I dlatego z całej książki wieje beznadziejny pesymizm, a po przeczytaniu doznajemy wrażenia, jakbyśmy oglądali nieuleczalną ranę, którą sami zadaliśmy ofierze. Odsuwamy powieść z takim samym pośpiechem, jakbyśmy wychodzili z prosektoryum, do którego zamknięto nas na kilka godzin.

Ponieważ w „Marcie“ opowiedział Huysmans bądź co bądź historię całego żywota jednostki, musiały w niej zejść na drugi plan malarskie opisy nędzy i rozpusty. Czytelnik w takich razach zapomina o barwach i kolorach, w których mu zgniliznę pokazują, ale mówi sobie: „dosyć! zgnilizna, czy tak czy owak, jest wstrętna!“ A przecież widoczna, że interesowała autora tylko

obrazowa strona przedmiotu, że starał się opowiedzieć, jak wyglądają rzeczy i wypadki, które dla spokoju sumienia wyrzucamy zwykle z pamięci. Znajdował jakieś zgryźliwe zadowolenie w układaniu barw i gestów tam, gdzie nas zwykła interesować tylko uczuciowo-moralna komplikacja. Dowodził przez kilkaset stronic, że niema znaczenia ciężkość i bolesność rany, skoro sama rana jest zajmująco obrzydliwa: *zajmująco* dlatego, że można z powodu niej wyładować zapas sarkazmów i przekleństw, nagromadzonych w duszy.

W dwóch następnych utworach („Siostry Vatarad“ i „W małżeństwie“) „intryga“ zesłała na dalszy plan, a życie jest sobie tylko długim łańcuchem drobniutek, nędznych, śmiesznych i trywialnych zdarzeń, które autor przesuwa przed swojemi oczyma, aby mózdz zakląć od czasu do czasu i wstawić pomiędzy wiersze rozgniewaną, ironiczną uwagę: „widzicie, jakie to wszystko okrutnie zajmujące!“ Celina i Dezyderya Vatarad pospolitością przypominają figury Van Ostade'a. Pracują obie w wielkiej introligatorni. Starsza, Celina, niezbyt wyszukana odmiana „Marty,“ żyje z paryskim „marlou,“ który wyciąga od niej pieniądze, bije ją i dręczy. Marzy o pieśczośliwej miłości, o idealnym kochanku, któryby jej ofiarował ciastko, lub kwiatek w dniu imienin. Spotyka młodego malarza, Cypryana Tibaille, który ładnie się ubiera i pięknie utrzymuje paznogie, więc dla niego rzuca swego Anatola. Ale Cypryan zbyt ją po ludzku traktuje, a gdy nadto nie chce chodzić z nią w niedzielę na Pola Elizejskie, Celina przestaje być zadowolona, że ma „pana“ czysto odzianego i... powraca do swego Anatola.

Dezyderya inne ma usposobienie. Pragnie wyjść za mąż, aby mieć pokoik malowany w ładne kwiatki, orzechowe łóżko, białe firanki, filiżankę ze swemi literami, a na ścianie—ładny obrazek, np. amorka pukającego do drzwi. Sądzi, że ideał taki posiadzie, gdy wyjdzie za młodego robotnika, Augusta. Przez wiele miesięcy, wieczorami, przechadzają się zakochani po jednym z odludnych bulwarów i—gawędzą. Miłość ich niknie pod wpływem tysiąca monottonnych drobiazgów, tysiąca niewidzialnych przeszkód. Historia powolnego konania tego uczucia zajmuje znaczną część książki i interes jej najmocniej ożywia. Znudzony do reszty August, dochodzi do wniosku, że siostra jego przyjaciela potrafi tak samo, jak Dezyderya, uczynić mu życie przyjemnem i słodkiem. Zaręcza się z nią pocichu, a to samo z kim innym czyni w sekrecie Dezyderya. Wreszcie pomiędzy byłymi narzeczonymi dochodzi do porozumienia i rozstają się na zawsze, „wkładając w spoj-

rzenie całe niedawne do siebie przywiązanie, całą wzajemną dla siebie litość.“

Napróżnobyśmy szukali w całym opowiadaniu chociaż jednego idealnie wyposażonego charakteru. Postacie główne czy drugorzędne są drobne, niezajmujące, a zarysowane tak, że ich oderwać niepodobna od fizycznego tła, od materialnego otoczenia. Najważniejsza siła talentu Huysmansa zwraca się właśnie ku malowaniu świata zewnętrznego. Zdaje się niekiedy, że nigdy nie skończy określać danego położenia, lub miejsca, tyle wyczerpuje szarych, nieuchwytnych barw. Opis pracowni, do której uczęszcza ją siostry Vatarde, mieszkanie dziewczyn i ich życie rodzinne, podróż Dezyderyi omnibusem, miejsca jej schadzek z Augustem, teatrzyk, ulice — wszystko to wzbudza wewnętrzne widzenia tak intensywne i plastyczne, jak wspomnienie lub powtórzenie raz oglądanego obrazu. Heyse mówił o sobie, że nigdy nie potrafił naskicować natury, któraby nie miała czegoś powabnego, nigdy nie umiał stworzyć charakteru kobiecego, w którymby do pewnego stopnia sam nie był zakochany. Można by powiedzieć, że Huysmans jest antytezą podobnego pisarza: nikt tak jak on nie umie wiernie i malowniczo przedstawiać najbezbarwniejszych, najmniej „powabnych“ stron natury i ludzi. Zapomina, że pisze „romans“, że ma bawić i zajmować, że winien, „stosownie do tradycyi i zwyczaju“, niektóre szczegóły umyślnie opuszczać; pisze wszystko, jak widzi, aż staje się okrutnym, wypowiadając to, co czytelnik ukryćby pragnął przed samym sobą. Główne postacie wstawia po to jedynie, aby w jakikolwiek sposób usprawiedliwić drobiazgowość opisów. Oto np. rozrywka sióstr Vatarde: „Z nudów oglądały najdrobniejsze szczegóły kolei żelaznych, połysk mosiężnych rączek przy wagonach, rozważały rozmaite kolory dymów maszynowych, dymów, które z białych zamieniały się na czarne, z niebieskich na szare, a niekiedy zabarwiały się na kolor żółty, lub na brudno-żółty i t. d.“ Analiza barw i odcieniów odbywa się często na dwóch lub więcej stronicach.

Znajdujemy ją jeszcze częściej i jeszcze dokładniejszą w romansie „W małżeństwie“, najlepszym z całej pierwszej seryi książek Huysmansa. Jak w „Siostrach Vatarde“, rozwija tu autor równoległe dwa charaktery, a raczej dwie odmiany tego samego położenia życiowego. Pod postacią głównych bohaterów, opowiada przygody własnej duszy, a raczej wpływ zmysłów na jej zmiany i cierpienia. Malarz Cypryan Tibaille (występujący już poprzednio w „Siostrach Vatarde“), oraz przyjaciel jego, literat Andrzej, oznaczają dwie strony natury Huysmansa. Cypryan jest

człowiekiem przeżytym, rozmiłowanym we wszelkich odcieniach występku, byle skomplikowanych i subtelnych. W sztuce pojmuje najskrajniejszą nowoczesność. Artysta, podług niego, winien malować to tylko, co sam może zwiedzić i obejrzeć; a ponieważ on odwiedzał i oglądał tylko dziewczyny, więc malował ostatnie plebejuszki występku. Ma wstręt do panien i do małżeństwa. Wracają z Andrzejem z balu, na którym obadwaj okropnie się nudzili, w drodze prowadzą gawędę. Andrzej nie podziela poglądów towarzysza na kobiety, bo się ożenił i „ustatkował.“ Uważa, że miło jest wogóle puszczać paradoksy nakształt fajerwerków, ale przychodzi czas, gdy ognie bengalskie nie chcą się zapalać: — zbyt przesiąknięty wilgocią. Nie posiada zresztą co do swego małżeństwa żadnych sentymentalnych złudzeń. Ożenił się, ponieważ dość miał zimnych obiadów, gotowanych przez stróżkę, znudziły go porozrywane gorsy koszuli, poniszczone mankiety i ciągły brak czystych chusteczek. Uważa, że z dwójgą głupstw — małżeństwo jest lepszem, bo stanowi kasę oszczędności na stare lata, daje prawo skargi przed drugą osobą i pozwala spodziewać się niekiedy jej przywiązania. Wypowiedziawszy w tym tonie szereg rozważnych poglądów, wraca Andrzej do domu i trafia na dramatyczno-komiczną, wybornie rysowaną scenę: żona bawi się z gachem. Pełen zimnej krwi i zjadliwej powagi, poświecił Andrzej „temu panu,“ a potem sprowadził go po schodach, aby zestraszony gaszek nie upadł i hałasu nie narobił. Stanąwszy wobec ruiny małżeńskiego spokoju, porzuca Andrzej żonę i wraca pod opiekę starej służącej, Melanii. Prowadzi znowu nieskończone gawędy z Cypryanem, zaczytuje się w książkach, z pobłażaniem patrzy na kradzieże Melanii. Ale po kilku tygodniach, gdy zawiadomił już żonę przez notaryusza, że może sobie posag odebrać i zabrał się do pracy, wybucha w nim „kryzys spółdzielczy.“ Nadchodzą ciężkie wieczory. Po pierwszym „kryzysie“ idą następne, coraz cięższe i coraz gwałtowniejsze. Straszliwa nuda tego kawalerskiego życia, malowana z holenderską dokładnością, stanowi oś całego opowiadania oraz filozoficzną jego rację. Próbuje Andrzej przypadkowej miłości, wraca do dawnej kochanki, ale i to go niezadowala. Przez pośrednictwo tedy Cypryana, naprawia się zerwane małżeństwo i Andrzej przechodzi przez nową fazę najczulszej miłości.

Ironii autora nie stało się widocznie zadość przez samo zestawienie wypadków i rozwiązań, przez tysiączne, drobniańskie powikłania, uwypuklenie duchowej nędzy żony Andrzeja i jej wuja. Na zakończenie rozbudza w czytelniku uczucie ostatecznego obrzy-

dzenia i przygnębienia. Zebrali się Andrzej z Cypryanem w kawiarni. Zgodzili się wkrótce na jedno, a mianowicie, że sztuka nie ma żadnego sensu. „Malowanie — woła Cypryan — dyabła wszystko warto! Czasem, gdy się spoczywa w łóżku, dobrze przed snem pomyśleć o obrazach, których się nigdy nie namaluje. W gruncie rzeczy małżeństwo i konkubinat warte są siebie, skoro nas obudwu oderwały od wszelkich trosk artystycznych. Brak talentu, brak zdrowia — ależ to szczyt marzeń... Dobrze, że czujemy w sobie taką pustkę, bo teraz, po tylu ustępstwach, zajmie się nami zapewne wieczna głupota ludzka. Podobni do naszych współobywateli, będziemy mieli nareszcie prawo żyć w poszanowaniu i mierności!“ — „Ideal!“ — westchnął Andrzej. — „O!.. — poprawił Cypryan — ten lub inny!...“

Pesymizm, zionący z całego opowiadania, nie zawiera w sobie tonów rozpaczy, ani efektownych draperyj. Przeciwnie — zimny jest, oschły i krótki. Wynika zawsze z nadmiernej wrażliwości. Ponieważ niepodobna cierpieć w słusznym stosunku do doznawanych bólów, więc nie cierpi już wcale, ale szydzi i nazywa rzeczy cynicznie po imieniu. Kiedy patrzymy na codzienne przejawy filisterstwa bliźnich, tępieje wkrótce nasza zdolność odczuwania; nie rażą nas, ani gnębią. Huysmans ma wrażliwość przerażającą. Nie opuszcza żadnej sposobności, aby poziome nadyknienia, drobne podłostki współczesnych sfer mieszczańskich jaknajjaskrawiej podkreślić. Czasem pogarda jego przybiera kształt tak wielkie, że staje się niemal litością.

Wątek „W małżeństwie“ obraca się jeszcze około starego przedmiotu (miłość płciowa), ale snuje się w sposób otwarty, a tak wyzuty z obłonek, że przestaje być zupełnie sympatycznym. Czytelnik, gdy się utworem zachwyca, najczęściej woła: „ach, jakie to prawdziwe!“ — bo takie tylko wypadki za prawdziwe uznaje, w których siebie postawić może za współbohatera. „W małżeństwie“ — niewiele zapewne takich okrzyków wywołało. Niemniej przeto, w całym naturalistycznym piśmiennictwie francuskim, mało odnaleźć zdołamy utworów, któreby siłą kolorytu i wiernem odczuwaniem rzeczywistości dorównać mogły tej powieści. Charaktery, z wyjątkiem Andrzeja, którego autor otacza wyraźnymi promieniami sympatii, traktowane są sarkastycznie. Jeżeli która z postaci jest komiczną, to zawsze pomimo woli, zawsze okrutnie, zawsze dlatego jedynie, aby pokazać, że prostota bywa bezmyślna i wstrętna. Nigdy i nigdzie żadna z osób nie śmieje się radośnie; wesołość jest dla Huysmansa pierwiastkiem, nie objawiającym się w życiu dość wyraźnie. Osoby jego nie

wyobrażają żadnego symbolu, żadnego umówionego typu, żadnej poszczególnej siły, ani władzy duchowej; nie wyobrażają specjalnie niczego, ale za to wyrażają całego, żywego człowieka. Człowiek ten *nie wie*, że na niego patrzy czytelnik, przywykły do konwensownych ruchów i wyrażań, nie myśli zajmować lub wzruszać. Nie wprowadza go Huysmans do romansu drogą *rozumowania*; charakteru jego nie wywija ze zwykłego w podobnych razach pasma logicznego, nasnutego zgóry na wałek, gwoli przyjemności leniwego czytelnika; przeciwnie, daje wszystkim postaciom codzienne zaniedbanie, nierówności i sprzeczności, które łączą się w całość spoiłą, organiczną. Wskutek tego pełno w powieści naturalnego ruchu. Gdy mamy jaką wątpliwość co do psychologii bohaterów, tłómaczą ją tysiące szczegółów, niekiedy nastrój mieszkania lub ulicy. Brzydotę codziennego życia dawno przed Huysmansem malowali Goncourtowie i Flaubert. Ale i pobudki tego malowania i rezultaty są u nich znacznie odmienne. Flauberta dręczyła wieczna głupota ludzka i jej to brzydotę wykuwał w marmurowych kształtach; Edmund Goncourt przyznaje się (w przedmowie do „Braci Zemganno“), że malował brzydkie natury, ponieważ łatwiej jest przeniknąć w ich mechanizm wewnętrzny. Obadwaj ci pisarze zresztą stawiali brzydotę w tak dalekiej perspektywie, tak ją wysubtelniali w cieniach i refleksach, że zostawiali w czytelniku, bądź co bądź, wrażenie przyjemne, nakazywali mu, mimo woli, współczucie. Dla Huysmansa — głupota ludzka, jak i brzydota, nie mają w sobie pierwiastków bolesnych; widzi je wszędzie, w nadzwyczajnej, niewyczerpanej obfitości. Spokojnie, zbliżka je maluje, plamami bardzo wydatnymi, ale bez jaskrawości. Wszystkie objawy świata zewnętrznego, zarówno postępkę ludzką, jak natura martwa lub żywa, mają dla niego jednakowe znaczenie; pierwsze i dalsze plany spływają w plan jeden, zawsze pierwszy, a właściwie—jedyny. Jeżeli stłumienie pomiędzy szczegółami nie są wiernie uchwycone, jeżeli martwa natura zajmuje znaczną część książki, to nie dla tego wcale, żeby więcej autora interesowała, ale że posiada dla niego więcej barw, niż człowiek. Opisy Huysmansa — to nie kolorowane sztucznie fotografie (jak to często bywa u Zoli), ale nadzwyczajnie dokładne obrazy, podług których w przyszłości wiernie odtworzyć będzie można fizjonomię życia paryskiego w różnych porach dnia, przy różnych stanach pogody i pośród rozmaitych klas społecznych. Nie znam w żadnej literaturze powieści, w którejby realizm doszedł do większego absurdu estetycznego, to jest stanął bliżej natury.

Pomimo silnej oryginalności Huysmansa i jego zgoła samodzielnego patrzenia na świat, krytyka wytknęła mu wcześniej pokrewieństwo twórcze z Zolą. Mało jeszcze świadomy swych środków oraz składu swej organizacyi artystycznej, nie zląkł się nazwy „ucznia“ i stanął pod sztandarem naturalizmu, jako obrońca haseł szkoły. Przyczyniły się do tego w znacznej mierze osobiste, przyjazne stosunki z Zolą. Gdy się pokazały słynne „Wieczory w Medanie,“ stanowiące zbiór opowieści na tle wojny siedemdziesiątego roku, wystąpił w nich Huysmans z obrazkiem, który wywołał powszechne oburzenie, a książce nadał niezatarte piętno, z jakim przejdzie do tradycyi. W codziennej krytyce paryskiej wyraz „médaniste“ stosowanym bywa często dla określenia ordynarnego naturalizmu, zadowolającego się doborem ostrych wyrażań i drażliwych sytuacji. „W tornistrze“ — to opowieść studenta prawa, zmuszonego do odbycia kampanii. Przerzucany z miejsca na miejsce, dostaje się do Chalons i tu, jako chory na dysenterję, wchodzi do szpitala. Właściwa treść noweli zawiera rozpaczliwą nudę choroby, potajemne wycieczki na miasto, a wreszcie ofiarowanie choremu dwóch miesięcy urlopu na rekonwalescencyę. Ale autor, ze zwykłą wzgardą dla konwenansów, umieścił w zakończeniu kilkanaście wierszy, w których opisuje uciechę uwolnionego żołnierza, że posiada nareszcie czysty ustęp. Ten trywialny szczegół, przypominający scenę z obrazów starego Breughela, utrwalił w prasie na długi czas pogląd, że Huysmans posunął do ostatnich, karykaturalnych granic formułę naturalistów.

Sprawa żołądka zajmowała Huysmansa zawsze bardzo żywo. Zdaje się, że znaczna część zgryźliwości starokawalerskiej, wypełniającej wiele stronic „W małżeństwie,“ wynikła ze złego trawienia. Własną niedolę kulinarną opiewa autor nietylko przy każdej sposobności w powieściach, ale poświęca jej specjalne utwory. W „Szkicach paryskich“ znajduje się dziwaczny „poemat prozą o mięsach pieczonych,“ w którym jako *refrain* znajduje się takie zdanie: „właśnie fałszywe befsztyki i podejrżane kotlety baranie z pieców restauracyjnych rozwijają ferment konkubinatu w zbołałych duszach starych kawalerów.“ Troska o znośne jedzenie zamienia się w tragiczną nędzę w opowiadaniu: „Co będzie — to będzie!“ („A vau-l'eau!“). Stary kawaler Folantin, urzędnik w ministerjum, (tak samo jak Huysmans) żyje samotny, osowiały, pogrążony w pustce życiowej. Żenić się — zapóźno, szczęścia w życiu szukać — nie warto; powiedział sobie przeto: co będzie — to będzie! W godzinach pozabiurowych jedyna zajmuje go myśl:

znalezienie uczciwej restauracyi. Wszędzie go karmią źle, więc nieustannie zmienia zakłady i — ciągle napróżno. Życie człowieka — mówi sobie wreszcie — dzieli się na cierpienia i nudę. Nie warto zajmować się niem; najlepiej skrzyżować ręce i starać się zasnąć.“ Zaniin Folantin dochodzi do takiej rozpaczliwej filozofii, powtarza wstręty i nienawiści autora. Co krok napotykamy uwagi, zaprawione jadem i goryczą. Wino w obiadach paryskich „czuć atramentem,“ cygara „mają zapach kapusty i nie ciągną,“ mularze są „jak zwykle pijani,“ kobiety przychodzą na schadzkę „po lub przed godziną oznaczoną, nigdy — w porę,“ służące paryskie „nigdy nie umieją w piecu palić,“ wystawy sklepowe są „odrażające“ i t. p. Zresztą nie ma ani jednego czynu ludzkiego, któregoby Huysmans nie sparodyował przez proste podkreślenie towarzyszących mu szczegółów.

Istnieje w Paryżu rzeczka Bièvre, płynąca w znacznej części pod domami, a w miejscach odkrytych zajęta przez garbarzy. Zatrzuwa powietrze mieszkańcom i zdawna już zakłóca spokój radzie miejskiej. Wrażliwy Huysmans nie mógł przejść obok Bièvre'y bez dreszczu. Poświęca jej całą monografię. Lituje się nad nią. Żałuje krajobrazów, na których tle przesuwiała się dawniej. „Bièvre — mówi — przedstawia dzisiaj najdokładniejszy symbol nędzy niewieściej, wyzyskiwanej przez wielkie miasto. Niby dziewczyny wiejskie, wpadła, zaraz po swem w mury przybyciu, w przemysłowe ręce stręczycieli; odarta ze swej odzieży — trawy, ze swych ozdób — drzew, zmuszona była zabrać się natychmiast do wstrętnej i okropnej pracy. Pochwycona przez chciwych handlarzy, którzy ją sobie wzajemnie wrywają i za wspólną zgodą, zatrzuwają po kolei, stała się garbarką, co dniem i nocą pierze świeżo zdarte skóry.“ Jak niegdyś malował nędzę i ból upadłej „Marty“ z bulwarów zewnętrznych, tak tu, nadawszy życia cuchnącej i zgniłej rzeczulce, wdziera się Huysmans w jej psychologię, szuka jej duszy, aż poczuje żywe drganie natury.

Tak ponuro usposabiło go życie miejskie, owo współczesne życie mieszczaństwa francuskiego, w którym grosz wypiera wszystkie uniesienia, że wybrał się na wieś, na wiele lat przed Zolą. Ale nie znęciły go uciechy na łonie natury, nie pociągnęły go krajobrazy, ani piękne łąny, ani żywiczna woń lasów. Powieść „W przystani“ jest oplwaniem natury i życia wiejskiego. Zrujnowany Jakób Marles, schronił się wraz z żoną do kuzynów, bogatych, a poziomych fermerów. Złamało go życie w Paryżu, wzdycha przeto do samotności, do spokoju wiejskiego, do długiego wypoczynku wśród pól i gajów. Mieszkają z żoną w jednej

z najmniej opuszczonych komnat starego, niemieszkalnego pałacu, należącego do fermy i prowadzą tam życie rozpaczliwie monotonne. Sądzi, że zdołają coś zaoszczędzić przez pobyt na wsi; tymczasem kuzyni fermerzy, chciwi i skąpi chłopcy, chociaż zaprosili ich na odpoczynek, wyzyskują i okradają „mieszczuchów“ w nieludzki sposób. Odpoczynek zamienia się w powolne męczeństwo. Natury nie znał Jakób wcale; miał o niej pojęcie raczej z książek, niż z własnego doświadczenia. I oto powoli wszystkie jego złudzenia padają wobec rzeczywistości. Rozwiał się w nim prędko poetyczne wyobrażenie o pracach polnych. Widzi w nich tylko ciężki mózół, bezbarwny i jednostajny. Z żalem wspomina o pięknościach miejskich, zwłaszcza o wspaniałości maszyn, „jedynem pięknie, które wytworzył świat nowoczesny.“ Życie zwierzęt, przejawy ich płciowych instynktów (barwnie i dziko malowane) — wydają się Jakóbowi śmieszne. Fermerzy — kuzyni, którzy chwalał Prusaków, ponieważ dali się oszukiwać podczas wojny, wzbudzają w nim bolesną odrazę. Zakosztowawszy tysiąca udręczeń, przykrości i niewygód — wraca złamany, zinęczony i stęskniony do Paryża.

W całej fantazyi, stworzonej po to, by związać rozmaite obrazy i wizye, sponiewieraną została natura. Autor nie tylko oskarża ją o bezbarwność, ale nieustannie mocije się z nią w tonach i plamach. Przesuwa przed nami wyłącznie obrazy, zadziwiający obrazy, których potrzeba ruguje w nim powoli potrzebę szukania najkrótszej nawet akcji. Często każe je opisywać jednej z osób działających, ale czynność podobna nie zawsze się udaje, gdyż trudno uwierzyć, aby człowiek bez kultury umiał tak bystro patrzeć, tak przenikliwie poszczególne zjawiska odróżniać. Autor niedogodność tę odczuwa, więc bierze na siebie miły trud dopowiedzenia, jak było, zalewa potopem barw, analizuje i zestawia, podkreśla i uwydatnia punkty mniej widoczne; a kiedy odczuje, że skombinował obraz zbyt artystycznie, zbyt doskonale, wtedy dodaje od siebie uwagę: „lecz to wszystko było dla niego obojętnem.“ Postacie opowiadania są zazwyczaj mizernymi pionkami, które służą nie po to, aby zainteresowały własnym życiem, lecz aby uzasadniły obecnością swoją malowanie otoczenia. Wszędzie brzmi jeden ton ogólny: nienawiść codziennej brzydoty, pogarda dla rzeczywistości. Ani malarskiego, ani etycznego swego ideału nie wypowiada Huysmans wprost, lecz podsuwa go czytelnikowi negatywnie: gdy przedstawi rzecz w całej ohydzie, każe się domyślać, że zaprzeczenie tej ohydy będzie pięknem; gdy pokaże nagą prawdę w obrazie — obudza nudę i przygnębienie, a je-

dnocześnie myśl o idealnej, promienistej kąpieli duchowej. Drobiazgowość i delikatne półtony sprawiają wrażenie, że autor walczy ze środkami, jakie ofiarować może język, że pragnie powiedzieć więcej, niż powiedział, lecz zatrzymuje się, bo literatura ma swoje granice i własne cele.

Łatwo się domyśleć, jak na człowieka z podobną siatkówką działają rzeczywiste obrazy malarskie. Przez kilka lat prowadził Huysmans w pismach sprawozdania z salonów (wydane w oddzielnym tomie). Tu dopiero wykazał, w jak wysokim stopniu posiada odczucie brzydoty, jak męczy go ogólny brak poczucia piękna i harmonii. W „urzędowym“ malarstwie dostrzegł jedynie chęć opisu i kuglarskie śródeczki. Oburza go nieskończona ilość, wystawianych co roku, nagich kobiet, malowanych na świeżem powietrzu, na trawie. Nagość w życiu dzisiejszem jest tylko stanem przejściowym, chwilowym. U dawniejszych malarzy, u Rembrandta np., nie znajdziemy nagiej kobiety, którejby rozebranie nie świadczyło odrazu, że nagość wynikała z potrzeby, wypadku lub kaprysu. Stojąc przed słynnymi „Narodzinami Venus“ Bouguereau, pragnie „wyć z wściekłości,“ bo widzi, że autor tego płótna, „mistrz w hierarchii miernoty, stał się przywódcą szkoły, a szkoła owa, jeżeli się temu w porę nie zapobiegnie, wyrośnie na stanowcze zaprzeczenie sztuki.“ Nie podziela również ogólnego zachwyty nad obrazami Puvis de Chavannes'a. Przechodząc około ulubionego w Paryżu „Biednego rybaka,“ wzrusza ramionami, bo gniewa go „to małpowanie wielkości biblijnej, otrzymane za cenę kolorów, lub przez grube kontury, udające niezgrabność prymitywów włoskich.“ Wielki fresk Chavaumes'a w Nowej Sorbonie nazywa „dziełem ascetycznego smakosza, niestrudzonego robotnika, który pracuje nad artykułami, powierzanymi zwykle wujaszkom sztuki;“ sądzi, że jego twórca „mógłby być poczytywany za radcę i szanownego majstra, gdyby głupia wrzaskliwość brukowej krytyki nie wysilała się na miano wielkiego artysty i poety.“ Millet, chociaż „obdarzony godną uwagi zręcznością, palców i pewną delikatnością wzroku, był prostakiem bez prawdziwego wykształcenia — robotnikiem, wprowadzonym na złą drogę przez tyrady szynkowni artystycznych — kmiotkiem, zepsuty przez odwiedzanie innych malarzy, urodzonych w Paryżu i kształconych wyłącznie na piosenkach z *cafés-concerts* i na mądrych sporach w *table-d'hôte'ach*.“ Krajobrazy jego są tyleż konwencyjonalne i sztuczne „jak wszystkie popisy z opery komicznej, wynalezione przez starą baletnicę, co snuła głupie ideały, a nazywała się Georges Sand.“ Wogóle w sprawach sztuki tegoczesnej

widzi Huysmans dyletantyzm i głupotę z jednej strony, nieuczciwość zaś z drugiej: głupotę w publiczności, nieuczciwość—w prasie, która nią kieruje.

Tęsknota do nieznanego widoków wytwarzała w jego duszy gorzką i zgryźliwą mizantropię. Coraz mocniej zamyka się w smutku pogardzania wszystkim. Nienawidzi dzieci, uczuwa wstręt do kobiet, plwa i policzkuje mężczyzn. Szuka z gniewem, bliskim wściekłości, najohydniejszych okazji ludzkich, aby ich grymasy, nędzę duchową i zgniliznę wyciągnąć ku światłu. „Obtarcie się na ulicy o jaką postać ludzką -- mówi Huysmans o jednym ze swych bohaterów—było dla niego żrącą torturą.“ Przypuszczano i wyrzucano mu nieustannie, że kocha tę potworną, brutalną brzydotę, a on malował ją z upodobaniem, ponieważ wszystko w życiu współczesnem wydało mu się nędznem. Podzielał zdanie Palmerstona, że „bez przyjemności życie byłoby jeszcze znośnem.“ Podobny stan ducha nosił w sobie zarodki własnego zniszczenia. Musiało się wreszcie skończyć męczeństwo brzydoty, któremu Huysmans przez tyle lat podlegał.

III.

Próba wyzwolenia. „A rebours“ rzeczywistości.

Zaznaczyłem, że w kilku prostych zdaniach streszczał Huysmans akcję, główną zaś uwagę zwracał na położenie, scenę, otoczenie, krajobraz. Przeniesienie punktu ciężkości do dziedziny, nie stanowiącej podstawy romansu, nie mogło wzbudzić zainteresowania w sferach czytelnicy. Kto szuka w książce opowiadania wypadków, kto pragnie wiedzieć „jak to było“ — ten nie zrozumie, dlaczego opisują mu na wielu stronicach bezbarwne przedmioty codzienne. Ale Huysmansa nie obchodziły wymagania, stawiane powieści, jako *typowi* twórczości literackiej: pisał, jak pisać musi, pisał, jak widzi i starał się o to jedynie, aby w wyrazach podać najdoskonalszy, najwierniejszy obraz tego, co oglądał. Dążność ta, stanowiąca bezmyślny kanon naturalizmu, wydała język niezmiernie bogaty, wywołujący wrażenie wzroku, smaku i powonienia, posunięte do halucynacji. Opisy podobne stanowią już same w sobie anomalie, która wpłynąć musiała na charakter i naturę bohaterów. Im bardziej postacie romansu skłonne były do delikatnego i bezpośredniego odczuwania wrażeń ze-

wewnętrznych, tem wyraźniej zmniejszać należało siłę ich woli, odbierać im zdolność wyciągania z wrażeń pobudek do czynu. To też wszystkie są niezdecydowane, wszystkie smakują długo we własnych wrażeniach, a potem ogarnia je niepokój. August i Dezzyderya kochają się napróżno, przez pół tomu, i nie mogą się zdecydować ani na małżeństwo, ani na zaprzestanie schadzek. Folantin pozwala się opanować dziewczynie, która go całuje na ulicy. Jednakowa podatność do wyrafinowania sprawiła, że ludzie Huysmansa mają wiele ze sobą wspólnego, że każda następna postać jest dalszem rozwinięciem, wykształtem tej samej osoby, która wyobraża samego autora.

Niezdolny do normalnej twórczości malarz Leon „w Marcie,” marzy o „potwornej fantazyi poety i artysty,” o kobiecie „bezcelnie wystawnej, któraby go kochała, a odziana była w waryackie szaty i ustawiona w ciekawych refleksach światła; której oczy iskrzą się nieokreślonym wyrazem, dziwnym ogniem, jakie znajdował w obrazach Rembrandta” i t. d. Cypryan Tibaille chciałby uścisnąć kobietę, przebraną za jaskrawą linoskoczkę, a siedzącą pośród zimy, przy szarem i żółtem niebie, w pokoju, obitym japońskimi makatami, przy odgłosie smutnych walców zagłodzonego kataryniarza ulicznego. Malował wciąż postawy ogniste, ociężałą, zmysłową senność dziewczyn, a w obrazach swych, pędzlowanych wielkimi rzutami, posiekanych pastelami, przygotowanych najpierw jako akwaforty, a potem przerabianych na odbitce, zdobywał przez wściekłe nabijanie kolorów „intensywność życia nadzwyczajną, wyraz niesłychany.” Lecz nigdy nie mógł dojść do równowagi, chwiał się nieustannie, nie zdołał stworzyć dzieła wielkiego. W powieści „W małżeństwie” Cypryan zdwaja się do pewnego stopnia, bo występuje razem ze swym sobowtórem, Andrzejem, literatem, który w pracy twórczej był jednocześnie uparty i słaby: „Uparty wobec idei, które chciał przeprowadzić, słaby — wobec trudności, które powstawały, gdy należało nadać im ciało.” Wskutek zniechęcenia do rzeczy raz zdobytych i braku sprężystości, dochodzi z trudem do dwóch romansów, zbijanych powoli i budowanych w męczarniach. Jakób Marles (powieść „W przystani”), gdy wyczytał w dzienniku lub książce przypadające mu do smaku zdanie na temat religii, nauki, historii lub sztuki—zapalał się natychmiast i zabierał się do studyowania. Nabył tą drogą mnóstwo wiadomości, ale brak mu energii; posiada zbytnią ciekawość, a brak następczości w myślach; posiada słabość gruntu duchowego, dążność do kroczenia

po drogach rozbieżnych i skłonność do natychmiastowego zwięzienia, skoro wkroczy na jedną z nich.

Wszystkie te cechy charakterów były niezawodnie dogodnymi w utworach, gdzie bohaterowie mają jaknajwięcej patrzeć i pomagać autorowi do opowiedzenia, co widzieli na jawie lub we śnie. Są to jednakże postacie, krojone podług wzorów rzeczywistych i tylko nieświadomie, dzięki delikatnemu odczuciu artystycznemu, obdarzone chorobliwymi właściwościami. Zdawna pragnął Huysmans dać całkowity odpyw swej potrzebie malowania i swej bujnej fantazyi. Z tego pragnienia powstały orgie barw w „Szkicach paryskich,” a zwłaszcza unieszczone tam wizye i fantastyczne parafrazy, pisane przed obrazami niektórych malarzy. Ulubieńcom swoim malarzkiemu poświęcił Huysmans piękną książkę („Niektoży”), w której entuzyazmuje się z taką samą siłą, z jaką okazywał wzdarcę „malarstwu urzędowemu.“ Dzwoni, jeden z pierwszych, na powodzenie impresyonistów i dla nich zbiera wszystkie pochwały; im to przypisuje najważniejsze we współczesnym malarstwie zasługi. Zachwycą się pejzażami Rafaelli'ego, odtwarzającymi podmiejskie dzielnice paryskie. W rażącym przeciwieństwie do Ruskina, który przez całe swe życie rzuca przekleństwa mieszczaństwu, że „zamieniło na wyścigowe pola wszystkie katedry ziemi, t. j. wzgórza, z których można było lepiej wielbić bóstwo“ — uważa Huysmans, że nie ma natury „wielkiej“ ani małej: istnieje jedna tylko, zarówno interesująca wówczas, gdy się obnaża i zmienia szaty, jak wtedy, gdy się przeży i dyszy zdrowiem na słońcu. Rafaelli nie dba o naturę dystyngowaną i szlachetną — rozumie doskonale, jakiej cechy osobistej udzielić można malowaniu brudnych zaułków i przedmieść Paryża.

Za artystę wielkiej miary poczytuje Huysmans także Degasa, którego porównywa do Goncourtów. Nie dość uznany ten malarz ma być „najbardziej osobistym, najbardziej przenikliwym ze wszystkich, których posiada *nieszczęśliwa* Francya.“ Podoba się Huysmansowi gryzący sarkazm popularnego dziś rysownika Foraina; pisze dytyramby dla Chéreta, że w jaskrawych afiszach okazał potężny zmysł rozkoszy, graniczącej niemal z bólem; ale najwięcej uwielbienia żywi dla Gustawa Moreau, Odilona-Redona i Ropsa. Gustaw Moreau „nadzwyczajny, jedyny artysta“ — to mistyk, co zamknął się w celi, do której nie dochodzi już odgłos życia współczesnego. W płoniennej ekstazie widzi barwne wizye, krwawe apoteozy innych wieków. Oczarowany najpierw przez Mantegna i Leonarda da Vinci, zakochał się potem w hieratycznych sztukach Indyj i połączył dwa prądy — włoski i hinduski w jeden.

Rops ma duszę satanistów „à rebours;“ odmalował ekstazę demoniczną, jak inni malowali umiesienie mistyczne. „Daleki od wieku, w którym materialistyczna sztuka widzi tylko historyczki, głosił sławę nie kobiety współczesnej, nie Paryżanki z jej błazeńskimi wdziękami i nędznymi ozdobami, ale kobiety zasadniczej, istniejącej po za czasem, Bestyi trującej, jedynej, handlarki ciemności, całkowitej służebnicy dyabła.“

Żałuje Huysmans, że sztuka współczesna zaniechała zupełnie potworów, które odgrywają taką rolę w starożytności i wiekach średnich, a dziś jeszcze — w sztuce japońskiej. Tworzone podług dawnych wzorów potwory (zwykle mieszanina niektórych części ciała ludzkiego z częściami ciała zwierzęcego), nie mogą już budzić w nas wzruszeń, do których przeznaczał je niegdyś artysta, gdy pragnął symbolizować złe bóstwa lub zbrodnie. Katedra Notre Dame w Paryżu—to hieroglif, którego rzeźby próżno odcyfrować próbują ikonografowie chrześcijańscy; a przecież nie ulega wątpliwości, że na murach jej pomieszczoną została jedna z najcudowniejszych teoryj demonów i potworów. „Pochylone od pięciuset lat nad olbrzymiem miastem, patrzą niezinordowanie na głupotę ludzką; śledzą rycerskie czyny odwiecznego człowieka, zajętego troską cielesną i ponętami zysku; chłoną wyziewy niezniszczalnych nigdy występków, pilnują klasyfikacji wiecznego śmiecia, pielęgnowanego przez hipokryzję naszych zniewieściałych czasów.“ Taine'owska teoria środowiska słuszną jest dla Huysmansa *naopak*, gdy chodzi o wielkich artystów, bo środowisko wzbudzić w nich może tylko odrazę i bunt; „zamiast urabiać podług swej modły ich dusze, tworzy w olbrzymich Bostonach — Edgarów Poe; w nędznych (sic!) Francjach—Baudelaire'ów, Flaubertów, Goncourtów, Villiers-de-l'Isle Adamów, Gustawów Moreau, Redonów i Ropsów, istoty wyjątkowe, które odwracają się od swego wieku i rzucają się w tłumne krainy wizyj i marzeń.“

Twórczem potwierdzeniem tych zamiłowań i poglądów oraz logicznym, w pewnej mierze ostatecznym, rozwojem wszystkich właściwości talentu, które się poprzednio wybitnie zaznaczały, stała się głośna książka: „A rebours.“ Mamy tu nietylko w całej potęgze zdolności opisowe Huysmansa, ale zarazem pierwszą, stanowiącą próbę wyzwolenia się z błędów pospolitego naturalizmu. Zrozumiał autor, że nie wystarczy przeciwstawienie brzydoty rzeczywistej idealnemu pięknu, które w sobie nosił. Potrzeba mu było obrazów, któreby się znajdowały w doskonałej harmonii z jego wrażliwością, oczną i z właściwościami jego stylu. Stworzył sobie przeto szereg wyszukanych wizyj, które połączył sztucznie

w jedną całość, a założenie dzieła uzasadnił w ciągu książki tak: „Gdy epoka, w której musi żyć człowiek talentu, płaska jest i głupia, artysta cierpi na nostalgię za innym wiekiem. Łącząc się w krótkich zaledwie odstępach w harmonii ze środowiskiem, nie odnajduje w badaniu go dostatecznych uciech obserwacyi lub analizy, uczuwa w sobie powstawanie ciekawych zjawisk: są to mętne pożądania ucieczki, które się wyjaśniają przez rozmyślenia i roztrząsania. Budzą się instynkty, zmysły i skłonności, przekazane dziedzicznie, utrwalają się i narzucają rozkazująco. Artysta przypomina sobie istoty i rzeczy, których nie znał nigdy; aż przychodzi chwila, gdy wyrывa się gwałtownie z pokuty swego wieku i błądzi swobodnie po innej epoce, odpowiedniej jego upodobaniom. U jednych wynika stąd powrót do wieków minionych, do cywilizacyj zanikłych, do czasów umarłych; u drugich — pęd ku fantazyi i marzeniu.“

W wyznaniu tem szukać trzeba wyjaśnienia, co w istocie oznaczać ma taki przedziwny utwór, jak „A rebours.“

Wskutek wpływów dziedzicznych i osobliwego wychowania, książę Jan des Esseintes posiada w najwyższym stopniu newrozę; jest psychopata z wyraźniej już woli autora. Poszukując wyrafinowanego towarzystwa, zbliża się do literatów, ale nudzą go banalne ich gawędy, zazdrosne i błahe sądy, jałowe spory. Doszedł wkrótce do wniosku, że świat składa się przeważnie z samochwalców i głupców; stracił zatem wszelką nadzieję, że odnajdzie drugi umysł tak delikatny i subtelny i tak „starannie zgrzybiały,“ jak swój własny. Zrażony do wszystkiego, co znalazł w życiu grubiańskiego, brutalnego i zdrowego, usuwa się od ludzi, odwraca od rzeczywistości, bo ta zmysłów jego zadowolić nie umie. Sprzedaje swój pałac i kupuje dom pod Paryżem, w Fontenay, gdzie się zamyka w całkowitem odosobnieniu. Posiadając prężną i długo kształconą wyobraźnię, stwarza sobie życie sztuczne, dziwaczne, zorganizowane na opak, *à rebours* życiu zwykłemu. Pasie swe oczy obrazami przedziwnie skombinowanymi; wrażenia powonienia łączy z działaniem wzroku; zamienia na wrażenia słuchu niektóre wrażenia powonienia; karmi swój umysł najbardziej wyrafinowanymi utworami literatury i sztuki starożytnej i francuskiej; szuka doktryny, któraby ujęła w system jego hypokondryę i chwieje się między kwaśnym ascetyzmem mistyków, a dążącym do samozniszczenia pesymizmem niemieckim.

Oto jak postępuje ta szczególna osobistość. Marzy o przepysznej urzędzie mieszkania, nie dla dziwu innych, ale dla własnej przyjemności. Zajmuje się sam wyborem i stosowaniem

ozdób, czyni wielokrotny przegląd całej seryi kolorów, stosownych do mebli i dekoracyj. Poszukuje barw, których wyrazistość wzrasta przy sztucznem świetle lamp. Usuwając jeden po drugim niepotrzebne tony, pozostawił tylko trzy barwy: czerwoną, pomarańczową i żółtą. Wolał po nad wszystkie pomarańczową, potwierdzając w ten sposób słusność teoryi, której przypisywał dokładność prawie matematyczną, a mianowicie, że istnieje harmonia pomiędzy zmysłową naturą jednostki prawdziwie artystycznej, a barwą, którą oczy jej widzą żywiej i wyłączenie. „Oczy ludzi osłabionych i nerwowych, których apetyt zmysłowy poszukuje potraw, zaprawionych ostrymi sosami, oczy ludzi podnieconych i suchotniczych kochają prawie wszystkie barwę drażniącą i chorobliwą, o sztucznych połyskach i silnych drganiach, t. j. pomarańczową.“

Aby uniknąć jednostajnego otoczenia, zamienia des Esseintes jeden pokój na rodzaj kajuty. Otacza go ogromnem akwaryum, w którym pływają sztuczne ryby a kolor wody zmieniać można dowoli, zależnie od tego, jaką barwę nieba ma odbijać. Czas przepędza des Esseintes w sposób „urozmaicony“, chociaż nigdy prawie nie opuszcza swego mieszkania. Czyta np. w swej przepysznej, oryginalnie zebranej, bibliotece autorów rzymskich. Wstręt ma do „słoniowych wdzięków“ Horacego, nie cierpi Wirgiliusza, Cyclerona i Cezara; nie zajmują go również ani „sentymentalny i nadęty“ Liwiusz, ani „bezbarwny“ Seneka, ani „limfatyczny“ Swetoniusz, ani „najbardziej nerwowy i najbardziej muskularny ze wszystkich“ — Tacyt. W poezyi nie ma upodobania do Juwenala, „pomimo kilku twardych i niezgrabnych wierszy,“ ani do Persyusza, „pomimo jego tajemniczych insynuacyj.“ Zostawiając na stronie Tybulla i Propercyusza, Kwintyliana i Pliniusza, Martialisa, Terencyusza i Plautusa, interesuje się des Esseintes łaciną dopiero od Lucana. Ale autorem, którego lubił rzeczywiście i który go zmuszał do rzucenia w kął nawet „pięknie rozbrzmiewających fajerwerków Lucana,“ był Petroniusz. Ma ulubieńców zarówno w literaturze chrześcijańskiej pierwszych wieków, jak w literaturach religijnych średniowiecznych; przegląda z nim Huysmans wiek po wieku tych zapomnianych, nielicznym specjalistom znanych autorów, wykazując całą połyskliwość swej erudycyi *à rebours*.

Podczas jednej ze swych rzadkich wycieczek do Paryża, kupuje des Esseintes olbrzymiego zółwia i sprowadza go do swego mieszkania. Ale gdy się bacznie przygląda zwierzęciu, spostrzeżga, że kolor skorupy „brudzi refleksy dywanu.“ Pokrywa więc

zółwia złotą blachą, a potem, przy pomocy zręcznego jubilera, obsadza mu tarczę nieskończoną ilością drogich kamieni, wyczerpując całą mineralogię, by otrzymać pożądane światłocienie. Zwierzę zdycha, oczywiście, pod tem estetycznem doświadczeniem, które pokazać miało mineralogiczne wiadomości autora.

Śłodkie godziny pędzi des Esseintes w cichej kontemplacji obrazów, których zebrał ilość znakomitą. Są to naturalnie mistrze Huysmansa z „Niekórych,” a wiec Gustaw Moreau w dwóch najlepszych kreacyach, Odilon Redon, stary holenderski rytownik, Jan Luyken i inni. I „żyje des Essintes w samym sobie, karmiąc się własną substancją, podobny zwierzętom zdrętwiałym, zarytym w jamach podczas zimy.” Kołysany zachwycającą prozą Flauberta, doznaje wrażenia, jakby słyszał rozmowę dwóch posągów bronzowych, umieszczonych w rogach pokoju. Chimera woła do Sfinksa uroczyscie: „Szukam nowych zapachów, szerszych kwiatów, nieznanych rozkoszy.”¹⁾ Ten tajemniczy jak zakęcie głos mówił za samego des Esseintes'a, wypowiedział jego żądze niewiadomego, jego nienasycony ideał, jego potrzebę uniknięcia okropnej rzeczywistości, kroczenia omackiem, a niedochodzenia nigdy do rzeczy pewnych w całkowitej ciemni zaświatowej sztuki. Męczy się des Esseintes poszukiwaniem najwytworniejszych wrażeń. Sprowadza najrzadsze, egzotyczne kwiaty, ale wkrótce je usuwa. Potem podróżuje za pomocą perfum: chcąc „powłóczyć się” wśród zadziwiającego, różnorodnego krajobrazu, otwiera nagle i wypuszcza „wybuch ogromnej wsi.” Za pomocą rozpylacza wstrzykuje oto do pokoju „ekstrakt kwitnących łąk,” czyli esencję, złożoną z ambrozyi, lawendy, pachnącego groszku i różnych kwiatów; potem w tę łąkę wpuszcza domieszkę tuberozy, kwiatu pomarańczowego i migdałowego i „powstają natychmiast sztuczne lilie.” Zapomocą zapachów produktów chemicznych wywołuje des Esseintes miasta fabryczne, porty morskie i buduje w swej myśli „naturę wariacką, nieprawdziwą i zachwycającą, zupełnie paradoksalną,” mieszając zapachy roślin, kwitnących na odwrotnych biegunach. Pod wpływem tej orgii perfumowej omdlewa i słabnie tak, że wezwać musiano lekarza. Gdy mu nakazano ruch, projektuje des Esseintes podróż do Londynu. Przygotowuje gromadę kufrów, powierza je towarzystwu „Galignanis Messenger” i oznajmiwszy

¹⁾ W „Pokusie Św. Antoniego” Flauberta znajduje się przepiękny dyalog Chimery, symbolu wyobraźni — ze Sfinksem, symbolem wiedzy.

służbie, że nie prędko ma się spodziewać powrotu swego pana, wyjeżdża na dworzec św. Łazarza. Do odejścia pociągu pozostało jeszcze kilka godzin, wchodzi przeto des Esseintes do sąsiedniej restauracyi, gdzie zebrali się podróżnicy Anglicy, gdzie napoje są angielskie, mowa — angielska, ubiory i urządzenie wewnętrzne — angielskie. Otrzymuje stąd takie złudzenie rzeczywistości *angielskiej*, że wraca do domu z uczuciem, iż odbył długą, forsowną podróż. Jest to jedyny czyn, a właściwie nieudana próba czynu, na jaką ta czysta inteligencya wzrokowa zdobywa się przez całą książkę. Wraca des Esseintes do dawnego zamkniętego życia. Orgię zapachów zastępuje wyrafinowanym doborem likierów, ustawionych setkami w szafie i pozwalających kombinować wrażenia smaku w harmonijne „tony i akordy.“ Mniej już nieco zna się des Esseintes na muzyce, więc każe mu autor tylko lubić śpiew chóralny, muzykę Schumana, Schuberta, a nienawidzieć „wszystkich Thomasów, Berliozów i Gounodów.“ Oddzielne, bardzo znaczne miejsce w kontemplacyi des Esseintes'a zajmuje współczesne piśmiennictwo francuskie. Nieprzełamaną wzgardę czuje, oczywiście, dla wszelkich Ohnetów literackich. Z zamiłowaniem czyta mistyków (Hello i Barbey d'Aureville) oraz niektóre utwory Verlaine'a, Malarmé'go i Villiers de l'Isle Adama; u Flauberta woli „Pokusę św. Antoniego,“ niż „Wychowanie sentymentalne,“ u Goncourta — „Faustin,“ niż „Germinie Lacerteux,“ u Zoli — „Błąd księdza Moureta,“ niż „Assomoir.“

Doprowadzony do ostatniego zniszczenia organizm, odmawia wreszcie des Esseintes'owi posłuszeństwa. Cieszy się wprawdzie, całkiem już komicznie, że nawet jedzenie przyjmować musi sztucznie, *à rebours*, ale tak go pożera anemia i w taką go pogrąża prostracę, że sam widzi groźbę obłąkania i suchot. Z porady lekarza wraca do Paryża, wraca do świata, aby w nim unrzeć powolniej.

Nie trudno sobie wyobrazić, jakiego klina w głowy zabiła ta książka. Zblazowane na cudzołożnych opowieściach mieszczaństwo, z niepokojem wzięło do ręki „powieść,“ w której niema ani romansu, ani kobiety, ani akcji, a z każdej niemal stronicy przebijają szydercze lekceważenie epischerstwa. Niemiło stawiać się w położeniu człowieka, któremu mówią każdym niemal wierszem: pięknem jest to, czego ty nienawidzisz, brzydkiem — wszystko, czem się zachwycasz. To też ani cel, ani wartość podobnego utworu nie mogły być przez szeroką publiczność ocenione. Większość musiała odrzucić „A rebours,“ jako objaw dziwactwa literackiego, które daleko słuszniej pokryć lekceważącym milczeniem,

niż zastanawiać się głębiej, co mają znaczyć orgie kolorystyczne; mniejszość, obawiając się, aby jej nie posądzono o niezrozumienie utworu, chwaliła go i podziwiała na kredyt, jako dzieło szczególnego wyrafinowania. Krytyka pojęła odrazu, że stoi wobec jednego z ciekawszych, znamiennejszych zjawisk literackich, ale przyzwyczajona do banalności powieściopisarstwa, nie chciała być wyprowadzoną w pole, obawiała się, aby nie sprawdziło się na niej wołanie jednego z bohaterów Barbey d'Aureville: „Mój drogi, tacy, jak ja, istnieją od wieków po to, aby zadziwiać takich, jak ty.“¹⁾ Niektórzy sprawozdawcy orzekli więc krótko i stanowczo, że „A rebours“ jest olbrzymią mistyfikacją, zabawą kosztem pospolitego tłumu. Inni, chcąc być „sprawiedliwymi“, przykładali do utworu lupę porównawczą, widzieli w des Esseintes'ie „typ newrozy dzisiejszej“, szukali w nim rozwinięcia płacznego „René“ Chateaubrianda, który przecież na początku wieku lamentował, że „o istnieniu swem dowiadywał się jedynie przez głębokie uczucie nudy;“²⁾ albo też nazywali go „ochwaconym Wertherem w połączeniu z maniakiem w rodzaju Bouvarda i Pecucheta.“ Guy de Maupassant, gorąco zachwycony istotą des Esseintes'a, wyrzucił z siebie nagromadzone długo zapasy pesymizmu, wołając w uniesieniu: „Ale powiedzcie mi, dlaczego ten nerwowiec byłby dla mnie jedynym człowiekiem inteligentnym, rozumnym, przenikliwym, rzeczywistym idealistą i poetą wszechświata, gdyby istniał?“ Dla wielu młodych pisarzy „A rebours“ stało się „uświęceniem nowej literatury, która wymagać będzie nie przedstawienia brutalnej zewnętrzności, ale wydobycia z tej zewnętrzności motywów marzenia i wewnętrznego podniecenia.“ Rozszerzać się zaczęło płodne w następstwa twierdzenie, że sztuka literacka dąży do wyodrębnienia tyłuż form, tyłu norm twórczych, ile jest talentów. Huysmans był jednym z pierwszych, który przestał pisać romanse, a zaczął tworzyć *książki* podług własnego, oryginalnego pomysłu technicznego. Wszystkim zaimponowały w „A rebours“ niespodzianki stylu, miejscami gwałtownego i drażniącego, ale ogromnie prężnego, płynnego i rytmicznego. Niekiedy spotyka się w tej wyrafinowanej francuszczyźnie swobodę nieco barbarzyńską, niekiedy Huysmans „ciągnie — jak powiedział Leon Bloy — obrazy za obcasy lub za włosy po spróchniałych schodach francuskiej składni,“ — ale zawsze osiąga cel, do jakiego

1) „Le dîner d'athées.“

2) „René,“ str. 278. Paryż, 1805.

dąży. Ustawiwszy odpowiednio wyrazy, umie przedstawić zadziwiająco wiernie powolne lub nagłe spadki nerwowe, wynikię z otrzymywanych wrażeń. Niektóre zdania mają umyślną twardość, inne są miękkie i potoczyste, — jeszcze inne jeżą się kolcami. Najlepiej jednak, najwspanialej uwydatnionemi zostały wrażenia barwne, bo też o nie głównie chodziło. Mylą się bowiem ludzie, którzy książkę Huysmansa chcą brać za jakiś *czyn*, za odzwierciedlenie mimowolne czy świadome współczesnego życia chorobliwej i „wyrafinowanej“ jednostki wielkiego miasta. „A rebours“ nie zbiera w sobie (jak Werter, René, lub Spowiedź dziecięcia wieku) dreszczów, niepokojów i sprzeczności duchowych epoki, spromieniowanych w umyśle artysty. Treść des Esseitnes'a stanowi serya zdolności wzrokowych, wywołujących stany wzruszeń mniej lub więcej silnych. Całkowity brak woli i wypływająca stąd niemożność życia w społeczeństwie, mizantropia i wstręt do najdrobniejszego ruchu—to wszystko cechy dobrane umyślnie, aby zadowolić nienasyconą potrzebę oka. Popisy zbytkowej erudycji w botanice i mineralogii, notatki o sztuce, wrażenia z literatur starożytnych i nowoczesnych, wskazówki dekoracyjne, pracowita analiza wrażeń smaku, dotykania, powonienia i wzroku — czynią z książki okaz jedyny w swym rodzaju, niemożliwy do naśladowania.

IV.

W drodze do „supranaturalizmu.“

Po napisaniu „A rebours“ miał już Huysmans wskazaną drogę dalszej twórczości. Powrót do szarych tematów naturalizmu został dobrowolnie zamknięty. Pozostał wprowadzić z dawnej epoki styl realistyczny, ale i ten, przy kombinacji pierwiastku prawdziwego z fantastycznym, zmieniał się, nabierał wyrazistości, a tracił szorstkość i trywialność. Na chwilę próbował Huysmans spojrzeć na życie otaczające; ale stamtąd wydobyć mógł teraz temat do zjadliwej, żrącej satyry. Takim duchem jadowitego sarkazmu przepojona jest nowela „Dylemat.“ Analizuje w niej z nieukrywana radością dwie obrzydłe dusze burżuazów, którzy pozwalają umrzeć z nędzy i głodu kochance ich syna, osieroconej przez jego śmierć.

Chęć oglądania pomieszanych i złożonych barw pchała Huysmansa konsekwentnie do szukania niezwykłej treści, do nurzania

się w wyszukanych potwornościach. Uświadomiwszy sobie taką potrzebę, uległ minowoli złudzeniom świata literackiego, które sam potępił. Ponieważ zarzucił w „A rebours“ formułę naturalizmu, postanowił wytłómaczyć, co oznacza nowy objaw jego twórczości. Wykonywa to bardzo spokojnie w książce „Là-bas“, arcydziele w swoim rodzaju. Głównym łącznikiem wypadków i obrazów jest w niej literat, wyraźnie już zarysowany na bliskiego powiernika autora, jeżeli nie na jego portret.

Durtal należał niegdyś do szkoły naturalistycznej, rozumie zatem doskonale „usługi, jakie ten kierunek oddał sztuce.“ Naturaliści poniszczyli mdłe maryonетки romantyzmu, wydobyli literaturę „z idealizmu i staropanieńskiej oschłości,“ stworzyli istoty widome i dotykalne, postawili je w zgodzie z otoczeniem, pomogli do rozwoju języka, poznali prawdziwy śmiech i łzy i nie zawsze byli fanatykami trywialności, za jakich ich miano. Choć więc naturalizm przeżył się i rację swą utracił, należy zabrać z niego prawdziwość faktów, dokładność szczegółów, bogaty i nerwowy język, ale pamiętać, że niepodobna „tłómaczyć tajemnicę chorobą znysłów.“ Romans winien dzielić się sam przez się na dwie części, niemniej pomieszane, jak w życiu: część duszy i część ciała, a zajmować się głównie wzajemnem ich na siebie oddziaływaniem. Rzetelny artysta kroczyć ma po drodze, głęboko wyżłobionej przez Zolę, ale winien mieć nakreśloną w powietrzu drogę równoległą, drogę inną, idealną. Tym sposobem powstanie *naturalizm spirytualistyczny*, nowa forma literacka.

Objawieniem tego „supranaturalizmu“ stał się dla Durtala obraz niemieckiego malarza Grünewalda p. t. „Ukrzyżowanie Chrystusa.“ Straszny realizm malowidła wstrząsnął nim do głębi. Zostawszy starym kawalerem, niedbały już o rozkosze fizyczne, buntował się Durtal przeciw własnemu trybowi życia. Niekiedy, po długiej walce z frazesami, rzucał pióro i z goryczą patrzył w przyszłość. Szukał wówczas pociechy w rozmyślaniu i zastanawiał się, czy religia nie jest jedyną pocieszycielką, która umie „goić rany najdelikatniej.“ Ale dochodził do wniosku, że religia żąda takiej „woli nie dziwienia się niczemu,“ iż „odsuwał się od niej i tylko zdaleka ją szpiegował.“ Doszedł więc do wniosku, że obraz Grünewalda jest prototypem sztuki beznadziejnej, bo nie potrzeba posuwać się tak daleko, nie potrzeba „pod pretekstem *au-delà* stawać się najgorętszym katolikiem.“ Dla przeprowadzenia swej formuły artystycznej wystarczy mu na razie spirytualizm. Świat literacki Paryża dzieli się dziś na dwie kategorie: cheiwyh burżuazów i wstrętnych filistrów. Zrywa z nimi Dur-

tal i w skupieniu pisze historię marszałka Gilles de Rais, zwanego Sinobrodym. Nie rości sobie pretensyi, że go odmaluje dokładnie; stara się jedynie, żeby go nie zmiękczyć zbyt letnim językiem, żeby mu barw nie odjąć, nie uczynić z niego miernoty złego.

I snuje się przed oczyma czytelnika szalona historia średniowiecznego potwora, najdzikszego prototypu sadyzmu. W artystycznym, mistrzowskim porządku wychodzą po kolei wszystkie zbrodnie młodego marszałka, mordowanie tysiąca dzieci dla orgij zmysłowych, najkrwawsze i najdziksze męczarnie, najwyszukańsze sposoby zadowalania chorobliwie rozpasanych chuci. Baron de Rais był z początku rodzajem des Esseintes'a z XV wieku: żył w odosobnieniu, zatopiony w książkach, w otoczeniu pięknych mebli, w kontemplacyi dzieł sztuki. Stosunki z Joanną d'Arc wzbudziły w nim religijną egzaltację. Od skrajnego mistycyzmu jednakże „tylko jeden krok do satanizmu,“ więc de Rais gwałtowny zapał do modlitwy przeniósł w dziedzinę „à rebours.“ Doprowadzili go to tego świętokradzcy kapłani, wywoływacze dyabłów i astrologowie.

Historia Sinobrodego przewija się przez książkę bardzo jaskrawem pasmem. Szczegóły procesu potwornego obłąkańca podaje Durtal z okrutną drobiazgowością: czytelnik słyszy krzyki, towarzyszy zbrodniom, konaniu niewiniątek, duszonych przez potwora. Widoczny jednak cel autora mieści się nie w opisie czynów Gilles de Rais'a: chodziło mu o artystyczną monografię satanizmu współczesnego, rozwijającego się w stolicy świata, za dni naszych, a także o pokazanie pierwiastku średniowiecznego w dzisiejszym Paryżu. Mamy przeto zarys magii i satanizmu, opis „czarnej mszy,“ przechodzący jaskrawością najśmielsze przypuszczenia; mamy astrologię, symbolikę dzwonów, z wyczerpującą tę sprawę bibliografią, wreszcie -- podrzędną zupełnie, a raczej pomocniczą częściczkę książki, „satanistyczny“ romans Durtala.

Zbornym punktem, w którym rozprawiają nieustannie o średniowiecznych zabytkach w dzisiejszym Paryżu, jest mieszkanie inteligentnego dzwonnika, a właściwie mistrza symbolicznej sztuki dzwonienia, — Carhaix'a, mieszkającego na wieży kościoła Św. Sulpicyusza. Wprowadzony przez swego przyjaciela des Hermies, spotyka tu Durtal astrologa Gévingey i przy częstych wspólnych obiadach (w których opisie objawia Huysmans stare swe zamiłowania gastronomiczne) oryginalna kompania przetrząsa obfite wiadomości o satanizmie. Durtal mówi o Gilles de Rais'ie; Gévingey kreśli przeszłą historię, oraz zarys dzisiejszego stanowiska astrologii; Carhaix tłumaczy piękną symbolikę dzwonów. Przez

pośrednictwo des Hermies poznaje Durtal satanistkę, panią Chantelouve, żonę znanego historyka, która już przedtem szukała z nim znajomości i, pod przybranem nazwiskiem pisywała do niego tajemnicze listy. Stawszy się kochanką Durtala, popełnia z nim ohydne praktyki satanistyczne i zapoznaje go z przywódcą satanistów, księdzem Docre'm, który odprawia „czarną mszę.“

Cechą książki, zwracającą silnie uwagę, jest nadzwyczajnie zręczna budowa: tyle różnorodnych części, tak zasadniczo od siebie odmiennych, tak mało nadających się do artystycznego traktowania, złączone zostały w całość sforną, w czytaniu ogromnie zajmującą, ciągnącą się potoczyście, wolną od przeładowania. „Là-bas“ potwierdza wybornie postawioną przez autora w założeniu równoległość plastyki i dokładnych szczegółów przy zupełnej swobodzie fantazyi, nie krępowanej żadnemi względami. Rozsiane po wszystkich stronicach perły stylu i obrazowania pokazują pierwszorzędnego bogacza literackiego; opis obrazu Grünewalda należy do niezaprzeczonych arcydzieł. A ileż mocy i plastyki zawiera w sobie historia życia Gilles de Rais'a w jego zamku w Tiffanges! — jakim urokiem nęci życie dzwonnika na wieży św. Sulpicyusza! Jak zawsze, duszą opowiadania jest obrazowy pierwiastek, posiłkujący się z jednakowym spokojem krwiożerczemi orgiami średniowiecznego potwora, tęskną symboliką dźwięków dzwonowych, przepisami sztuki kulinarnej lub religijnym sadyzmem „czarnej mszy.“ Ta *jednakowość* metody pozwala spostrzedz łatwo jej wady. Przedewszystkiem pociąga za sobą pewne obałamucenie zmysłowe. Wyrzuciwszy z książki odrazu rzeczywistość, stracił Huysmans sposobność do pokazywania ironii i nudy swego oblicza. Nie ma potrzeby sztydzenia, bo nie jest już w zwyczajnym świecie filistrów. Ale niezwykły świat, który maluje dawnemi, realistycznemi barwami, wygląda tak właśnie, jakby zyskiwał nietylko całą jego sympatyę, ale talentowi jego dawał szczególnie dogodne podścielisko. Tymczasem, po za licznemi stronicami erudycyi, miejscami forsownej, cała książka wyraża niejako apoteozę monstrialności miernej, nie takiej, która odtwarza symbole demonicznej głębi duszy, ale tej właśnie, która jest zwyczajnem *à rebours* uwielbieniem filistra; która zjeża mu włosy przerażeniem i pobudza do czujności jego ślimaczą „cnotę;“ która mu nakazuje grupować się przy stopniach ołtarzów i pilnować, by bałwany jego uniesień nie uległy nowemu zamachowi. Przebaczenie najstraszniejszemu mordercy dzieci w chwili, gdy go spotkała ziemska kara i artystycznie obojętne malowanie jego zbrodni świadczy niezawodnie o nabyciu znacznych zapasów „du-

cha średniowiecznego“ i wystarcza autorowi za cel ściśle w sobie zamknięty, wolny od moralnych konsekwencji. Ale do innych rezultatów musiało Durtala-Huysmansa doprowadzić długie pobudzanie mózgu orgiami satanizmu. Rzeczywistość nie dała mu odpowiednika, na którego tle mógłby snuć wątek opowiadania; całą treść wywiódł z fantazyi, która poddana została gwałtownej gimnastyce. Dusza autora zimąła się nanowo, dawny pesymizm napłynął powrotną falą i przyniósł nowe formy podniecenia.

V.

„Supranaturalista“ w klasztorze i w kościele.

Gdy zmęczone oko patrzy na przedmiot czerwony, widzi go w zielonej otoczce; a gdy ogląda długo barwy żółte—sposstrzeża na ciemnym tle plamy fioletowe. Podobne zjawiska skojarzenia przez kontrasty zachodziły nieustannie we wrażliwym, zmęczonym umyśle Huysmansa. Podczas radości uczuwał ból, w smutku miewał błyski wesela, podczas wrażeń przyjemnych i czystych — wstręty i odrazę. Zadnego wzruszenia nie mógł zatrzymać na dłużej w kształtach jasnych, wykreślonych trwale; po chwili zostawało zinacone i skłócone tak, iż łączyło się ze wzruszeniami przeciwnego porządku. Odwrót po satanicznych orgiach był łatwy do przewidzenia; spełnił się niebawem.

Wkrótce po ukazaniu się „Là-bas“ reporterya paryska podała do wiadomości publicznej garść intrygujących szczegółów z prywatnego życia Huysmansa. Zauważono, że zaczyna chodzić po rozmaitych kościołach paryskich, że zjawia się na wczesnych inszach porannych, odprowadzanych dla biednej ludności, że przychodzi też na wielkie, uroczyste nabożeństwa, wreszcie na nieiszpory i późne modlitwy. Doniesiono potem sensacyjną wiadomość, że wyjechał na jakiś czas do klasztoru trapistów. Wyprowadzono stąd wniosek, że skąpany w orgiach satanizmu autor, nawrócił się ostatecznie i oznajmiono, że zginął zupełnie dla Sztuki. Dopiero po czterech latach wyszło na jaw, że całe tajemnicze postępowanie było zwyczajnem zbieraniem dokumentów „supranaturalisty,“ który oglądał sobie powoli świat księży świeckich i mnichów, porównywał nabożeństwa, modlitwy i śpiewy, badał sztukę kościelną, zaglądał do setek prastarych książek, a wszystko dla tego, aby ogłosić nową seryę wspaniałych opisów, za-

dziwić nowym ogromem wyszukanej erudycji, zatytułowanym: „W drodze“ („En route“).

Durtal, znudzony życiem, zwraca się ku katolicyzmowi. Po długiej i uciążliwej walce zynsłowości z wiarą, uzyskuje, przy pomocy znajomego księdza, prawo tygodniowego pobytu w klasztorze trapistów „Notre Dame de l'Atre.“ Tam przechodzi ciężkie przesilenie i pokusy, spowiada się, przyjmuje komunię i powraca do Paryża z postanowieniem zerwania z przeszłością.

Krótką, ogromnie prostą drogę przechodzi Durtal w sposób niesłychanie skomplikowany. Wie, że „wszystkie drogi wiodą do Rzymu,“ ale wybrał umyślnie najdłuższą. Pierwszym przedmiotem, który go zatrzymywał w kościele katolickim, jest śpiew chóralny. Chodzi po wszystkich świątyniach paryskich, zastanawia się, jak i gdzie śpiewają, a posiadając olbrzymią ilość wiadomości o rozwoju muzyki kościelnej, wykłada je systematycznie. Za śpiewem i muzyką następują porównawcze badania nabożeństw. Podobnie jak Folantin, co chodził po restauracjach dla znalezienia befsztyku, możliwego do jedzenia,—szuka Durtal „dosyć czystej mszy,“ szuka świątyni, w którejby „pokój duszy podawano w sposób jako tako przyzwoity.“ Już des Esseintes miał przesadne zamiłowanie do ornatów, w które stroił swe pokoje. Zauważono nawet z tego powodu, że jego obłąkanie zynsłowe „łączyło się bardzo łatwo z rodzajem katolicyzmu sadycznego.“ Durtal, jako bezpośrednie ogniwo w rozwoju des Esseintes, posługuje się najchętniej jego metodą: przegląda kościelne ubiory, światełka, cienie, budowę sklepień i ołtarzy; bada ogromną literaturę ekstazy i mistyki, streszcza kolejno dzieła św. Dyonizego Areopagity, św. Bonawentury, św. Tomasza z Akwinu, św. Bernarda, dwóch Eckartów, Taulera, Suso, Dyonizego Chartreux, św. Hildegardy, św. Katarzyny Genueńskiej, św. Katarzyny Senneńskiej, św. Magdaleny z Pazzi, św. Teresy, św. Gertrudy, wreszcie Ruysbroecka Wspaniałego. Wszystko razem tworzy metodyczny, monotony przegląd kościołów Paryża, nieskończone opisywanie nabożeństw całego roku, ogrom wiadomości sumiennie zebranych, niemiłosierne wysypanie wielu specjalnych słowników. Najwięcej tej benedyktyńskiej pracy zawarto w pierwszej części książki, prowadzącej Durtala na drogę cnoty. Złączenie oderwanych rozpraw i opisów—bardzo w niej dowolne, a usprawiedliwienie swe znajduje głównie w stylistycznej mocy. Obfite czerpanie z dzieł mistyków katolickich nasunęło wielką ilość barw nowych, oślepiających. Niekiedy kombinacja starego, przepojonego zapachem zakrystyi, języka z przenośniami, czerpaniami z poziomych dzieł

dzin życia, wydaje syntezę dziwaczną. Na każdej stronicy spotykamy takiego pokroju zdania: „Około zakatarzonego harmonium zebrała się grupa starych i młodych gęsi, które przy jarmarcznej muzyce puszczały Pannę Maryę na swych litaniach, jak na karuzeli;“ wymowę księży „czuć tłuszczem i wazeliną;“ w śpiewach— „margarynę dźwięków;“ duszę swą pragnie Durtal przesycić „karbolem modlitw, sublimatem sakramentów,“ a modlitwę do Matki Boskiej zaczyna od słów: „przebacz takiej jak ja szelnie;“ spowiedź potrzebną mu jest na to, aby „złamać własną kałużę,“ aby „wyrzucić łajna ze swej stajni.“

Rzeczywisty dramat powieściowy rozgrywa się dopiero w części drugiej, opisującej pobyt Durtala w klasztorze trapistów. Spowiedź Durtala, oraz „czarna noc“ pokus i wątpliwości, którą przebywa wzorem dawnych mistyków, zajmują najpiękniejsze może stronicę, jakie wyszły kiedykolwiek z pod pióra Huysmansa. Czytelnik dzieli mimowoli cierpienia i głuchy ból Durtala, przejmując się jego głosem, ma dla niego głębokie współbolewanie. Jęki jego brzmią, jak skargi Hioba lub Jeremiasza: „...Wstręt mam do życia, zmęczony jestem... Mam serce wysuszone i spalone przez łożowstwa, niezdolny jestem do niczego... Niewiadomość prowadzi do takiego samego rezultatu, co nauka... Och, zakopać się w klasztorze, zdała od filistrów, nie wiedzieć, czy wychodzą książki, czy drukują się dzienniki... Wstręt mam do samego siebie... Gdziekolwiek zwrócisz się z kobietą, wszędzie cierpieć będziesz, bo ona jest najpotężniejszym narzędziem bólu, jakie Bóg zesłał na mężczyzn. Pragnę wejść do niewiadomego, które mnie przestrasza; gdybyż przynajmniej wrzaski moich niegodziwości chciały ucichnąć, ale czuję, że podnoszą się we mnie wściekle... Dusza moja jest miejscem złego; kochała dotychczas tylko przewrotność; niewiele jest warta; nie warta jest nic... Wypędziłem wieprze z mej istoty, ale mię podeptały. Od lat dziecinnych pędziłem życie ohydne; popełniałem wszelkie niegodziwości, popełniałem wszystko, wszystko... Wymiotuję samego siebie...“

Pomimo tych tragicznych jęków, Durtal nie wygląda na nawróconego. Zblazowany literat, po dwudziestu latach takiego, jakie prowadził, życia, musiałby przechodzić kryzys, nieco inaczej skomplikowany. Jedna noc nie wystarczy na regulowanie poważnych burz duchowych. Durtal nie będzie nigdy człowiekiem zdolnym do *czynu* moralnego; pozostanie zawsze zmysłowym marzycielem. Gdyby się chciało znać powody, dlaczego staje się religijnym, nie znalazłoby się, po za względami *czysto literackimi*, żadnego poważnego objaśnienia. Wstręt do życia rozpustnego

nie łatwo prowadzi do wiary, a jeszcze mniej tłumaczy taki zwrot zamiłowanie do śpiewu choralnego, chociaż ten „zbyt jest piękny, aby go mogli wynaleźć ludzie.“ Mistycyzm Durtala jest sobie poprostu dalszym ciągiem twórczości *na opak* temu wszystkiemu, co się w piśmiennictwie ułożyło w unówione, stałe kształty. Zda-je nam się, że mamy wciąż do czynienia z des Esseintes'em, który do dziwnych roślin, zebranych w Fontenay, dodaje jeszcze mistycyzm, jako najbardziej paradoksalny ze storczyków. Durtal nie chce być zwyczajnym pacjentem Kościoła; chrześcijaństwo jego nie jest miłością bliźniego; chrześcijaństwo naucza kochać ludzi, chociażby byli pospoliccy i nie umieli ładnie śpiewać. Bliźni Durtala — „filister“ wywołuje w nim wzdarcę i odrazę. Aby właśnie uniknąć nienawistnego z nim zetknięcia, ucieka do klasztoru. Ma większe niż Wolter nieposzanowanie tego, co czczą tłumy wier-nych. Katolik, podług niego, „stara się jedynie ukryć swe sumie-nie, używa wybiegów wobec Sędziego z obawy piekła; postępuje nie z zamiłowania cnoty, ale ze strachu.“ Kościoła Durtal nie potrzebuje; niewyraźne, mistyczne „połączenie z Panem“ stanowi całą jego religię. Gniewają go księża, albowiem „brak wykształ-zenia, niepojmowanie środowiska, pogarda dla Mistyki, zapozna-wanie sztuki, odjęło im wszelki wpływ na *patrycyuszów* ducha.“ Moznaby, idąc śladem des Esseintes'a w jego rozmyślaniach o Barbey d'Aureville, zastanawiać się, dlaczego Kościół nie rzu-cił na tę pseudo-religijną książkę kłatwy, dla czego nie potę-pił „dziwnego sługi, który pod pretekstem czczenia mistrzów, tłucze witraże kaplicy, zongleruje ze świętościami, wyprawia tańce obok tabernaculum.“

Kler oddziaływa w tej powieści jedynie na „dziecinne uny-sły bigotów, w czem bezwątpienia wyraża się wola Opatrzności i z czem jest lepiej, bo gdyby się stał mistrzem, gdyby zdołał podnieść, ożywić strapioną owczarnię, którą kieruje — zabrzmiałaby trąba głupoty klerikalnej nad krajem, nastąpiłby koniec wszel-kiej literatury, wszelkiej sztuki we Francji.“ Pomimo całej skru-chy, nie przestaje być Durtal dawnym egoistą, starym kawalerem, zajmującym się zarówno swoim żołądkiem, jak swoim zbawie-niem, papierosami, jak cudami, których się domaga dla swej dro-giej osóбки. Ksiądz Gévresin utrzymywał, że u jego penitenta „pałace duchowe są wciąż jeszcze niezaniechane“—i miał rację. Wówczas, gdy marzy o najdalej posuniętej abnegacyi, nietylko świadomie kłamie, ale jest nadto—śmieszny. Za ideał np. stawia Szymona, świniopasa klasztorowego, który nie wie, w jakim kraju mieszka, który, w odpowiedzi na pytania, chrząka, jak świnię.

W tym „boskim świniarzu“ streszcza się najwyższy stopień kultury moralnej; on to ma przedstawiać „najwznioślejszy stan, jakiego pożądać może stworzenie na tym padole.“ Gdy więc na końcu książki Durtal wraca, niewiadomo dlaczego, do życia i rozpacza, że jest „zanadto jeszcze literatem, aby się stać mnichem, a tymczasem zanadto już mnichem, aby pozostać między literatami,“ — to mu wierzyć wcale nie chcemy. A kiedy Huysmans powtarza za Pascalem: *abêtissez-vous* — i cytuje ze wszystkich świątobliwych pisarzy wniosłe sentencje na umocnienie tej rady, — należy uśmiechnąć się i pamiętać, że chodziło tylko o dwie sprawy: oryginalną treść i piękną formę. Zapomnijmy, że udają wobec nas zaprzeczenie literatury, bo przecież odurza nas zapach najbardziej wybujałego kwiatu w jej oranżeryach...

Ukończywszy studia nad wewnętrznym urządzeniem kościoła katolickiego, to jest nad nabożeństwami i symboliką liturgiki, zabrał się Huysmans do badań sztuki kościelnej i wyłożył je w książce, mimowolnie może, ale stanowczo zakrojonej na podręcznik estetyczny. Jeżeli „A rebours,“ „Là-bas“ i „En route“ można było poczytywać nie bez słuszności za wzory, wywalające romans ze starej rutyny, to „Katedra“ niema już nic wspólnego z powieściopisarstwem. Kilka luźnych szczegółów akcji interesuje jedynie jako osobista spowiedź autora, opowiadającego w dalszym ciągu swą podróż do wrót wiary. Durtal, niezdolny do interesowania się życiem profanów, uczuwa potrzebę stałej religijnej atmosfery, gdzieby mógł prowadzić dalej swe świątobliwe studia. Pojechał do Chartres za księdzem Gévresin, który tam miejsce otrzymał i przy pomocy innego księdza, człowieka szczególnie wykształconego w symbolice religijnej — „tej wielkiej nauce średniowiecznej, która stanowi specjalny dyalekt kościoła,“ bada słynną katedrę. Poczytuje ją za arcydzieło architektury i rzeźby, widzi w niej „sztukę najbardziej nadludzka, najbardziej egzaltowaną, jaka kiedykolwiek istniała.“ W przerwach od badania poróża się Durtal w wątpliwości moralne i pisze już to żywoty świętych, już to piękne studia (przytaczane w tekście) nad malarstwem prymitywów włoskich; porównywa sobie cudowne Madonny we Francji i rozmyśla nad przyczynami pierwszeństwa jednych nad drugimi; wywiaduje się o dzisiejsze znaczenie kanoników; rozmyśla nad stosunkiem kościoła do dzisiejszego romanisu. Z rozważania rozmaitych części katedry ułożył się długi szereg pracowitych monografij artystycznych, wyświetlających symbolikę sztuki średniowiecznej. Po opisie katedry przy rozmaitych porach dnia i nocy, zaznajamiamy się z wyglądem we-

wnętrznym różnych jej naw i części. Wiele miejsca zajęła długa historia kościołów, stawianych na miejscu dzisiejszej katedry w Chartres, historia początku gotyku, oraz symbolika stylów gotyckiego i romańskiego. Plan kościoła pobudził Durtala do badania symboliki architektury oraz liczb w sztuce kościelnej. Po barwnym opisie dzisiejszego ruchu pobożnych w katedrze i porównaniu z dawniejszym, wyławowuje Durtal dziwy biblioteki mistycznej, zebranej napewno przez des Esseintes'a. Rozważa po kolei malarstwo religijne dawne i współczesne, symbolikę barw liturgicznych, drogich kamieni, nieskończonej ilości rzeźb na portalach; symbolikę kadzideł, roślin i kwiatów; symbolikę witraży, zwierząt, ptaków i potworów, umieszczonych w katedrze; symbolikę ciała ludzkiego, a nawet — symbolikę tańca liturgicznego. Wszystkie te szczegóły uwydatnione są z taką siłą opisowości, że posągi świętych chodzą procesjonalnie pod piórem autora, postacie z witrażów poruszają się i mówią.

Badając psychologię gotyku, całkiem już zarzuconą przez archeologów, zapomina Durtal na pewien czas o niepokojach i walkach wewnętrznych. Ale, gdy wraca do swej duszy, ze smutkiem myśli, że nie umie się modlić i pociesza się, że przynajmniej odczuwa gorącą miłość mistyki i liturgii, śpiewu chóralnego i gmaczów katedralnych. „Nie kłamiąc i nie łudząc się, mógł z całą pewnością zawołać: Panie, kochałem piękno Twego domu i miejsce, w którym słowo Twoje gości.“ Środowisko, w którym Durtal przebywa, rozkosze zmysłowe, które mu daje mistycyzm artystyczny, popychają go coraz bardziej do żywota klasztornego. Braknie mu odwagi poddania się surowej regule trapistów; nie posiada „ani ciała dość mocnego, ani duszy dość tęgiej.“ Wybiera się zatem do benedyktynów w Solesmes, w przeświadczeniu, że może tam znajdzie „zakon pobłażliwy, zamiłowany w liturgii i żądny sztuki.“

Ponieważ sztuka katolicko kościelna przestała istnieć od czasów Reformacji, ponieważ można ją na jaw wydobyć jedynie za pomocą archeologii, więc „Katedra,“ wbrew woli autora, stała się utworem dydaktycznym, podlegającym raczej krytyce specjalistów. Ale specjaliści nie dali się złudzić dorywczością erudycy Durtala; znaleźli w książce mnóstwo ciekawych wiadomości bez żadnego systematu krytycznego. Specjaliści zatem nie zajmowali się „Katedrą,“ jako utworem literackim; literaci zaś przyjąć musieli na wiarę całą naukę Durtala, jako nie wchodzącą w granice ich kompetencji.

Pozostały do rozważenia dwie tylko sprawy: artystyczna strona opisów oraz proces wpływu sztuki kościelnej na duszę Durtala.

Pierwsza, jak zawsze u Huysmansa, zadowala bardzo wyszukane wymagania. Po jednorazowem książce odczytaniu doznaje się zawrotu głowy, tak samo, jak wówczas, gdy stanąwszy wobec katedry w Chartres, zechcemy jednym rzutem oka objąć tysiącnie szczegóły jej budowy. Nigdy, żaden kościół nie otrzymał pod tym względem równie wspaniałego hołdu.

Za to psychologia wpływu całego potopu barw i kształtów na Durtala pozostała zupełnie w cieniu. Zdumiewa nas poprostu, dlaczego z duszą tak przecież skomplikowaną nic się nie dzieje w ciągu pięciuset stronicy książki. Mamy wciąż do czynienia z dawniejszym Folantinem, który troska się o dobre jedzenie, a kłopoty swe gospodarskie lub kuchenne aż w pięciu rozdziałach porusza. Cała religia Durtala polega na zimnych modlitwach do Najświętszej Panny i obcowaniu z archeologią katolicką. Sam zresztą wątpi niekiedy o wartości gatunkowej takiego nawrócenia. „Widocznie — mówi — Pan Bóg niebardzo jest trudny, skoro się zadowala takimi ludźmi, jak ja.“ Gdyby się Durtal nie modlił, grzechów swych nie rozważał, do komunii nie przystępował, byłby zwyczajnym lubieżnikiem religijnym. Poddał się zewnętrznemu pewnego rodzaju kulturze moralnej, która go odrywa na chwilę od wyłącznego badania sztuki kościelnej. Patrząc jednak na jego czyny, przypominamy sobie ciągle słowa św. Tomasza z Akwinu, że „łaska nie niszczy natury“ (*Gratia non tollit naturam*).

Inne postacie po za Durtalem, z wyjątkiem rozmiłowanej w mistyce służącej, która przy podawaniu zupy lub kotletów opowiada o średniowiecznych mistykach i o swoich gawędach z Matką Boską—są mierne i proste, całkiem kompromisowe. Duchowy kierownik Durtala, „zabłąkany w średnie wieki,“ ksiądz Gévresin, zjawia się kilkakrotnie i znika, jak maryonетка. Informator Durtala, ksiądz Plomb, gdy wyładował olbrzymi słownik symbolistyczny—stracił rację dalszego swego istnienia.

Wogóle „Katedra“ jest sucha i pozbawiona nietylko uczucia chrześcijańskiego, ale — uczucia ludzkości. Jest to próba odtworzenia za pomocą nowych środków „Geniuszu chrystyanizmu“ Chateaubrianda. Zadanie przeprowadzone zostało z upojeniem świeżo nabytej erudycyi, ale, jako poczęte w duchu bardzo wątpliwej wiary, tylko w części estetycznej zbliża się do ideału autora. Pragnął Huysmans dowieść, że istnieje, a właściwie istniała sztuka katolicka, symboliczna i mistyczna, znacznie wyższa, zwłaszcza

przez swą wyrazistość, od wszelkiej sztuki profanów starożytnych, czy nowożytnych. Pod tym względem wysiłek jego godny jest szczerego podziwu.

W „En route“ dotknął Huysmans życia zakonnego pośrednio jedynie; chodziło mu przecież wyłącznie o kryzys wewnętrzny Durtala. Zapowiedzianą w „Katedrze“ praktykę u benedyktynów w Solesmes odbył wkrótce z takim samym pedantyzmem biurokratycznym, jaki mu towarzyszył w kilku ostatnich powieściach. Huysmans-hagiograf i mistyk staje się *laikiem*, aby poświęcić całą książkę drobiazgowemu, często grubijańskiemu, a zawsze pełnemu barw i śmiałych rzutów, opisowi życia zakonników („l'Oblat“). Nic się nie zmieniło w jego metodzie pisarskiej, prócz chyba szczegółu, że coraz więcej pisze *od siebie*, coraz wyraźniej i otwarciej utożsamia się z Durtalem. Z każdej stronicy wyziera tu znowu znajoma nam twarz Folantina-tetryka: przekonania ograniczone a wypowiedzane ze złością, egoizm, sarkazm, pogardliwość, dziwaczne żądania, jakieś oschłe marzenia, pospolitość w ciągłej rozterce z ideałem. Reguła klasztorna, niwelująca charaktery, nie przeraziła „supranaturalisty:“ wśród zakonników widzi on taką samą, a może bardziej jeszcze podkreśloną różnaitość typów, jaką spotykamy w życiu codziennem, świeckiem. Huysmans-nawrócony, Huysmans-katolik nie poczuł do końca życia owej *poko-ry* chrześcijańskiej, którą Kościół zaleca, jako główną oznakę prawdziwej religijności. *Laik* obmawia starszych braci bez szacunku, bez żadnego przystosowywania swego stylu do „nastroju“ i okoliczności. Opisuje nie takich mnichów, jakimi być powinni, ale jakimi są w istocie. Widzi w nich przede wszystkim *ludzi*, których nie zmieniło zasadniczo oderwanie od życia: słabości i wady pozostają i kwitną w klasztorze. Z jednakowym zapałem analizuje ich szlachetność moralną, jak ich grubijaństwo fizyczne. „Dom Romandoux, mistrz śpiewu, wszedł do celi. Ucisnął rękę Durtalowi, który nienawidził jego wrzasku podczas śpiewania. Dom Romandoux był jowialnym i gadatliwym. Miał szyję byka, żołądek wzdęty ponad olbrzymim brzuchem. Jego modre oczy wychodziły ponad nos zadarty à la Roxelane; wargi zwisały nihy górna część ryja, a olbrzymie kłęby żółtych kłaków wychodziły z zagłębień uszu i z nozdrzy.“ W taki sposób skromny *laik* traktuje wciąż swych przełożonych. Nie zmienił się również jego stosunek do przedmiotów kultu, do objawów wiary. I tu, jak dawniej, „nabożeństwo przypomina konserwy, bo psalmy zamarynowane są w słonym sosie śpiewu zakonnego.“ Nawet w dniu, gdy go przyjmują w poczet laików, Durtal myśli o tem jedynie,

iż zapomniał uprzedzić gospodynię Bavoil (świetnie odmalowaną postać), że... będzie jadł śniadanie w klasztorze... Gdy, wskutek walki z zakonami, benedyktyni porzucić muszą swój klasztor, Durtal marzy, iż wynajmie sobie w Paryżu „suche, jasne i tanie mieszkanie, jeżeli się da, w pobliżu kaplicy“ i znowu odzywa się w nim niepokój zgryźliwego, starego kawalera: „Wynając mieszkanie — łatwo to powiedzieć... Trzeba będzie wleźć do jakiej starej nieruchomości i znowu wilgoć, brak światła, niewygodna pokojów źle rozłożonych, trudnych do opalenia — lodownia, lub nędzna buda.“

Zwrot ku katolicyzmowi odsunął Huysmansa od stałego zajęcia biurowego i pogrążył go w takie „desoeuvrement,“ że wszystkie godziny oddawać mógł pisaniu. Łatwo mu było teraz zaspokajać jaknajszerzej swe skłonności erudycyjne, pogrążyć się w kolosalną przeszłość Kościoła. Zabrał się do odbudowania żywota świętej Lydwinie z Schiedam, to jest wszedł w sam centrę średniowiecza — w wiek czternasty. Wertował ówczesną historię Francji, Anglii, Flandryi, Holandyi, a przede wszystkim „Acta sanctorum,“ zasady teologii mistycznej, teorię stygmatów, słowniki herezyi, historię trądu i epidemii średniowiecznych, żywoty świętych dziewic i młodzieńców. Za ten prawdziwie „benedyktyński“ wysiłek niesforny dotychczas „laik“ doznał łaski: napisał książkę, która może jedna jedyna z jego utworów da się zaliczyć do literatury religijnej. Obcowanie z filozofami mistyki uszlachetniło zwykły, prostoduszny ton opowiadania Huysmansa. Niezwykle spokojnie a wymownie, opisuje cierpienia świętej i jej cuda, a gdy, wyliczając wizje Lydwinie, odtwarza cierpienia i niepokoje Chrystusa podczas Pasyi — staje się szczerym poetą.

Ale „supranaturalista“ najlepiej czuje się wówczas, gdy może własnemi oczyma patrzeć na to, co opisywać zamierza. Od cudów średniowiecznych idzie więc Huysmans do cudów współczesnych; wzorem Zoli, którego nazywa „wrogiem nadprzyrodzoności,“ bada przez dwa sezony cuda i choroby w Lourdes. Powstaje stąd książka („Les foules de Lourdes“), w której pierwiastek ściśle literacki i artystyczny rozpada się już zupełnie. Pozostały wprawdzie dawne stylowe maniery Huysmansa, ale te nie ocalają wartości opowiadania. Psychologii tłumów, zapowiadanej w tytule, jest w książce niewiele. Z jakąś okrutną rozkoszą maluje autor nieskończone zastępy kulawych, ślepych, epileptyków, paralityków, odtwarza okropne wrzody, ropy, kancery, tuberkuły, narośle, gangreny, poszarpane i pogniłe członki. Traktuje to wszystko, jak piękne okazy muzealne, nie szcędząc czytelnici-

kowi ani jednej ohydy. Czasem tylko przypomina sobie, że jest przecież świeżo „nawróconym“ i wtedy wtrąca do opisu straszne-
go raka na twarzy taką modlitwę: „O Panie, pomyśl bądźcobądź,
że aby nas odkupić, włożyłeś na siebie liberyę ludzką, więc przez
pamięć na to nędzne ciało, które uświęciłeś, gdy je wzięłeś na
siebie, zlituj się nad tym nieszczęśliwcem, wylecz go! Przypomnij
sobie obraz Twego Świętego Oblicza; było ono bolesne i krwa-
we, ale nie budziło wstrętu! Zbaw godność Twego Oblicza,
oczyszczyć cudem tę twarz ohydą!“ Gdy go zmęczą chorzy, wtedy,
jak dawniej, szuka „porządnej mszy,“ zastanawia się nad symbo-
liką wody i światła, gawędzi z doktorami, którzy stwierdzają cu-
downość uleceń, słucha śpiewów choralnych, prowadzi nieco bluź-
niercze dyskusye z Matką Boską, odbywa wędrówki po kaplicach
i wpada w złość, zgoła już naiwną, gdy stwierdza okropną brzyd-
otę kościołów w Lourdes: „Brzydota — mówi — wszystkiego, co
się tu ogląda, nie może być naturalną, gdyż nie znajdziemy nig-
dzie takiego doboru. Człowiek sam przez się, bez obcego poza-
światowego wpływu, nie mógłby bezcześcić w ten sposób Boga.
W Lourdes natłoczono tyle ohydy, zatopiono je takimi falami
złego smaku, że nasuwa się mimowoli myśl o interwencji szatana.“
Huysmans podsłuchiwał nawet rozmowę szatana o tej sprawie
z Najświętszą Panną; oto kilka z niej wyjątków: „W wieku, któ-
rym ja żądzę dowoli, znajdziesz może nieco świętości w duszach
rozsypanych u Twych stóp; ale sztuki, która jest na świecie je-
dyną czystą rzeczą poza świętością, nie będziesz miała wcale;
przeciwnie, urządzę tak, że lżyć Cię będą bez wytchnienia przez
nieustanne bluźnierstwo Brzydoty... Nie wystarczyła mi nad-
zwyczajna przecież ohyda europejskiej biżuteryi religijnej. Do
tego już się przyzwyczaiłaś. Znalazłem coś znacznie lepszego.
Zdobyłem filistrów z Ameryki Północnej i ci zrozumieli mnie do-
skonale. Jestem szczerze zadowolony z przerażających wotów,
jakie Ci składają. A te zbiory z Twego skarbu w Lourdes, jak-
żeż ja je sam dobierałem starannie!“

To panowanie szatana widzi Huysmans we wszystkich przed-
miotach kultu dla Niepokalanie Poczętej z Lourdes: „jeżeli—mó-
wi — pominiemy nieszpory w bazylice, dzieje się tutaj to samo
z liturgią i śpiewem, co z architekturą, malarstwem i rzeźbą.“

Niemniej poufale pożąda Huysmans oczywistego cudu. Przy-
jechał tu przecież po to, aby taki cud własnymi zobaczyć oczyma.
Gdy patrzy długo, długo na tłumy chorych, oczekujących wyzdro-
wienia, poczyną się niecierpliwić: „Doznaje się wreszcie pokusy;
na wargach błąka ci się wymówka. Co Ona robi, skoro Jej tak

łatwo uzdrowić tych wszystkich ludzi? Pomimo wszystko przecież, co Ją może rani, jest tu tyle wiary, tyle modlitwy, tyle li- tości, tyle wysiłków—czegoż więcej oczekuje?“ Ale supranatura- lista uczuwa zaraz niewłaściwość swej postawy i szepce sobie po cichu: „Przecież to, czego tu żądany od Najświętszej Panny, jest obłędem. Lourdes przyjęło niejako odwrotny kierunek Mi- styki, gdyż powinniśmy przy cudownej grocie żądać nie ulecze- nia chorób, ale ich powiększenia; powinniśmy składać tu samych siebie na ofiarę za grzechy świata!“ Takie nieszkodliwe, a w re- zultacie błahe rozumowanie rozsiał Huysmans po całej książce.

„Tłumy w Lourdes“ wyszły z druku na dwa miesiące przed śmiercią autora. Znącony ton opowiadania, nieporządna budowa, nałogi pedantyczne, pewna suchość i jałowość obrazów—wszystko to świadczy, że autor przestał już wierzyć w swą twórczość, że z nadmierną gwałtownością poskramiał w sobie pożądania artysty. Młoda krytyka francuska zupełnie szczerze stwierdzać zaczęła, że „nawrócenie się“ Huysmansa było „fatalną przygodą,“ wskutek której literatura więcej straciła, niż Bóg zyskał. Artysta, czyta- jąc ostatnie książki autora „A rebours“ pomyśli z żalem, że wia- ra Huysmansa była tak mało poetyczna, tak mało pobudzała go do ekstazy i wzlotów ducha; chrześcijanin zaś, katolik, czytając te pseudo-podręczniki mistyki, nie zrozumie nigdy, dlaczego czło- wiek głęboko wierzący potrzebuje tyle mówić o sobie i przytoczy Folaninowi z Lourdes plautusowe: „Aequum est vos Deo facere silentium...“

*

*

*

Cała egzystencja literacka Huysmansa toczyła się dwoma równoległymi łożyskami: estetycznem i moralnem, które wolą sa- mego autora złać się miały w jeden zmieszany prąd. Widzieli- śmy, jak poszukiwanie bezwzględności estetycznej wiążyło go naj- pierw w długim, a przesadnym wstępie do rzeczywistości, jak wykształcało w nim fatalny dar odnajdywania najdrobniejszych szczegółów świata brzydoty. Życie ludzkie, przy takim widze- niu rzeczy, przyjmowało wygląd, który można porównać do kropli brudnej wody, badanej przez mikroskop. Sztuka Huysmansa w owym czasie była istotnie „naturą oglądaną po przez tempera-

ment.“ Stwierdziliśmy potem, do jakich nadzwyczajnie oryginalnych rezultatów doprowadziła ucieczka ze świata wstępu i obrzydzenia, do świata *à rebours*, świata zmysłowych wizyj. Zobaczyliśmy wreszcie ideał Huysmansa całkowicie wyzwolony, poznaliśmy jego entuzjazmy i uniesienia. Cały ten proces rozwoju estetycznego odbywał się w sposób niezwykły, pełny niespodzianek i wzbudzający szczere uwielbienie, jakkolwiek głową, sercem i zmysłami należy Huysmans w swej sztuce do wrażeń, otrzymanych od *fizycznej* tylko strony natury.

Jednocześnie przecież odbywał się w samym autorze proces moralny, do pewnego stopnia zakulisowy, ale objawiony światu już to drogą dziennikarskiej informacyi, już to przez dobrowolne, wyraźne utożsamianie się z głównymi postaciami romansów. Pessimizm i mizantropia odsunęły Huysmansa dawno od ludzi wogóle, a od świata literackiego w szczególności. Zamknął się w starym gmachu poklasztornym i budował sobie wspaniałe burze w szklance wody. Był zawsze człowiekiem rozważnej woli, wielkiej, spokojnej, systematycznej pracy, był pedantycznym urzędnikiem w ministeryum spraw wewnętrznych, surowym i wymagającym naczelnikiem dla podwładnych, a tak wzorowym w pełnieniu własnych obowiązków, że nagrodzony został legią honorową. Przez cały ciąg wieloletniej monotoności takiego żywota nie opuszczał Paryża. Ale przyszedł czas, gdy „supranaturalista,“ dla zbierania „dokumentów ludzkich,“ wyjechał najpierw do klasztoru trapistów, a potem na oglądanie katedry w Chartres. Idąc dalej za swoim bohaterem, który ma badać życie benedyktynów, podał się Huysmans do dymisji ze swego urzędu i pod okiem zakonników zakładał „klasztor artystyczny, pod wezwaniem Najświętszej Panny i protekcją św. św. Benedykta i Marcina.“ Miał to być dom cichego i pobożnego schronienia. Artyści, dla których życie było złem, a w których wiara niezupełnie zgasła, mogli, bez obserwowania żadnej reguły, pracować nad odrodzeniem sztuki religijnej i wysławianiem kościoła.

Ważny ten i bądźco bądź niedwuznaczny czyn, przyjęto powszechnie za ostateczne potwierdzenie „nawrócenia,“ które w Huysmansa oddawna wpierano. Sam fakt stał się tak rozgłośnym, że większe zainteresowanie budziła historia powrotu Huysmansa na łono wiary, niż jego sztuka. Usunięcie się w ciszę, a więc bierną negacyę życia, poczytano za czyn imponującej moralności. W tym pośpiesznym sądzie zapomniano zupełnie, że mistycyzm zdobył Huysmansa przez zmysły i przez zmysły jedynie mógł go być utrzymać. „Żrenica nasza — mówił Wiktor Hugo — pokazuje, jaką

ilość człowieka zawieramy w sobie.“ Żrenica Huysmansa nie widziała nigdy rzeczywistych ludzi, ale potwory, odbite w jej nadmiernej wklęsłości. Wiemy zresztą, skąd ta wklęsłość pochodzi: oto z długiego kierowania oczu ku własnym zmysłom. Nie znał Huysmans świata moralnego i nie poznał go do końca życia. Nie przejmował się nigdy bólem świata i nie zgarniał go do swego serca; pesymizm jego również ze zmysłów płynął. Wszystkie wrażenia i wzruszenia rozpływają się w nim same przez się w głuchość, nieuleczalną nudę, na skutek walki, jaką toczą ze sobą dwie sprzeczne dążności jego temperamentu: naturalistyczna i wizyjonerska. Przez zmysły zatem stał się Huysmans rozstraskanym w sobie i przepołowionym człowiekiem. Wiara jego nie w nim, lecz *poza nim* istniała. Wiara jego była szatą, którą na siebie nałożył w przeświadczeniu, że z nią łatwiej dojdzie do swego absolutu estetycznego. Ale wiemy, że szaty zmieniał więc i tę zmieniłby może, gdyby żył dłużej.

... A jednak ten pracowity podróżnik do średniowiecza, ten pseudo-satanista i pseudo-mystyk, ten nieprzejednany, chociaż śmiertelnie znudzony samotnik, ten szczególnie malarz, zabłąkany w literaturę — był zgoła wybitnym artystą, pomimo fatalnego punktu wyjścia swej estetyki. Złośliwi, szukając przyczyn tego zjawiska, zapewniają, że Huysmans stał się wielkim pisarzem, ponieważ „miał wciąż kłopoty pieniężne i zaburzenia żołądkowe.“ Jaka szkoda, że te poziome powody nie mogą zawsze wydawać podobnych skutków...

JAN LORENTOWICZ.

XX Sztuki.

Zobrazowanie działalności w dziedzinie sztuk plastycznych za ostatnie kilka miesięcy nie jest sprawą łatwą, a trudność bynajmniej nie pochodzi z nadmiaru materiału, ale z jego, że tak powiem, powszedniości.

Tak jest. Od zeszłorocznej kanikuly, to jest od czasu, na jakim zamknęliśmy ostatni na tem miejscu przegląd artystyczny— w sprawozdaniu obecnem, mówiąc o wystawach, urządzanych od tej chwili do dnia dzisiejszego, stwierdzić musimy większość produkcji ogromnie codziennej, drobnej, pospolitej, nie wyróżniającej się na tyle, ażeby w retrospektywnym rzucie oka mogła wywołać bardziej zdecydowanego wspomnienia.

Rok nie był bogaty w objawienia wysokich natchnień twórczych, nie przyniósł dzieł wstrząsających nowym dreszczem, wystrzelających dumnie po nad poziom skromnej przeciętności.

Chcę się wytłómaczyć dokładniej, ażeby nie ściągnąć na siebie gromów oburzenia, ze strony tych wszystkich, którzy w wymienionym okresie rzeczy swoje wystawiali i mogliby w tem, co powiedziałem, widzieć sąd bardziej niepoehlebny, niż to było w moich zamiarach. Otóż nie znaczy to bynajmniej, ażeby w ciągu tych ciężkich zresztą niezmiernie dla sztuki czasów, salony nasze miały być wypełnione wyłącznie utworami bez wartości, ale że utwory nawet pełne zalet najprzedniejszych, dzieła najpierwszorzędniejszych artystów naszych nie posiadały w sobie tych cech wyjątkowych zjawiska niepospolitego, które potężniej uderza na imaginację ogółu i jest uznane za wydarzenie niecodzienne.

Powszedniość jest nadewszystko niebezpieczna dla twórczości artystycznej, gdyż nawet dzieła doskonalsze przez zbytnią częstotliwość zjawiania się wśród tłumów, tracą w znacznej części

moc wzruszania, a wzruszenie jest przecież nader ważnym czynnikiem w sprawie zadowolenia estetycznego. Jest w tem tragizm swego rodzaju.

Wprawdzie krytyka artystyczna nie powinna ograniczać się do czysto subiektywnego odczuwania, ale wejść tu w grę muszą pewne normy ogólne, pewne przyjęte w danej epoce zasady i wskazania naukowe. Niemniej przecież pomimo norm tych, najbardziej obiektywnych, pozostaje jeszcze wiele miejsca na intuicję osobistą, zależną od wrodzonej wrażliwości krytyka, a właśnie w oddaleniu perspektywicznym odnajdujemy sprawdzian różnych na wrażliwość tę oddziaływań. Trwałość w pamięci danego zdarzenia w stosunku do jego dawności jest probierzem siły, z jaką odbiło się ono na naszej wyobraźni. Często narazie wśród jednoczesnego przenikania do świadomości czynników wielorakich nie odróżniamy ich wartości emocjonalnej i z czasem dopiero w szczególnym procesie psychicznym dokonywa się czynność wyboreza, przyczem odpada niby plewa pamięć wzruszeń powierzchownych, a pozostaje, jako plenne ziarno, wspomnienie przeżyć, które najgłębiej, najistotniej przeniknęły do duszy, zamieniając się niejako w treść naszej jaźni. Tą drogą gromadzi się w umyśle zazwyczaj zapas tworzywa, które w odpowiednich warunkach przyjmując formy dzieła sztuki, staje się wyrazem indywidualności danego artysty. Tą drogą również z pamięci przeżytych wzruszeń mógłby powstać całokształt indywidualnego poglądu krytycznego.

Możnaby zatem w pewnej mierze krytykę artystyczną uznać za rodzaj twórczości — twórczości, dla której bodźcem nie jest wprawdzie bezpośrednio natura z nieskończonem bogactwem zjawisk najróżnorodniejszych, ale również nieskończenie różnorodny w swych przejawach duch ludzki, który się manifestuje w dziełach sztuki. Tak tę sprawę niejednokrotnie przedstawiano i niewątpliwie ma to swoje uzasadnienie, zwłaszcza, jeżeli chodzi o krytykę impresjonistyczną. Oczywiście, im krytyk potężniejszych dozna wzruszeń od utworu artystycznego, tem łatwiej zdoła się na wyraz mocny i pełen ogólniejszego znaczenia — trudniej mu to przyjdzie stanowczo, jeżeli w otaczających go dziełach sztuki nie znajdzie podniet dość intensywnych, jeżeli pozostawią go one obojętnym, nie wywołają zachwyty lub niechęci, uwielbienia lub oburzenia, miłości lub nienawiści.

Zagłębiwszy się pamięcią w dzieje przeżyć moich w zakresie odczuwania estetycznego w ciągu tego roku, czuję właśnie w sobie ową obojętność. Zwróciwszy się wzrokiem w tę przeszłość tak niedawną, na drodze, przebieganej myślą przestrzeni,

widzę wprawdzie kilka etapów jaskrawszych, kilka punktów radosnych, kilka drażniących i przykrych, ale dalej ciągną się całe obszary dziwnej szarzysty i monotonii.

Takie jest moje wrażenie ogólne. Co do szczegółów są w przeglądzie retrospektywnym musi być bardziej impresyonistyczny i subiektywny niż przy bezpośredniej ocenie widzianego w danej chwili dzieła. Więcej tam niż gdzieindziej powstaje osobistych uprzedzeń, już choćby z powodu niedokładności władzy tak fantastycznej, jaką jest pamięć ludzka. Ma ona swoje predylekcyje w wyborze materiału do przechowywania, a czyni to bez udziału świadomości, co psychologia stwierdza dość stanowczo. Znane jest naprzykład powszechnie, że z szeregu faktów najróżnorodniejszych pamiętamy nieraz bardzo intensywnie jakieś drobne nic nie znaczące zdarzenia, podczas tego, kiedy rzeczywiście wielkiej wagi wypadki, w miarę oddalania się od nich, mętnieją we wspomnieniu, zacierają się całkowicie i pomimo usiłowań nie jesteśmy w stanie wywołać pełnej ich wizji; albo zjawia się ona nagle, w chwili najmniej spodziewanej, pozornie bez koniecznych przyczyn i właściwych nastrojów. Każdy człowiek dorosły niewątpliwie potrafiłby przytoczyć liczne przykłady takiej niczem niewytłomaczonej trwałości pewnych wspomnień, zwłaszcza odnoszących się do lat najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy następnie całe obszary bardzo bogatych przeżyć pozapadały gdzieś w mroki zapomnienia.

Robię te zastrzeżenia w obawie, że pisząc sprawozdanie niżej z pamięci, przez mimowolne opuszczenia mogą wyrządzić komuś niesprawiedliwość. Staram się jednak o obraz możliwie dokładny i obiektywny. Drobna, najogólniejsza notatka, wyciągnięta z ksiąg Towarzystwa Zachęty, dopomoże zawodnej pamięci i ułatwi mi oryentowanie się w materyale.

* -

*

*

Pierwszem donioślejszem wydarzeniem rozpoczynającego się sezonu, jeszcze w ostatnich miesiącach zeszłego roku, była, urządzona w Salonach Zachęty, tak zwana „wystawa doroczna.“ Był to trzeci z rzędu występ grona artystów warszawskich. I tym razem występ ten, bliźnio podobny do dwóch poprzednich, nie przy-

niósł nadzwyczajnych sensacyj. Nie idzie zatem, ażeby nie było tam rzeczy ciekawych i tęgich. Przypominam sobie, że uderzyła mnie w pierwszym rzędzie doskonale namalowana „Hetera“ pana Franciszka Żmurki. Był to ponętny biust niewieści, pełen zmysłowości i jakichś bachicznych nastrojów, narzucony z szalonym rozmachem pędzla, z ogromnem, właściwem temu artyście, poczuciem dekoracyjności i wdzięku, a utrzymany w ciepłych, ogromnie wytwornych, choć nieco konwencyjonalnych tonach, niby ze starych obrazów włoskich. Płótno podobało się ogólnie, a komitet Towarzystwa Zachęty wyraził swoje uznanie w sposób nader stanowczy, gdyż nabył dzieło do zbiorów muzealnych.

Niepodobna obecnie zastanawiać się, czy wybór był słuszny. Niewątpliwie śmiało malowidło dekoracyjne pana Żmurki wyróżniało się wtedy jaskrawo z pośród dość skromnego, zwłaszcza pod względem kompozycyjnym otoczenia, ale nie było ono, bezwzględnie biorąc, najlepszym utworem artysty. Malował on wiele podobnie pięknych biustów i wdzięcznych główek kobiecych, a ten, jakkolwiek odznaczał się pewną tężyzną w traktowaniu karnacyi, ale nieco w ogólnym rysunku zaniedbany, ustąpić musi miejsca innym, bardziej skończonym i wszechstronniej dociągniętym obrazom pana Żmurki.

Rzeczywiście „Hetera“ prócz piersi modelowanych miękko i soczyście, pociągających przedziwnie odczuty mizogynem zmysłowym ciała — prócz piersi tych, powiadam, namalowanych wprost po mistrzowsku, posiadała strony słabsze. Głowa oraz ręce w kształcie i barwie zaznaczone były zbyt ogólnikowo, przyczem chwilami nie bez pewnych uchybień rysunkowych, co sprawiało, że obraz miał wprawdzie „kawałki“ doskonałe, może nawet niepospolite, ale jako całość, niepospolitym w dorobku pana Żmurki, zdaje się, nie jest bynajmniej.

Tak właśnie rozumiem powszedniość, o której wyżej pisałem. Silniej się to jeszcze wyczuwa u artystów, którzy w ostatnich czasach występowali z dziełami mniej wspaniałymi, niż dawniej, którzy jakoby chwilowo obniżyli swoje loty. Tak przedstawił się na III-iej dorocznej wystawie Jacek Malczewski. Jego „Stara baśń“ z nieodstępną Chimera oczywiście posiada znamienne zalety twórcy o przedziwnej fantazyi, talencie niepospolitym i ogromnem, naprawdę malarskiem wyrobieniu zawodowem, ale zalety te nie sięgały tu tego wielkiego dostojenstwa, jakie artysta pozwalał tylekroć u siebie podziwiać. Oczywiście był to utwór pomimo wszystko bardzo piękny i jedynie przez porówna-

nie z innymi pracami znakomitego malarza-fantasty uwagi powyższe nasunąć się mogły.

To samo dosłownie niemal dałoby się powiedzieć o obrazie Chełmońskiego „Pod Twoją obronę.“ W kilka miesięcy potem mieliśmy sposobność widzieć jednocześnie większą ilość prac znakomitego artysty i stwierdzić z całą pewnością, że właśnie owe „Pod Twoją obronę“ do najszcześniejszych utworów jego nie należy. Urządzono mianowicie w Pałacu sztuki zbiorową wystawę prac Chełmońskiego, poczynając od najpierwszych kroków jego na drodze do kariery artystycznej. Nawiąsem mówiąc, wystawa ta była bez zaprzeczenia najważniejszym wypadkiem roku. Pisałem też o niej w swoim czasie w „Bibliotece Warszawskiej“ obszerniej, starając się scharakteryzować Chełmońskiego, jako malarza. Otóż zastanawiając się tam nad ewolucją tej twórczości bezpośrednio pod wrażeniem dzieł widzianych, a reprezentujących bardzo znamienne dorobek całego życia, całej dotychczasowej działalności malarskiej, zauważyłem, że najwyższe napięcie władz twórczych artysty nie przypada bynajmniej na czasy ostatnie, i że raczej w pracach najnowszych odczuwać się daje jakby chwilowe zachwianie się siły twórczej.

W dalszym ciągu, wyliczając owe minusy ostatniej doby, wskazać należy portret p. Lenca. I tu znowu zastrzeżenie. Dokończył ten portrecista tak jest pewny swej sztuki, tak opanował jej środki techniczne i wniknął w jej treść najistotniejszą, że nie może dać rzeczy zupełnie słabych. Portret znajdujący się na tej trzeciej wystawie dorocznej, a przedstawiający p. L. Górskiego, był żywy, plastyczny, bardzo podobny i pełen charakteru, niemniej przecież z pewną tęsknotą wobec niego myślało się o innych, dawniejszych dziełach artysty.

Wszystko to razem wzięte nasuwa nader pesymistyczne wnioski o obecnym stanie sztuki polskiej, a może ściślej biorąc, o stanie sztuki specjalnie warszawskiej, ale niestety, trudno się nie zgodzić, że zaciążyła nad nią chwilowo jakaś przykra atmosfera senności, że stwierdzić trzeba powstrzymanie się ruchu rozwojowego we wszystkich kierunkach, że we wszystkich wogóle dziedzinach twórczości zapanowała niebezpieczna tendencja do obniżania poziomu wymagań artystycznych, że nakoniec w społeczeństwie całym odczuwać się daje nader dotkliwie spaczenie smaku i przerażający zanik bezinteresownych upodobań estetycznych.

Znaczący to się zwłaszcza w teatrze, gdzie najordynarniejsza i najbardziej bezsensowna farsa, lub sensacyjna bomba wyrugowały całkowicie prawdziwą sztukę i właśnie im głupsza farsa,

im beczelniej sensacyjna bomba, tem lepsze przyjęcie znajduje u publiczności. Znaczy się to tam tem jaskrawiej, że możemy bezpośrednio obserwować widownię i śledzić, jak reaguje na bezeceństwa, dziejące się na scenie, jak cieszy się i oklaskuje płaskie błazeństwa i ordynarne aktualności, podane w formie, która raczej powinna wywołać protest i syki oburzenia. W sztukach plastycznych również niepodobna nie zauważyć pewnych symptomów poważnego niedomagania, jakby padł na nie nagminnie zarazek chorobotwórczy.

Zdaje mi się, że nawet potrafiłbym wskazać źródło infekcyi, a jest niem gorączka sensacyjności, sztucznie podtrzymywana przez spekulantów wszelkiego rodzaju. Umiąłbym z nazwiska i imienia wymienić trucicieli, którzy sieją zarazę, ażeby z okropności rozkładu ciągnąć dla siebie zyski.

Mam mówić o sztukach plastycznych, a w zakres ich wchodzi także niewątpliwie ilustracya. Przyjrzyjmy się więc ilustracyom chwili obecnej. Pominąwszy już, że najpoważniejsze pisma artystyczne, wciągnięte w ten wir niebezpieczny, schlebając upodobaniom tłumu, składają sute objaty na ołtarzu sensacyj aktualności, chcę zwrócić uwagę na rozplenienie się całej zgrai świstków ulotnych, które, jakby unyślnie, ohydnyimi obrazkami starają się za wszelką cenę rozbudzić uspione oddawna w człowieku resztki instynktów szakalich. Weźmy do ręki kilka numerów takiego np. „Wiarusa,“ „Koła,“ „Oka,“ czy jak tam się jeszcze podobne bezeceństwa nazywają. Cóż przedstawiają te piękne rysunki? Mordy, zgwałcenia, tortury. Na wielkich arkuszach, możliwie najbrutalniej, możliwie najbezczelniej, bez cienia jakiegokolwiek usiłowań artystycznych, bez pretensyi do znajomości najelementarniejszych zasad rysunku wyobrażone są sceny ucinania głów, miażdżenia członków, wypruwania wnętrzości, obdzierania ze skóry, ohydne widowiska pijackich delirjów, rozpasania się najdzikszych namiętności, najwstrętniejszych zwyrodnień i wyuzdania. Jeżeli niedołęzne środki pana artysty nie wystarczają na dość wrzaskliwe uzmysłowienie krwawej sceny w rycinie jednobarwnej, pan wydawca nie cofa się przed ofiarą schłapania papieru czerwoną farbą, a wielki efekt, jaki podobny zabieg sprawi, hojnie nagradza poniesione na drugą kliszę koszta. Zresztą wydawcy tego kalibru z godną oprawców ambycją prześcigają się w wynajdywaniu środków, drapiących wyobraźnię publiczności, w sposób najbardziej bezpośredni i niezawodny. I udaje się im to doskonale. Dziesiątki tysięcy egzemplarzy takich wydawnictw rozchodzi się z nadzwyczajną łatwością. Gdzie nie dotrze poży-

teczna książka, dobra gazeta informacyjna, dociera świstek schlapany czerwoną farbą skandalicznej sensacyi—dociera jeden z kolporterów tej zarazy, kolporterów, którzy setkami przebiegają kraj w różnych kierunkach i, niby roje komarów, wysysając z ludu grosz ciężko zapracowany, w krew jego sączą jad zabójczej malaryi.

Nie będę się zastanawiał nad znaczeniem tego rodzaju publikacyi ze stanowiska moralisty, to jednak napewno twierdzić można, że z punktu widzenia estetycznego wpływ ich jest opłakany.

Smak, podniecany asafetida, tępieje na podniety zwyczajnej kuchni — smak ludzi prostych, niewyrobionych estetycznie, karmionych asafetida krwawych okropności, dziczeje i wynaturza się. Człowiek prosty, który się przyzwyczaił widzieć w obrazku zbiorowe gwałcenie nieletnich dziewczynek, ćwiertowanie żywcem niemowląt, tortury, ból, śmierć, nie zainteresuje się już wcale dziełem sztuki, jeżeli tego wszystkiego w nim nie znajdzie, choćby to dzieło było utworem największego artysty świata.

Mówiąc „człowiek prosty,“ nie mam bynajmniej na myśli jedynie fernali dworskich i najciemniejszych robotników fabrycznych, ale i tych panów w cylindrach czy panamach, we frakach i smokingach, w najmodniejszych krawatach i w butach z szerokimi nosami, którzy w teatrzyku ogródkowym najzawzięciej oklaskują właśnie najbardziej bezecne i wprost oburzające brakiem wszelkiego arcyzmu, kuplety, którzy na wystawach sztuki nie dostrzegą prawdziwego arcydzieła, a rozkupują sensacyjne bohomyzy, którzy jednym słowem, pomimo pozorów ogłady towarzyskiej i pretensyi do inteligencyi, na każdym kroku wystawiają sobie świadectwo ubóstwa kulturalnego.

A zastępy ich są liczne i wzrastają jeszcze pod wpływem propagandy, o której mówiłem.

Zapewne, wszędzie znajdują się hyeny, żerujące na cmentarzyskach, rozkopujące świeże groby głośnego skandalu; wszędzie spekulacya czyha na najniższe skłonności ludzkie, ale w krajach o wysokiej kulturze estetycznej, pleśń fermentu trafia na odpór w zdrowej krwi organizmu społecznego. Znajduje on w swych sokach żywotnych dość sił naturalnych, ażeby nadmiar szkodliwych zarazków zabić lub wyobcować. U nas, niestety, wzięły one górę i duszę zbiorową w ogólnym nastroju przechylają ku objawom niepożądanym. Drobną garść ludzi ze smakiem nie jest w stanie zareagować dość energicznie przeciw czynnikom zatrującym atmosferę. Nie wiem, jak przyszłość oświecili obecną epokę z pewnego oddalenia historycznego, dziś mam wrażenie, że

jest ona wyjątkowo nieprzychylna dla sztuki. Niewątpliwie nastąpi jakieś silne wstrząśnienie psychiczne, jakiś mocny odruch społeczny, który oczyści atmosferę, na razie przecież, o ile mi się zdaje, panuje tu zaduch, w którym sztuka wprawdzie nie zamiera, ale utraciła chwilowo swoją bujność

Artyści w mieście naszym nie znajdują obecnie warunków, sprzyjających wysokiej twórczości, tych podnieć szczególniejszych, które wywołują wizje natchnione. Pozostaje wszakże jeszcze rutyna-rzemiosło sztuki, a to w rękach wielu słynniejszych malarzy i rzeźbiarzy stanowi wartość trwałą, niezmienną, niezależną od nastrojów chwili.

Tem tłumaczyć sobie można, że, mimo wszystko, wystawy nasze nie świecą jeszcze ostatecznymi pustkami. Zasilają je też czasem artyści polscy, pracujący za granicami kraju.

*

*

*

Jednocześnie z trzecią wystawą doroczną, a właściwie jako część jej integralną, widzieliśmy bardzo bogaty zbiór prac pana Edwarda Okunia, malarza utalentowanego i posiadającego wysokie wyrobienie artystyczne. Wystawiono je razem w mniejszej sali Pałacu Sztuki, tak, że stanowiło to całość dość zaokrągloną, mogącą wyraźnie scharakteryzować działalność artysty.

Pan Okuń mieszka stale we Włoszech, stąd w obrazach jego uderzała pewna egzotyczność motywów, ale też zarazem wielka ich różnorodność.

Rzeczywiście całokształt twórczości tego malarza przedstawiał się nader dodatnio z powodu wszechstronności tematów malarskich, zarówno pod względem kompozycji, jako też środków plastycznego wypowiedzenia się. Nie zasklepia się on w jednym rodzaju i jednokowej technice, ale szuka ciągle nowych wrażeń i nowego wyrazu. Od większych obrazów olejnych, skomponowanych nie bez siły dramatycznej i fantastyczności pomysłu, a pełnych pogłębienia uczuciowego do zwykłych studyów pejzażowych, gdzie chodziło o zaznaczenie jakiegoś subtelного tonu szarej powietrzności; od stylizowanych kompozycji nastrojowych do figlarnych akwareli dla niemieckiego miesięcznika artystycznego „Jugend,” do prawdziwie oryginalnych rysunków piórkowych dla

„Chimery“, dekoracyjnych kwiatów i realistycznych, spokojnych portretów, poznaliśmy obszerną skalę zasobów artystycznych, jakimi malarz rozporządza ze swobodą i pewnością siebie.

Okuń, jako malarz, odznacza się przede wszystkim zgoła niepowседневną w naszych czasach poprawnością rysunku, tudzież zupełnie nie dyletanckim opanowaniem rzemiosła swej sztuki.

W nastrojach swoich kompozycyjnych jest raczej ironiczny, niż sentymentalny. Łatwiej tu spotkać ostry zgrzyt sarkazmu, niż miękką tkliwość rozrzewnienia.

Najcharakterystyczniejszym, a zarazem najznamienitszym utworem w tym zakresie był tryptyk zatytułowany „Grajek“, obecnie własność muzeum we Lwowie.

*

*

*

Uważam za stosowne poprostu wynotować tu w porządku chronologicznym wystawy, jakie w ciągu roku bieżącego urządzało Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Będzie to może sprawozdanie nieco suche, ale bądź co bądź dokładne. W instytucyi tej koncentruje się obecnie wszystko, co artyści polscy mają do pokazania najlepszego i istotnie prócz kilku występów mniej wybitnych w prywatnych salonach panów Kulikowskiego i Wołowskiego, tam spotykamy zazwyczaj najbardziej charakterystyczne utwory. Minęły czasy, kiedy „Zachęta“ była wyłącznie przybytkiem jakichś kierunków prawowiernych, a wszelka śmielsza myśl musiała szukać przytułku gdzieindziej. Obecnie jest ona naprawdę odbiciem całej naszej twórczości w zakresie sztuk plastycznych.

Przedewszystkiem już w pierwszych dniach stycznia oglądaliśmy w Pałacu Sztuki obrazy pana Maryana Trzebińskiego. Zebrano prawdopodobnie prace artysty z lat kilku, gdyż liczba ich była dosyć spora. Całość wystawy bardzo urozmaicona, przedstawiała się ciekawie i charakterystycznie.

Dotąd wśród utworów malarza tego spotykaliśmy najczęściej motywy egzotyczne, przeważnie widoki włoskie, perspektywy wąskich uliczek i fantastycznych zaułków, gdyż ze szczególniejszem zamiłowaniem studjuje on stare, omszałe mury i wogóle malowniczość architektury. Tym razem zamiłowanie to wyraziło się przez poszukiwanie odpowiednich tematów w kraju. Ujrzelśmy też na

wystawie odtworzone bardzo artystycznie rzadkie skarby naszych zabytków historycznych — wnętrza kościołów, bóżnic, fragmenty architektury stylowej, odnalezione w odległych zakątkach wśród podróży, które ruchliwy artysta stale odbywa.

Nie ogranicza się on jednak w działalności swojej artystycznej do tego wyłącznie rodzaju, ale z równą swobodą maluje pejzaże o szerokich horyzontach, sceny charakterystyczne z licznymi figurami, tudzież portrety, a z tych ostatnio wystawiona podobizna pani D. świadczyła, że p. Trzebiński mógłby ten dział malarstwa szerzej i z powodzeniem uprawiać.

Wogóle jest to malarz, który w zawodzie swoim stanął na wysokim stosunkowo stopniu wyrobienia, odznacza się pracowitością i, powiedziałbym nawet, uporem w rozwiązywaniu swoich zadań artystycznych, posiada smak wrodzony, podniesiony jeszcze przez istotną kulturę estetyczną — przez dłuższy pobyt we Włoszech i głębsze przygotowanie teoretyczne, a jednak jakaś fatalność nie pozwala mu się wydzwignąć po nad pewien poziom — zadziwić niepospolitością. Obrazy jego są poprawne, posiadają mniej lub więcej zalet niezaprzeczonych, są zawsze po malarsku ogromnie interesujące, choć może trochę jednostajne przez nadużycie pewnych tonów, ale nie stworzył on jeszcze dzieła, któreby miało siłę bezpośredniego wzruszania, nie zdobył się jeszcze na tak potężny wyraz swej indywidualności, ażeby się mógł nią tłumom narzucić i podbić je dla siebie dość stanowczo.

*

*

*

Dobrze nawet dociągnięte pod każdym względem malowidła p. Trzebińskiego nie są w stanie podzielać na wyobraźnię ogółu tak intensywnie, jak naprzykład wprost kapryśne utwory takiego Wyspiańskiego.

Jednocześnie prawie, bo w połowie stycznia, w małej salce na dole rozwieszono kilkanaście pastelii tego ostatniego. Były to przeważnie szkice, czy lepiej może notatki pewnych wrażeń ogromnie intymnych. Rysunki przedstawiały żonę i dzieci malarza, tudzież kilka osób z jego najbliższego otoczenia, ujętych w jednej chwili jakiegoś nastroju. Domowe te impresye przeniesione na papier na gorąco, narzucone nerwowo, jak powiedziałem wyżej,

kapryśnie, nihy w szczególniejszem podnieceniu, miały w sobie coś chorobliwego, niepokojącego, denerwującego.

Niezmiernie trudna jest analiza wrażeń, jakie się otrzymuje od utworów tego fantasty. Niewątpliwie jest tam nader intensywne zadowolenie estetyczne, nie mniej przecież jednocześnie wyczuwa się coś, co w braku dokładniejszego określenia, istotnie najwłaściwiej nazwać jeszcze będzie zdenerwowaniem.

Możnaby na ten temat pisać całe tomy. Oczywiście przede wszystkim, jako najważniejszy czynnik występuje tu wewnętrzny stan duchowy twórcy, który pewnemi drogami przedostaje się do wrażliwości osób innych, wywołując stany mniej więcej analogiczne. Zdefiniowanie dróg tych jest właśnie ową trudnością, o której mówiłem. Czy będzie to w sposobie wyładowywania się energii twórczej jakiś rytm szczególniejszy, bardzo charakterystyczny, którego znamiona zaznaczają się w dziele, w robocie, w każdym pociągnięciu kreski, czy inne cechy konkretne, dostępne dla zmysłowego poznania—nie będę się narazie zastanawiał zbyt głęboko. Najpowierzchniej biorąc, rzecz mi się przedstawia w ten sposób.

Jeżeli się przegląda prace malarskie Wyspiańskiego, uderza przede wszystkim dziwna czasem, wprost rażąca, niepoprawność w ujęciu wielu form. Twarz naprzykład cała jest wykrzywiona, źle perspektywicznie skrócona, wypchnięta z osi, zgnieciona, płaska, a jednocześnie pewne szczegóły zaznaczone z tak nadzwyczajnem zrozumieniem istoty kształtu, że wywołują podziw niesłychany. Zdawałoby się, że na podobny zarys ogólny zdobędzie się dziecko zaczynające rysować, dziecko, którego ręka niewprawa nie umie zatoczyć, dajmy na to, prawidłowego owalu i pozostawia wszędzie, w widocznej dysproporcji i asymetrii pojedynczych części, ślady swego niedoświadczenia, a tymczasem w kilku liniach syntetycznych wyrażony kształt nosa, oka, stawu, kostki jakiejś, jakiegoś wiązadła anatomicznego, przedziwnie umiejętnie podkreślona ich trójwymiarowość, grubość, głębokość świadczy o niesłychanem mistrzostwie i pełnej świadomości środków plastyki malarskiej. Środkami tymi artysta wyraża swoje uczucia pełne melancholijnej zadumy i smutku, to też smutkiem tym przeżywa widza, a sposobem swej ekspresji denerwuje go i niepokoi.

Jeżeli zgodzimy się, że zadaniem sztuki jest wzruszenie, to Wyspiański święci jej tryumf w najdrobniejszej z prac swoich, gdyż niepodobna pozostać obojętnym nawet wobec najpobieżniejszego szkicu, narzuconego tą ręką, jakby ustawicznie rozgorączkowaną.

Wystawa jednak nie zawierała wybitniejszych dzieł artysty, prócz większego kartonu, przedstawiającego św. Franciszka, ujętego z tym dziwnym, niesłychanie głęboko odczutyim nastrojem średniowiecznego mistycyzmu.

*

*

*

Nie będę tu mówił o wystawie artystów badeńskich, na którą złożyły się obrazy sztuki graficznej, przeważnie z zakresu autolitografii kolorowej. Pokazy takie posiadają doniosłe znaczenie dydaktyczne, zwłaszcza w Warszawie, pozbawionej zupełnie stałego muzeum sztuki. Dla tego też należy się Towarzystwu Zachęty uznanie za podobnego rodzaju przedsięwzięcia, co zaznaczywszy wracam w dalszym ciągu do uwag o sztuce rodzinnej.

Przez miesiąc luty gościł w Zachęcie liczny zbiór prac malarzkich pana Władysława Ostrowskiego. Młody artysta kształcił się ostatnio w Paryżu, a kształcąc się nie ujawnił niecierpliwości występu publicznego, nie nadsyłał dotąd prac swoich niedociągniętych i niedojrzałych, zaprezentował się więc odrazu bardzo dodatnio.

Rzeczywiście obrazy pana Ostrowskiego były poniekąd niespodzianką w naszym życiu artystycznym. Poznaliśmy w nich talent nowy, pracownika poważnego, malarza, który wprawdzie nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa w swej sztuce, ale który już stanął na własnej drodze i pójść po niej może bardzo daleko.

Pamiętam, że pisząc w swoim czasie o tej wystawie zwróciłem uwagę, że prace p. Ostrowskiego cechuje przedewszystkiem, rzadka w ostatnich zwłaszcza czasach, lojalność w twórczości. I dziś przypominając sobie te pejzaże odczute szczerze i szczerze namalowane, te akty sumiennie wystudyowane, te portrety zrobione śmiało a bez efekciarstwa i blagi, chcę powtórzyć tę uwagę. Utwory pana Ostrowskiego odznaczały się istotnie uczciwością artystyczną, zarówno pod względem jego stosunku do samego siebie, jako też pod względem stosunku malarza do publiczności.

Współcześnie w tych samych salonach między płótnami p. Ostrowskiego rozrzucono terakoty młodego rzeźbiarza pana Stefana Pillatego. Były to przeważnie szkice kompozycyjne —

drobne figurynki traktowane szeroko, pobieżnie, niewykończone w kształtach, ale posiadające wiele wyrazu, ruchu i charakteru. W panu Pillatym zapowiada się niewątpliwie rzeźbiarz pierwszorzędny, ma jednak jeszcze przed sobą ciężką i długą pracę, konieczność studyów poważniejszych. Rzeczy wystawione wykazywały wprawdzie niezaprzeczony talent, ale jeszcze trochę surowy i nie postawiony odpowiednio do zamierzeń.

*

*

*

O wspaniałej wystawie Chełmońskiego, która trwała przez marzec i kwiecień, pisałem obszerniej na tem miejscu. O Janie Stanisławskim miałbym więcej uwag ogólniejszych: pragnąłbym mianowicie o zmarłym artyście i długoletnim profesorze krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pomówić bardziej wyczerpująco, scharakteryzować jako malarza i pedagoga, dla tego też i wrażenia z jego wystawy pośmiertnej zachowam do tego użytku. Wystawa ta w czasie miesięcy wiosennych cieszyła się wielkiem powodzeniem, ściągała liczną publiczność, ale też wywoływała najbardziej sprzeczne sądy.

Rzeczywiście twórczość Stanisławskiego przedstawia się dość szczególnie, jeżeli ją weźmiemy jako całość, jako dorobek życia artysty.

T. JAROSZYŃSKI.

Ruch literacko-umysłowy w Niemczech.

W jednej z owych cichych, niedostępnych światu pracowni, które są krzewicielkami prawdziwej wiedzy i prawdziwego piękna, rosło, dojrzewało i nareszcie, po 10-cio letniej przeszło pracy przygotowawczej autora, ujrzało światło dzienne obszerne, zasadnicze dzieło z dziedziny biologii „Der Ablauf des Lebens“ (Obieg życia) Wilhelma Fliessa. Opublikowanie jego odkrycia poprzedzone zostało przez introdukcję zbyt doniosłą, aby ją można było pominąć milczeniem. Chodzi bowiem o wyświetlenie polemiki, powstałej z powodu dzieła Fliessa. Polemika ta obejmuje nazwiska Fliessa, jako autora „Obiegu życia“, d-ra Ottona Weiningera, młodocianego filozofa, zmarłego przed kilkoma laty i psychologa, d-ra Hermana Swobody, którego nazwisko nie jest znane szerszej publiczności. Weininger i Swoboda obwinieni zostali o popełnienie plagiatu. Kwestya ta, czy Weininger i Swoboda skradli odkrycia naukowe Fliessa przed ich opublikowaniem, czy też samodzielnie doszli do rezultatów mniej więcej podobnych, byłaby ostatecznie sprawą, którą należałoby może wytoczyć przed forum ściślejsze, naukowo-krytyczne, gdyby nie znamienne oświetlenie, w którym pod wpływem tych dociekań ukazuje się postać Weiningera, którego dzieła wywarły i wywierają wpływ niemały na współczesną umysłowość.

Opublikowane w r. 1903 sławne i osławione dzieło filozoficzne Ottona Weininger „Płeć i Charakter“, zostało powitane z takim zapałem i zainteresowaniem, że można było spodziewać się po młodocianym autorze rzeczy niezwykłych. Oczekiwania te, niestety, w smutny sposób zostały zawiedzione. Zaledwie 24-ro letni, obiecujący autor odebrał sobie bowiem życie wystrzałem z rewolweru w Wiedniu, w noc październikową, w ponurym domu, gdzie konał Beethoven.

Badając bardziej krytycznie i trzeźwo przyczyny tak niezwykłej i szybkiej popularności młodego filozofa, przypisać ją dziś musimy dwóm przyczynom. Jedną i to może najbardziej miarodajną, była sensacyjna śmierć autora, mająca, jak przypuszczano, związek z jego światopoglądem (świat bowiem lubi sensacje),—drugą—zasadniczą, nowa myśl głównego dzieła Weiningera „Płeć i Charakter,“ niezmiernie ciekawych i ważnych poglądów na życie płciowe człowieka dotycząca. Któż nie zna charakterologii Weiningera, opisującej cechy typowe pierwiastku męskiego i żeńskiego, które autor dla pozorów wielkiej ścisłości naukowej (tej właśnie brak jego dziełu), oznacza algebraicznie przez *M* i *W*. Główna siła dzieła Weiningera polega na odkryciu, które zjednało mu swego czasu w kołach fachowo-naukowych nawet spory zastęp zwolenników. Przypomnijmy sobie słowa Augusta Strindberga: „Dr. Otto Weininger, pisze Strindberg, przesłał mi dzieło swoje „Płeć i Charakter;“ straszna to książka, która jednakże rozwiązała prawdopodobnie jedno z najtrudniejszych zagadnień... Ja sylabizowałem—on składa. Voilà un homme!“—Owem odkryciem, na którym, jak na fundamencie, wspiera się gmach spekulacji Weiningera, jest dwoistość płciowa (Bisexualität), jako cecha życia. W dziele swoim „Płeć i Charakter“ stara się Weininger dowieść, że cechy płci męskiej i żeńskiej nie są własnością wyłączną rodzaju, gdyż każda istota ludzka musi je równocześnie, chociaż w różnym stopniu i w różnej proporcji posiadać—słowem, że żaden mężczyzna nie jest „absolutnym“ mężczyzną, ale posiada jednocześnie pewien zasób kobiecości i że podobnież żadna kobieta nie jest „absolutną“ kobietą, ale posiada też pewną domieszkę męskości. Zamiast więc ustalonych dwóch typów „mężczyzny i kobiety,“ otrzymujemy niezliczoną ilość stopniowań, oscylujących pomiędzy temi dwoma pierwiastkami. Są to t. zw. „pośrednie stadya płciowe.“ Niema człowieka, któryby nie posiadał jednocześnie pewnej dozy miękkości i kobiecości. Wszystko zależy jedynie od procentu tej męskości i kobiecości, od procentu *M* i *W*. (*M* i *W* są skrócenia, zawierające pierwsze litery od Mann, Weib, t. j. mężczyzna, kobieta.) „W związku z teoryami Naegeli'ego o „Idioplasmie“ skonstruował Weininger teorię swoją o męskich i żeńskich komórkach: Arrhenoplasma (komórka męska) i Telyplasma (komórka żeńska). Najbardziej interesujący jest opis Weiningera, zawierający charakterologię (t. j. psychologiczną charakterystykę) dwóch tych „idealnych“ typów płciowych: „absolutnego“ mężczyzny i „absolutnej“ kobiety.

Dość tu będzie zwrócić uwagę na owe typy mężczyzn, które w mowie potocznej zwykło się nazywać „babami,“ na owe t. zw.

objawy „zniewieściałości“ mężczyzn, albo na owe kobiety, posiadające wymowne cechy męskie, począwszy od energii, a skończywszy na grubym głosie i delikatnym meszku na górnej wardze. Od chwiejnego „męża pod pantoflem“ do artysty o cechach kobieco-męskich (naturalnie, że nie każdy artysta musi się koniecznie odznaczać wybitnymi cechami kobiecymi), od energicznej „herod-baby“ do prawie że nic kobiecego nie posiadającej „emancypantki“, możnaby łatwo utworzyć bardzo pokaźną listę typów, odznaczających się cechami, nie odpowiadającymi zgoła płci, do której się je zaliczać zwykło. Mowa, wyprzedzająca częstokroć badania naukowe, posiada mnóstwo wyrażań, określających bardzo trafnie tę dwoistość płciową.

Idea dwoistości płciowej, będąca fundamentalnem założeniem dzieła Weiningera: „Płeć i Charakter“ i podawana przez autora, jako jego własność, jest w istocie, jak o tem będzie się można w dalszym ciągu przekonać, skarbem skradzionym i to skradzionym w sposób niezwykle kompromitujący. W historii tej kradzieży odgrywa Weininger mało pochlebną rolę „złodzieja posługującego się znalezionym kluczem“ (słowa d-ra Freuda z listu do Wilhelma Fliessa). Już sama okoliczność ta, że Weininger z taką starannością ukrywał źródło, z którego czerpał, wzbudzić musi silne podejrzenia. Fakt, że Weininger został przez d-ra Swobodę zaznajomiony z nieopublikowanym jeszcze wówczas materiałem, będącym rezultatem długoletnich badań Wilhelma Fliessa, jest dziś rzeczą, nie dającą się zaprzeczyć. Swoboda, będąc przez dłuższy czas pacjentem i uczniem d-ra Freuda, przyjaciela Fliessa, miał sposobność zaznajomić się z ważnymi odkryciami Fliessa, który był wówczas właśnie w trakcie uzupełniania i zaokrąglania, oraz sprawdzania swych doniosłych badań. Istniało wówczas coprawda dopiero tylko dzieło Fliessa „Die Beziehung zwischen Nase und Weiblichen Geschlechtsorganen“ (opublikowane w r. 1897), mające jednakże znaczenie bardziej specjalno-lekarskie, ale i w tem już dziele znajdujemy ku końcowi rezultaty faktyczne, mające doniosłość ogólniejszą i podstawową. Dr. Freud, jako przyjaciel Fliessa, niejednokrotnie się z odkrywcą w kwestyach badań tych komunikował, i dość dobrze był o wszystkim poinformowany.

Z korespondencji pomiędzy Fliessem a Freudem, wywołanej dziełem Weininger „Płeć i Charakter“ (korespondencja ta zawarta jest w broszurze Ryszarda Pfenniga „Wilhelm Fliess und seine Nachentdecker: O. Weininger und H. Swoboda“), pragnący bliższych informacji będzie miał sposobność przekonać się o istotnym przebiegu tej defraudacji. Zwolennicy Weininger starali się o ile

możności nadać jej mniej kompromitujące znaczenie, ale wyznanie piśmienne d-ra Freuda, że nieopublikowane, jemu jedynie wiadome odkrycia Fliessa dostały się za pośrednictwem jego do rąk Swobody, jest świadectwem, nie dającym się obalić. Odkrycia te Swoboda i przyjaciel jego, Weininger, postarali się dla siebie wyzyskać, przywłaszczając sobie pozory autorstwa. Materiał atoli, który w ten sposób dostał się do rąk rabusiów, był tylko częstką właściwych odkryć Fliessa, t. j. brak mu było dokładnego faktycznego i objaśniającego uzupełnienia. Tem to da się wyjaśnić ów wprost nerwowy niepokój Swobody przed pojawieniem się dzieła Fliessa i niejedna zagalkowość dzieła Weiningera. Częstki odkrycia nie dały się jednakże tak łatwo wcielić w dość powierzchowne dzieła pseudo-odkrywców. One to dziś najwymowniej świadczą przeciw autorom.

Pomijając na razie stronę faktyczną kradzieży, wartoby przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, jaką wartość posiada praca Weiningera poza odkryciem dwoistości płciowej, które jest zasługą Wilhelma Fliessa. Po entuzjastycznych pochwałach dla młodego filozofa, którego witano, jako gwiazdę pierwszej wielkości na firmamencie wiedzy, nastął czas bezwzględnych, niweczających krytyk. Dziś odmawiają Weiningerowi zazwyczaj wszelkiego uzdolnienia, przyznając mu najwyżej wątpliwą sławę zwyrodniałej genialności. Jest to druga ostateczność niestałej famy. Boć nie da się zaprzeczyć, że młody Weininger już w swoim pierwszym dziele złożył niezaprzeczone dowody niezwykłego uzdolnienia filozoficznego. Zadziwiająca jest jego konsekwencya w dążeniu do systemu, jego zdolność odnajdywania łączników, jego bystrość wzroku w sprawach natury psychologicznej. Jego wiedza i odczytanie są wobec takiej młodości czemś wprost niepojętem. Dzieła Weiningera pełne są znakomicie ugrupowanych szczegółów z dziedziny wiedzy i sztuki i już przez to samo stanowią dla każdego myślącego czytelnika niezwykle pobudzającą lekturę. Prawdopodobnie byłby Weininger z czasem znalazł właściwą drogę, wiodącą do prawdziwych szczytów, prawdopodobnie byłby fantazyi swej młodzieńczej nałożył wędzidła i oddał cześć należną prawdzie. Bogata jego natura była w stanie wszystko to przezwyciężyć. Dość będzie przeczytać na dowód w jego naczelnem dziele „Płeć i Charakter“ rozdziały, dotyczące psychologii kobiecej, żydostwa, genialności a przede wszystkim rozdziały, poświęcone ogólnofilozoficznym zagadnieniom. Tutaj to pokazuje się młody, opierający się na idealizmie Kanta, myśliciel w świetle bardzo korzystnym. Najmniej wartościowa jest może metafizyka Weiningera, zawierająca kapi-

talny błąd niedostatecznie uzasadnionego, absolutnego dualizmu. Ale nawet i ta część dzieła świadczy wymownie o niezwykle uzdolnieniu Weiningera. Świat *był* dlań wielką tajemniczą księgą, w której czytał rzeczy niesłychane, ucho jego chwyciło muzykę bytu, a umysł starał się ją uświadomić nie zawsze może z równym powodzeniem, ale zawsze z równą gorliwością. Kto pragnąłby zagłębić się w świat myśli Weiningera, znajdzie w udatnej pracy Emila Lucka „Otto Weininger, sein Werk und seine Persönlichkeit“ (1905 r.) trochę może stromy, ale użyteczny komentarz. Poza tem składają pisma pośmiertne młodego myśliciela, wydane pod tytułem „Ueber die letzten Dinge“ (1906 r.) przez przyjaciela jego, Maurycego Rappaporta, z przedmową treści biograficznej, wystarczają; cy dowód, że Weininger i bez owego fatalnego plagiatu mógł stworzyć rzeczy wartościowe.

Mimo to, „Płeć i Charakter“, jako dzieło filozoficzne, nie wytrzymuje krytyki. Już sama budowa dzieła, w wysokim stopniu nieproporcjonalna, utwierdza w mniemaniu, że to raczej bardzo bogate wariacje na temat dwoistości płciowej, nie zaś ujęcie, zgłębienie i wyczerpanie tematu samego. Po frapującej, ale względnie bardzo szczupłej pierwszej części, zawierającej materiał faktyczny (będący, jakto widzieliśmy, własnością Fliessa), przeskakuje autor nagle i dość niezgrabnie do swoich charakterologicznych wywodów, które kończy swą częstokroć paradoksalną metafizyką. Rzecz dziwna, że drugie odkrycie Fliessa, dotyczące rytmu wszechżycia, a stanowiące konieczne uzupełnienie i zaokrąglenie idei o dwoistości płciowej, nie zostało uwzględnione przez Weininger (jedynie w rozdziale 5-ym „Płci i Charakteru“ znajdujemy pobieżną wzmiankę o rytmie wszechżycia). Już sam fakt ten jest wystarczającym dowodem na to, jak niezupełnie o władnął Weininger materiałem cudzym i jak źle rozumiał właściwe znaczenie i stosunek obu odkryć Fliessa. W tenże sam sposób traktuje Swoboda wyłącznie o rytmie wszechżycia, pomijając dwoistość płciową milczeniem. Widocznie obaj przyjaciele podzielili się zdobyczą swoją, aby na każdego przypadła zasługa jednego ważnego odkrycia. Że uważać mogli podział podobny za rzecz możliwą, jest może najbardziej kompromitującym dla obydwu.

Ostatecznie można jeszcze napisać szereg wariacji ciekawych i wartościowych nawet na temat skradziony, można myśl cudzą, jasno wypowiedzianą, opleść arabeskami osobistej inwencji, ale nie podobna, nie posiadając metody właściwej, odkryć pozornie czegoś, co ściśle naukowo i z matematyczną dokładnością jedynie mogło być odkryte. Tego rodzaju trudności stanęły na dro-

dze d-rowsi Swobodzie. Stąd też dzieło jego, raczej broszura (bo książka jego zawiera 135 stronnic zaledwie) „Die Perioden des Menschlichen Organismus in ihrer psychologischer und biologischer Bedeutung“ (1904 r.) przedstawia się pod względem faktycznym bardzo niefortunnie. Spostrzeżenia jego są zagmatwane i mało ścisłe, dowodzenia naciągane i nie przekonujące a materiały badań niezmiernie szczupły. Pozatem wkradła się w obliczenia jego omyłka zdradliwa, świadcząca wymownie o dokonanym plagiacie. Przy obliczaniu peryodów obiegu życia, o których a priori wiedział, że dwa takie obiegi istnieją (patrz wyż. cytowane dzieło Fliessa „Die Beziehung zwischen Nase und den Weiblichen Geschlechts organen str. 229), a mianowicie: obieg (peryod) tak zwany kobiecy, trwający 28 dni i obieg (peryod) męski, trwający 23 dni, posługuje się Swoboda, jako miernikiem, godziną zegarową, która jest konwencyonalną jednością, zamiast jedynie naturalnym czasem słonecznym. Przy tej zupełnie fałszywej metodzie znalazł jakoby mniejsze obiegi trwające 28, 23 i 18 godzin, co jest naturalnie wierutnem głupstwem, ponieważ godziny nie mogą być identyczne z trwaniem doby słonecznej, będącej wynikiem obrotu ziemi na około swej osi i naokoło słońca. Ta „drobna“ omyłka do reszty skompromitowała Swobodę, jako pseudo-badacza.

Oprócz tego cały ton pracy Swobody bardzo wyraźnie wydatnia niepewność, kryjącą się pod maską nadrabianej zuchwałości. Dyletentyzm naukowy autora godnie uzupełniają wycieczki jego w zupełnie mu obcy świat spekulacji filozoficznej. Przytaczam dla przykładu kilka „ziarnek złotych“ z tego „skarbcza myśli“:

Planeta Venus (wobec przypuszczalnego obiegu trwającego około 23 godzin), wywierający wpływ na wybuchy soksualnej niewrozy. Co za perspektywa!...

.....

Gdyby mężczyzna pochodził z innego planety jak kobieta, ileż dałoby się przez to wytłómaczyć!...

.....

Materya znajduje się w stanie najwyższej nędzy; dopiero życie ją wyzwala...

.....

Tylko uświadomione życie nasze odgrywa się w ramach czasu, rozwój dokonywa się poza obrębem czasu.

.....

Czyż sentencje te, o ile nie są karykaturą Weiningera, nie przypominają mądrości z kalendarza lub sennika? Zobaczymy teraz, jakie znaczenie biologiczne ma właściwie teoria Fliessa. Mniema on, że każdy objaw życia zależny jest od dwóch substancyj: męskiej, której życie trwa równo 23 dni i żeńskiej, żyjącej 28 dni. Ponieważ powstanie życia zależne jest od tych dwóch substancyj, więc—wnioskuję Fliess—wszystko, co żyje, musiałyby posiadać ową dwoistość płciową i to nie tylko w swym zaczątku, ale stale w całym ustroju i we wszystkich objawach. Ostatniem źródłem tej dwoistości płciowej jest—słońce, a mianowicie ta okoliczność, że się ono nie w centrze, ale w jednym ze śródpółów (ognisk) eliptycznej drogi ziemskiego obiegu znajduje. Owe dwudziestoosmio i dwudziestotrydniowe obiegi tworzą jako jedność dzień słoneczny, t. j. naturalny wymiar dwoistej szybkości obrotu ziemi naokoło własnej osi i naokoło słońca. Rytm naszego życia jednoczy się więc ściśle z naszą ziemią i jej obiegiem. Rozpoczynając swe poszukiwania w wąskiej krynicy badań specjalnych, dociera Fliess w końcu do oceanów, obejmujących zagadnienie życia. Pokazuje on nam związek istniejący pomiędzy matką, dzieckiem oraz całą generacją krwi matczynej. Cała historia fizycznego rozwoju człowieka widziana z tego stanowiska—czas ząbkowania, pierwsze próby chodzenia, choroby dziecięce, dojrzałość i stopniowy zanik sił, aż do zupełnej zgrzybiałości i śmierci stanowią jednolitą całość rytmiczną. Ów dwoisty rytm przenika całe życie. Krzak dereniowy, Clivia, żrebaki stadniny cesarskiej, owady, węże, robaki Palolo wśród ryfów koralowych oceanu Indyjskiego, jaskółki, tablice chronologiczne rodziny Wilhelma Humboldta, króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III lub notatki dotyczące dat narodzin dzieci Fliessa, jego przyjaciół i pacjentów, tworzą jeden harmonijny akord życia. Nawet dane statystyczne, dotyczące proporcji narodzin dzieci płci męskiej i żeńskiej nie są niczem innym, jak stosunkiem 28 do 23, dwóch cyfr, odgrywających w teorii „Obiegu życia“ tak znamienne rolę. Długotrwałość normalnego życia przeciętnej mężczyzny i przeciętnej kobiety, proporcya różnic płciowych i śmiertelności daje się również do tych cyfr zasadniczych sprowadzić. Podobnie w świecie zwierzęcym i roślinnym. Takim to sposobem cel, o którym Fliess w przedmowie do „Obiegu życia“ wspomina—że pragnąłby udowodnić linię obiegu życia nie przez hipotezy, ale środkami matematycznej analizy—został osiągnięty. Owe nieznanne dotychczas prawo, według którego wielkie koło życia ziemskiego się toczy, prawo jednoczące generacje i oznaczające godzinę śmierci z równą dokładnością, jak godzinę narodzin, poraz

pierwszy i zupełnie samodzielnie zostało sformułowane przez Wilhelma Fliessa. Szkoda tylko, że dzieło Fliessa, składające się prawie wyłącznie z algebraicznych obliczeń, dostępne być może jedynie dla względnie małej garstki czytających.

*

*

*

W związku z dziełem Fliessa warto zwrócić uwagę na wyszłe przed niedawnem w znanym nakładzie Diederichsa w Jenie skromne na pozór, bo obejmujące zaledwie 83 stronnice druku, ale niezwykle bogate pod względem treści dziełko profesora Rudolfa Burckhardta, pod tytułem: „Biologia i Humanizm“ (Biologie und Humanismus). Coraz bardziej udoskonalające się środki techniczne dostarczyły wiedzy olbrzymiego materiału faktycznego, którego ogarnięcie i przetrwanie wymagało niezawodnie wielkiego zasobu energii. Konieczność coraz bardziej drobiazgowej spekulacji była naturalnym wynikiem tego stanu. Że jednakże, skupiwszy uwagę swoją na niezliczoną mnogość faktów specjalnych, zapomniano prawie zupełnie o konieczności związku pomiędzy gałęziami, gałązkami a wielkim pnem wiedzy, że zapomniano o potrzebie stałego zaokrąglania poglądu swego na rzeczy i to nie tylko na drodze empiryzmu, jest jednym z owych zasadniczych błędów, których konsekwencye fatalne zaczynają się nam coraz bardziej dawać dziś we znaki i stanowią jedną z najgroźniejszych przeszkód na drodze do zdobycia prawdziwej kultury.

Posiadamy pod tym względem wśród pism Cypryana Norwida pewne wskazówki. Tak naprzykład słowa z „Milczenia“ (patrz „Chimera“ r. 1902, zeszyt lipcowy i sierpniowy), napisane przed 25-ciu laty... „że przy spólcześnie panującym podziale na umiejętności ten albo ów specjalny pracownik stawa się z czasem, jakby doskonałą machiny częścią lub wytwornem narzędziem... tedy dla czegożby tejże samej wprawy nie nabrał i *ogólną treść prawdy* praktykujący umysł całego człowieka, wedle machiny ogólniejszej?... *Myślę owszem*, kończy Norwid, *iż tam nasza podzielona na specjalności wiedza i działalność koniecznie będzie musiała dojść, gdy tak jak cząstkowość specjaliści, uwłaszczyć sobie biegle potrafi niecząstkowość...*

Rudolf Burckhardt w dziele swem „Biologia i Humanizm“ stoi poza obrębem ciasnego specjalizmu i to stanowisko właśnie nadaje pracy jego tak wielką pozytywną wartość. Przytoczone poniżej słowo wstępne autora da nam najlepsze pojęcie o kategorii, do której zaliczyć wypada jego pracę.

„Tragiczna walka, pisze Burckhardt, trawi wszystkie członki współczesnej wiedzy. Specjalizm, uzbrojony w pomocnicze środki nowożytnej techniki, dotyla pochłania każdego służącego mu, że niejeden pod fatalnym urokiem swego podmiotu zatracą niezależność poglądu i okupuje kosztem swej indywidualności bezbarwny i pesymistyczny pogląd na wiedzę i życie. Ani rozmiar wiedzy, ani spekulatywna śmiałość nie są w stanie zastąpić braku indywidualnej i artystycznej treści, będącej jedynie w możności zapewnić wiedzy prawdziwe życie, o ileż mniej tam, gdzie chodzi o nowy czyn twórczy. Najbardziej chyba powinnaby wiedza o życiu (Biologia) czuć się do tego powołana; ale właśnie ta gałąź wiedzy, pomimo swej niegdyś pełnej życia przeszłości, cierpi dziś pod wpływem swej pozytywistycznej niedołężności i pod widocznymi następstwami empirycznych metod. Ilekroć i gdziekolwiek młodość, pełna chęci życia i hojności, rzuca się w jej objęcia, pochwycona zostaje przez maszyneryę tego konwencyjonalnego mechanizmu, która na proch ją ściera. A przecież biologia właśnie powinna, pod wpływem idei o prawie rozwoju życia organicznego, z pełną świadomością dojść do poznania, że historia jej rozwoju tę właśnie drogę wskazuje, na której możnaby było przekleństwo specjalizmu indywidualnie przewyciężyć. W Grecyi powstała biologia z łona pełnego obfitości życia, posiadającego wysokość dotychczas niedościgłą. Wiedza grecka jest i pozostanie owym ogniem prometejskim, z którego i nasza wiedza dotychczas czerpać powinna swoje światło i dzięki któremu byłaby w stanie przewyciężyć swój niejasny stan obecny.“

Książka Burckhardta składa się z trzech części, posiadających formę prelekcji. Pierwsza, przypominająca pod wieloma względami odczyty Nietzschego „O przyszłości naszych instytucyj wychowawczych“ (6 Vorträge „Ueber die Zukunft unserer Bildungsanstalten“) wygłoszone w Bazylei, traktuje o biologii Greków, druga — o stosunku dzisiejszej biologii, jako gałęzi wiedzy, do historii biologii, trzecia — o sposobach i metodach w nauce biologicznej i zastosowaniu jej do planu szkolnego.

Szczególnie interesująca jest pierwsza prelekcja, w której udało się Burckhardtowi w formie plastycznej przedstawić kontrasty pomiędzy zarozumiałym, krótkowzrocznym specjalizmem

dzisiejszym a pełną, harmonijną wiedzą Greków. Na jednym z kongresów zoologicznych w Berlinie spotyka się autor z dawnym kolegą uniwersyteckim Reinholdem, który jako typ przeciętnego współczesnego uczonego (Nietzsche porównywał ich do worków, napełnionych mąką, które za każdym dotknięciem kurzą się od pyłu na proch startej mądrości) zaszedł po ścieżce specjalizmu w wąwóz zupełnego odosobnienia, o istnieniu wielkich szczytów i perspektywy zapomniął i z wprost maniacką monotonią kręci się w błędnem kole swej specjalności. Znamienne są naprzykład następujące typowe utyskiwania Reinholda:

„Prawda, przesłałeś mi w swoim czasie prace Twoje, ale, przyznam się otwarcie, nie czytałem nic. Bo i skądże na miłość Boską wziąć czas na to? Już przejrzenie samej literatury bieżącej z dziedziny histyologii (Reinhold jest bowiem histyologiem), ba, nawet literatury, traktującej o włóknach i mesodermach, jest niepodobieństwem. Do czegoż dojdziemy, jeżeli tak dalej pójdzie, jak w ciągu tych ostatnich lat dziesięciu? Nie pojmuje, dlaczego ludzie się tak rwą do naszego fachu. Toć ze stanowiska makroskopijnego wszystko już osiągnięte, wszystko wyczerpane, a i w histyologii staniemy wkrótce u ostatniej granicy...“

U ostatniej granicy!... ileż tragizmu i śmieszności zarazem zawierają te słowa, które słyszeć dziś można, jak żałosne zawođenje żab, ze wszystkich niemal rowów i sadzawek wiedzy specjalnej.

Tak rozpaczliwie wzdychającą „mrówkę wiedzy nowożytnej“ pogrąża autor w sen kataleptyczny i prowadzi w krainę starożytnej Grecji. Wylądowują na wyspie Kos, gdzie Hippokrates i Polyxes, pod opiekuńczym cieniem świątyni Asklepiosa, badają naturę; udają się do Aten, słyszą Arystotelesa, dyktującego podczas przechadzki wstęp do swojej genialnej zoologii, widzą przepyszne akty ciał ludzkich w Gymnazyum, słyszą znakomitą prelekcję z dziedziny porównawczej zoologii, wygłoszoną przez ucznia Arystotelesa w wielkim gmachu Akademii, zwiedzają ogrody botaniczne w pobliżu, laboratoria, przyglądają się wiwisekcji, dokonywanej w Egipcie przez lekarza nadwornego u stóp tronu Ptolemeusza na kilku schwytanych piratach morskich i oglądają z podziwem barwny obraz całokształtu wiedzy przyrodniczej i biologicznej przeszłości, obraz składający wymowny dowód, jak obfitą w piękne plony była dążność Greków starożytnych do zdobycia *niezastłkowości* wiedzy.

Następna prelekcja, jako logiczna konsekwencja tego opisu, wykazuje konieczność metody historycznej dla nowożytnej biolo-

gii. Historia bowiem jedynie—owa vitae magistra—jest w stanie wlać nowe życie w zakrzepłe żyły dzisiejszej biologii, rozdrobnionej na sporo specjalności bez związku. Takie stanowisko historyczno-krytyczne, oparte na szerokich podstawach, dających możliwość poznania dróg i celów właściwych, zajmuje autor. Brak podobnych dzieł krytycznych daje się dziś we wszystkich niemal dziedzinach rozdrobnionej wiedzy uczuwać. Oto np. pomimo tak niezwykle bogatej literatury, dotyczącej idei darwinistycznych, nie posiadamy jeszcze dotychczas historyczno-analitycznego studium o powstaniu idei darwinizmu i stosunku np. świata ideowego Karola Darwina do o wiele głębszego i dlatego widocznie mniej popularnego, światopoglądu dziada jego, Erazma Darwina. Jedynie historia jest w stanie, powiada słusznie Burckhardt, otworzyć nam oczy na właściwszy stosunek badacza względem przedmiotu badań i tylko, opierając się na historii, można uniknąć owej niebezpiecznej i bałanrutnej zależności od absolutnego empiryzmu. Nie zapominając nauk i przestroż Nietzschego („Vom Nutzen und Nachteil der Historie für das Leben“) pamiętać jednak zawsze winniśmy, „że ten, co od sumienia historii się oderwał, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierze zamienia się...“ (Norwid: „Garstka piasku“).

Ostatnia prelekcja Burckhardta zawiera sporo interesującego materiału, przede wszystkim dla pedagogów, zastanawiających się nad pożytkiem nauk przyrodniczych dla szkoły i świadomych trudności znalezienia właściwej formy, wobec kompletnego braku dzieł i poglądów, obejmujących całokształt tych nauk. Specjalizm bowiem i rozdrobnienie współczesne, w zastosowaniu do systemu szkolnego, mogłyby łatwo wydać wprost przeciwne rezultaty, niż te, o których marzą dzisiejsi reformatorzy szkolni, czujący potrzebę odrodzenia szkoły. Tutaj to książka Burckhardta styka się z całym szeregiem doniosłych publikacyj, będących w ścisłym związku z ożywiającą się dziś w Niemczech tendencją przygotowania i utorowania dróg dla nowej kultury. 1)

*

*

*

1) Patrz sprawozdanie: „Ruch umysłowy w Niemczech.“ Zeszyt grudiowy Biblioteki, r. 1906.

Nie należy zapominać, że tendencya ta nie znajduje zbyt wiele poparcia ze strony ogółu. Trudno też przewidzieć, czy uda się wysiłkom pojedynczych jednostek tak szczęśliwie sformułować i przeprowadzić swe żądania, jak to ongi humaniści uczynili. Być może, że chodzi tylko o tych stu mężów, o których Nietzsche wspomina, że zjednoczone ich usiłowania byłyby w stanie stworzyć nową kulturę, Ale i tych stu mężów brak. Znamienne są pod tym względem słowa jednego z zasłużonych mężów, pracujących z zaparciem dla nowej kultury: „Chciałoby się mieć, pisze on, znacznie więcej książek, będących wyrazem wielkiej indywidualności i mogących służyć, jako materiał do wzniesienia gmachu przyszłej kultury, ale jak na teraz niema w Niemczech prawie wcale umysłów twórczych, pomimo, że może nigdy więcej książek nie pisano, jak właśnie teraz.“ Słowa te są, dajmy na to, zbyt ostre, jak zwykle zdania ludzi, znajdujących się w wirze walki i walczących osobiście, ale jako sąd człowieka, obeznanego ze stosunkami dzisiejszemi w Niemczech, charakterystyczne. Ze popomnino częstokroć lepszych pozorów, pomimo pojedynczych obiecujących przeblysków, pomimo rosnącego dobrobytu, panuje w Niemczech dzisiejszych zmrok dotkliwy, wie każdy, mający bliższą styczność z umysłowością niemiecką. Nietzsche—powiedzmy otwarcie — był dla Niemiec wielkiem nieporozumieniem, bo jeżeli całą twórczość po-nietzscheańską w Niemczech rozpatrzmy, czyż będziemy mogli nazwać więcej niż dwa nazwiska, posiadające bezpośrednią styczność ze światem myśli tego filozofa? Próby stworzenia nowego stylu w sztuce, ugrzęzły w paragrafach ciasnego i mieszczańsko-płytkiego stylu Biedermeier. Sztuka stosowana, zrodzona pod wpływem egzotycznym, tak obfite zawierająca zarodki nowego piękna, została kompletnie wykoszlawiona. W innych dziedzinach panuje ciasnota pojęć, kompletny zamęt pozytywistyczny, albo oczywiste barbarzyństwo, pobrzękujące zuchwale o tarczę militarizmu. Tem dziwniej wygląda wobec tego fakt, że znajdujemy się obecnie w Niemczech w fazie noweli spirytualistycznej o mniej lub więcej silnem zabarwieniu symbolicznem. Dawno już nie spotykało się tylu utworów, będących wyrazem tak podobnych tendencyj artystycznych. Można by to poniekąd ochrzcić mianem mody. Nawet autorzy skądinąd bardzo sceptyczni uważają się do pewnego stopnia zobowiązani potracić o dziedzinę „nadprzyrodzoną.“ Wyrazem takiej twórczości są naprzykład wyszłe przed niedawnem nowele Schnitzlera „Dämmerseelen“ (Dusze zmierzchowe).

Stanowisko autora, który zręcznie kryje się poza obojętnością epicką, ujawnia tytuł i stosunek nowel do takiego właśnie tytułu. Czuć poza tem wszystkim uśmiech pobłażania, z jakim poeta patrzy na dusze te, podlegające wpływom i uczuciom, których człowiek „trzeźwy“ nie uznaje. Uśmiech ten potęguje się niekiedy do śmiechu cynicznego, właściwego Schnitzlerowi, i nadaje całości coś nieszczerego. Spirytualizm jego jest natury bardzo zewnętrznej. Mimo to odznaczają się niektóre z tych nowel wprost wyjątkowymi zaletami stylistycznymi. Lwia część ich poświęcona jest takim charakterom, jak baron von Leisenbohlg, bohater pierwszej noweli zbiorku „Los Barona von Leisenbohlg.“ Są to ludzie, jak ich Schnitzler opisuje, łatwowierni, poświęcający się, redukujący swe osobiste żądania do zera i wprost bezmyślni w swem przywiązaniu, przypominającym ślepą wierność psa (ale u psa wierność ta inne ma źródło). Baron von Leisenbohlg kocha się w młodej śpiewaczce operowej, którą odkrył, wykształcił i „laurował.“ Miłość jego jest natury cierpliwej, cichej, wspaniałomyślnie tolerującej, bo nawet imponująca galeryja kochanków, którzy po kolei są szczęśliwymi posiadaczami serca młodej i sławnej śpiewaczki, nie wywiera żadnego wpływu na temperaturę jego uczuć. Mijają starzy, młodzi, bogaci, biedni, głupi, mądrzy, tłuści i wysmukli kochankowie, a przy każdej zmianie serce wiernego barona żywiej bić poczyna w nadziei, że może teraz nareszcie godzina jego szczęścia wybiła. Nadzieja ta zamienia się w końcu w cichą, ale pogodną rezygnację. Aż po śmierci księcia, długoletniego kochanka śpiewaczki, który, spadłszy z konia, umiera w jej objęciach, długoletnie nadzieje barona ożywiają się niespodzianie. Pani serca naznacza mu bowiem po dłuższym, „nieutulonym“ żalu schadzkę. Ośniona szczęściem wyobraźnia Leisenbohga zaczyna już snuć złote plany przyszłych rozkoszy, gdy tymczasem kochanka jego po pierwszej nocy znika bez śladu. Po wielu miesiącach dopiero następuje wyjaśnienie. Książę, poprzednik Leisenbohga, kazał jej umierając przysiąc sobie wierność dogonną, nie wierząc jednakże widocznie w moc tej przysięgi, poparł ją na wszelki wypadek przekleństwem tego, ktoby się ośmielił zająć jego miejsce. Przez dłuższy czas śpiewaczka czy to ze smutku, czy też z obawy dochowywała danego przyrzeczenia, odrzucając wszystkie propozycje zakochanych wielbicieli. Miłości sławnego europejskiego tenora serce jej oprzeć się jednakże nie zdołało. Przed ucieczką z nowym kochankiem składa przezorna córka Ewy możliwe konsekwencje przekleństwa na barki starego, wypróbowanego przyjaciela. Leisenbohlg dowiadyje się o wszystkim od tenora, który pragnąc się przekonać o pra-

wdzie słów kochanki i pełen obawy, że przekleństwo nieboszczyka wywarło wpływ ujemny na głos jego, wzywa Leisenbohga do willi swojej na wybrzeżu norweskim. Wyznanie tenora działa piorunująco na ofiarę przekleństwa; Leisenbohgg pada martwy, a śpiewak z zadowoleniem próbuje głosu i zasiada do napisania pojednawczej depeszy do kochanki swojej.

Podobny temat, o jedną skalę może jeszcze mniej wybredny, opisuje nowela „Ostatni list Andrzeja Thomayera“ wyznanie małżonka, który odbiera sobie życie, aby złożyć wobec świata dowód, że żona jego zachowała mu wierność małżeńską. O wiele delikatniej opracowany został podobny temat w noweli: „Obca.“ Pełna smutnego wdzięku jest nowelka „Nowa Pieśń,“ przypominająca najlepsze momenty twórczości beletrestycznej Schnitzlera. W „Przepowiedni,“ groteskowej karykaturze fantastyki E. P. A. Hoffmanna, przedstawia Schnitzler cały stek niemożliwości. Mimo to odznacza się właśnie ta nowela niezwykle zaletami stylistycznymi i działa tem tajemniczem, magicznem poplątaniem losów, które służąc nawet karykaturze, posiadają jeszcze moc przekonywającą.

*

*

*

Za prądem czasu idzie, choć bardzo kulawo, Hugo Salus, w swym zbiorze nowelistycznym „Niebieskie okno,“ w którym jedynie tytuł działa fantastycznie. Rozlazły sentymentalizm Salusa, który w pieśniach jego małżeńskich „Ehefrühling“ znalazł typowe wcielenie, nie nadaje się do noweli fantastycznej. Nowele swoje pisze Salus widocznie w chwilach wolnych od zajęć lekarskich (jest bowiem lekarzem chorób kobiecych w Pradze Czeskiej) i widocznie, jak wszyscy ci, dla których sztuka jest jedynie swego rodzaju rozrywką, szkodzi bardziej prawdziwej sztuce, niż obojętni. Na nowelistę brak mu wszystkiego. Jego opisy natury są bezbarwne i drewniane i świadczą, że nigdy jeszcze natury własnymi oczami nie widział, psychologiczne subtelności dłoń nie istnieją, zdaje się nawet nie wiedzieć, że nowela wymaga pewnej architektoniki myślowej i formalnej, że niepodobna opowiadać fabuły, chociażby najbardziej interesującej, bez pewnych skrótów perspektywicznych, których każde dzieło sztuki wymaga. Przykładem takiej zupełnie zbytecznej rozwlekłości jest zaraz pierwsza

nowela zbioru „Niebieskie okno,“ opisująca młodość, miłość, pielgrzymkę, powrót i śmierć rycerza, który dla ukochanej swojej udaje się w świat, aby znaleźć środek przeciw melancholii i powraca w końcu z kawałkiem szyby, która ma własność pochłaniania smutnych myśli. Rycerz umiera z wycieńczenia, a kochanka jego, którą naturalnie ojciec „okrutny“ chciał gwałtem wydać za mąż, dostaje obłądu i patrząc na szybę, która powoli chłonie jej myśli ponure i pogmatwane i zabarwia się na niebiesko, umiera po latach wielu pogodnie. Są to jednym słowem oburzające próby podszywania się pod płaszcz niebieski muzy romantycznej. Bardzo niesmacznie wygląda z pod tego płaszcza niebieskiego płowa szczecina dwuznacznej jowialności autora (np. w „Meerweibcher“ lub „Der Spiegel“), mogąca jedynie może w praktyce lekarskiej, ale nie na wyżynach sztuki, mieć rację bytu.

Pod podobnie fałszywą etykietką niby fantastyczną pojawiły się nowele Hirschfelda „Der verschlossene Garten“ (Ogród zamknięty). Można by pomyśleć, że mowa będzie o owym dalekim ogrodzie, pełnym cudów, a dostępnym jedynie dla wybrańców i że poeta klucz do tego ogrodu posiada. Z tym to zamiarem został widocznie tytuł wybrany, jako mistyfikacja jedynie, bo nowele tworzące ten tomik do tytułu takiego nie uprawniają. Pozatem niewiadomo dlaczego połączone zostały w jednym tomie rzeczy tak mało z sobą harmonizujące, jak naturalistyczny szkic „Novemberabend,“ banalne okolicznościowe „Weihnachten in der Fremde,“ „Angekauft,“ niby symboliczne „Der Tiger“ i trywialna, satyryczna nowela „Else Busch und Else Röder,“ przedstawiająca wyższość szwargocącej straszonym dyalektem dziewczyny z przedmieścia berlińskiego nad przerafinowanymi mieszkańcami dzielnic bogatych. Tylko pierwsza nowela „Der verschlossene Garten,“ pomimo sporej sentymentalnej domieszki, podnosi się cokolwiek ponad poziom powstałych, ale i ona nie zawiera wiele z obiecującego tytułu. Ostatnią nowelę tego zbioru „Else Busch und Else Röder“ opracował autor i rozwinął do rozmiarów komedii czteroaktowej, którą teatry grały z powodzeniem w ciągu ostatniego sezonu. Jest to elukubracja nie bez znajomości sceny napisana, ale tak nędzna, że nie warto się nad nią ani chwili czasu zastanawiać. Hirschfeld należy, czy też należał do świty Gerharta Hauptmana i dzięki temu głównie udało mu się wypłynąć na powierzchnię. Spragniona sensacyjnych niespodzianek prasa, powitała go jako dramaturga przyszłości. Okazało się jednakże bardzo prędko, że zdolności dramatyczne Hirschfelda są bardzo skromne, przyznano mu zato wysokie uzdolnienie beletrystyczne.

Jako epik jednakże nie posiada Hirschfeld ani cienia zdolności, na co dowody wymowne kilkakrotnie już złożył, ostatnio, poza swemi nowelami, w równie nędznej i bezbarwnej powieści „Das Mädchen von Lille.“

Udatne i poczęści nawet piękne nowele wydał pod tytułem „Diesseits“ (Po tej stronie) Herman Hesse, znany autor powieści: „Piotr Camenzind.“¹⁾ Hesse może najdalej z młodych trzyma się od świata fantastyki. Trzeźwy i przedmiotowy posiada jednakże spory zasób poezji i świeżości. Jego opisy gór szczególnie są bardzo piękne. Wspomniane powyżej nowele przedstawiają cały szereg miłości i miłostek będących po tej stronie (t. j. po niemiecku „Diesseits“) wielkiej miłości. Stąd też tytuł dzieła, który jako kontrast słowa „Jenseits,“ (które oznacza toż samo co „świat nadzmysłowy“) mógłby równocześnie mieć jeszcze inne znaczenie. Wartość pięciu nowel zawartych w dość okazałym tomie, wydanym gustownie w nakładzie Fischera (w Berlinie) — nie jest równa. Dwie: „Aus Kinderzeiten,“ historia przyjaźni pacholęcej i „Heumond,“ miłostka jednodniowa uczniaka, są zaledwie średniej wartości. Za to trzy pozostałe „Die Marmorsäge,“ „Der Lateinschüler“ i „Eine Fussreise im Herbst“ — zaliczyć należy do najlepszych rzeczy wyszłych z pod pióra Hessego. Na specjalną uwagę zasługuje ostatnia nowela: „Eine Fussreise im Herbst,“ opisująca niezmiernie żywo i plastycznie wycieczkę autora w góry i odwiedziny u swej niegdyś ubóstwianej, która wyszła za mąż za porządnego, prozaicznego filistra z małego miasteczka w górach. Z zupełnie naturalistycznego tonu opowiadania wyłaniają się stopniowo symboliczne pogłębienia, powstają perspektywy w nieskończoność i całość tak bardzo realna i codzienna zamienia się w końcu w bajkę utkaną z delikatnych, tęczyowych promieni, głęboką i piękną.

Do najprzedniejszych niemieckich utworów nowelistycznych, doby ostatniej, zaliczyć wypada trzy znakomite nowele Jakóba Wassermana, wyszłe pod tytułem: „Siostry.“ Wasserman, którego jeden z współczesnych krytyków słusznie nazwał jedynym dziś w Niemczech pisarzem o wybitnych semicko-azyatyckich cechach, zbytnio jest Żydem, aby się lubować w mistycznych głębiach symboliki. Sztuka jego jest przedewszystkiem dekoratywną, ale

1) Patrz sprawozdanie o ruchu literackim w Niemczech—Bibl. Warsz. Zeszyt lutowy r. 1906).

dekoratywną w najlepszym tego słowa znaczeniu, połyskującą dobrany przepychem pełnych kolorów, jak kobierce wschodnie. Pod względem formalnym są utwory Wassermana bez zarzutu. Wszystkie te zalety przedstawiają się niezwykle korzystnie w ciasnych ramach noweli, w powieści atoli, wymagającej bardziej monumentalnych zarysów, działają trochę monotennie. Prześliznęły się te trzy nowele, opisujące losy trzech kobiet, będących ofiarami swego czasu. Jedną z nich księżniczka krwi królewskiej Joanna Kastylska jest matką Karola V-go, druga, francuska, Clarissa Mirabel—córką wysokiego urzędnika, trzecia, angielska, Sara Malcolm — dzieckiem ludu. Losy tych trzech kobiet posiadają wiele podobieństwa, pomimo tak różnych warunków i sfer, w których żyją. Wszystkie trzy stają się ofiarami przesądów, ciasnoty pojęć, zabobonów swego czasu i fatalnej zależności kobiety, każda jest w swoim rodzaju męczennicą, ale każda w swoim męczeństwie, w fanatycznym zaślepieniu znajduje rozkosze niezwykle. Pewnego rodzaju chorobliwa lubieżność, napawająca się cierpieniem i okrutnością, jest charakterystyczną cechą nie tylko tego jednego tomiku, ale i innych utworów Wassermana. Uporczywe podkreślanie tej nuty robić poczyna wrażenie manii, i niemile zabarwia, skądinąd piękne utwory Wassermana. Ostatnia nowela Sara Malcolm potrąca o krainę fantastyczną w podobny mniej więcej sposób, jak „Przepowiednia,” Schnitzlera, t. j. bez przekonania, bez głębszych uświadomień, i czepiając się jedynie formalnych, nie mówiących, niczego nie tłumaczących faktów.

Że można poza całym sceptycyzmem i trzeźwością „człowieka nowożytnego“ odczuwać czar i doniosłość egzystencji rzeczy niewytłumaczonych, t. j. nie dających się na razie zgłębić zbyt powierzchownemu jeszcze umysłowi ludzkiemu, jest faktem przez najprzedniejszych i najlepszych dostatecznie dowiedzionym. Niejedno arcydzieło posiada swoje misterya, do których dorosnąć duchem trzeba. Sztuka bowiem nie jest fotografią, ale do coraz to nowych, głębszych uświadomień zmierza i coraz to nowe, głębsze, tajemnice wypowiada. Dlatego fantastyka E. T. A. Hoffmanna, będąca w swoim czasie doniosłym czynem twórczym, który starał się zjednoczyć rzeczywistość widzialną z niewidzialną, nie może służyć twórcom nowoczesnym za wzór wyłączny, jak to dziś częstokroć obserwować można po uświadomieniach takich poetów jak Baudelaire, Verlaine, Maeterlinck, a dla nas przede wszystkim Cyprian Norwid, inne daleko donioślejsze jeszcze zadania i cele postawione zostały sztuce nowoczesnej. Z wyżej cytowanych utwo-

rów o pozorach fantastycznych, żaden wymaganiom tym nie odpowiada, możnaby je więc słusznie nazwać zbytecznymi.

*

*

*

Bardzo pięknym i obiecującym talentem z dziedziny beletrystyki niemieckiej, jest Otto Gysae. Nazwisko to mało jest dotychczas znane, nawet w Niemczech samych. Otto Gysae, rodem z Saksonii (ur. w roku 1877 w pobliżu Drezna) wystąpił po raz pierwszy z powodzeniem przed dwoma laty z powieścią swą „Siostry Hellwege.“ W ciągu ostatnich dwóch lat wyszła poza tem bardzo udatna nowela „Virienne,“ drukowana w miesięczniku Westermans Monatshefte (zeszyt marcowy r. 1905) i powieść „Edela Praugen,“ którą autor złożył dowód rzadkich uzdolnień i poważnego artyzmu. Druga ta powieść jednak, widocznie ze względu na treść swoją, znalazła znacznie mniej zwolenników—pomimo, że o niebo całe stoi wyżej od wszystkiego, co Gysae dotychczas napisał i od wszystkiego co mniej więcej z dnia na dzień wychodzi.

Sztuka Gysaego wywodzi się w prostej linii od duńczyka Jensa Piotra Jacobsena, tego subtelnego marzyciela-fantasty i trzeźwego realisty zarazem, który obok E. T. A. Hoffmanna wywarł wpływ znamienity na neo-romantyzm w Niemczech. „W każdej rzeczy powiada Gustave Flaubert, jest ukryte coś, czego jeszcze nikt nie widział, nikt nie wysłowił; to właśnie należy wydobyć na jaw. Chcąc opisać ognisko, drzewo, trzeba się tak długo i uważnie w nie wpatrywać aż ognisko to, drzewo to stanie się czemś zupełnie innym, niż wszystkie ogniska i drzewa. W ten sposób należy szukać oryginalności.“ Jest to metoda, której się trzymał Jacobsen i którą z zadziwiającymi rezultatami posługuje się Gysae.

Poza wpływem Jacobsena możnaby jeszcze w sztuce Gysaego odnaleźć liczne pokrewieństwa przeważnie skandynawskie i francuskie, np. z Arne Garborgiem, Knutem Hamsunem, Berntem i Jonaszem Lie, Larssenem, Perem Hallströmem, Amalią Skram, Augustem Strindbergiem, Ibsenem i Björnsonem nawet, pomimo, że nie wszyscy naturalnie jednakowo i w równej mierze wpłynęli na Gysaego. Pod względem stylistycznym i psychologicznym wywarli nań duży wpływ tacy autorzy, jak Gustave

Flaubert, Stendhal (Henry Beyle), Edmund Goncourt i Anatol France. Poza tem sadzą się jeszcze wykazać pokrewieństwa z Gabyrielem d'Anunzio, Maeterlinckiem i Oscarem Wildem, przede wszystkim jednakże z „A rebours“ Huysmans'a. Porównania te niechaj nie będą uważane, jako chęć zakwestyonowania oryginalności autorskiej Gysaego. Dowodzą one jedynie ogromnej skali jego talentu i niepowszedniej kultury artystycznej. Jako twórca jest Gysae zupełnie oryginalnym i prawym artystą, szukającym samodzielnie nowych, własnych dróg i uświadczeń. Bardzo być może, że pod względem charakteru i rodzaju twórczości zaliczyć go trzeba będzie raczej do literatury skandynawskiej niż do niemieckiej, w której subtelny, pełen wytwornej kultury i zachwycającej polifonii talent Gysaego, jest anomalią. Dlatego też dzieła Gysaego powinnyby we Francyi, Skandynawii i Polsce znaleźć żywszy oddźwięk, niż w Niemczech samych, gdzie sztukę wają po większej części przedewszystkiem na cetnary.

Już w pierwszej swej powieści „Siostry Hellwege,“ która jest jakby przepyszną ilustracją do pism Ellen Key, przedstawia się Gysae bardzo okazale. Znakomita jest kompozycja tej powieści: perspektywa życia czworga sióstr Agnieszki-Elżbiety, Maryanny, Julii i Eweliny Hellwege ujęta w ramy dwóch trumien,—trumny matki Hellwege i trumny Agnieszki-Elżbiety. Jakby cztery wąskie strugi płyną te cztery życia, wytrysłe z jednego źródła, blisko obok siebie, a każde dokądindziej zmierza, każde odzwierciadla odrębny świat kobiecości. Agnieszka-Elżbieta, najstarsza z sióstr, jest typem owych kobiet, które się wyrzekły swego ja. Żyją dla innych. Nikt ich się nigdy nie zapyta, czy im smutno, czy czego nie potrzebują, nie pragną?... Wszyscy przywykli tylko od nich brać, a one dają i dają zawsze ciche, zupełnie zrezygnowane, nie marząc już nigdy o szczęściu, które im się może wydaje niedoścignioną dolą, czemś co jest tylko... dla innych. Dobrze jeszcze jeżeli tym nieszczęsnym niewolnicom cudzego egoizmu danem jest krzątać się do końca, jeżeli w kole codziennych potrzeb i małostkowości mogą się ogłuszyć warczeniem i turkotem kółek i szpulek życia powszedniego, a potem paść późno... późno po północy na łożo samotne i zasnąć kamienym snem wyczerpania fizycznego. Ale jeżeli życie od nich odpłynie, a ofiara ich stanie się zbytęcną, niepotrzebną,—cóż wówczas kobiety takie począć mają? W podobnem położeniu znajduje się Agnieszka-Elżbieta. Umierającej matce przyrzekła zająć się młodszemi siostrami, zastąpić im pieczołowitość i miłość matczyną. Wierna temu przyrzeczeniu odrzuca rękę człowieka, który

mogłby jej zgotować szczęście, i cała poświęca się zadaniu swemu. Życie, które siostry Hellwege pędzą, nie ma, co prawda, na razie nic ponurego w sobie, a być opiekunką i towarzyszką sióstr, które żyją jakby królowne w swoim wiejskiem zaciszu i jakby nimfy igrają wesoło wśród promieni złotych i zielonych półcieni swej kwiecisto-białej idylli — nie wygląda na zbyt wielkie poświęcenie, tembardziej, że Agnieszka-Elżbieta zna może dopiero tęsknotę, ale nie ma pojęcia o potędze miłości. Życie jednakże zbyt długo idylmom nie pozwala istnieć. I oto Maryanna Hellwege wychodzi zamaż za nauczyciela wiejskiego i staje się matką; Julia, która należy do kobiet szukających, udaje się do Berlina, aby się tam rozpatrzeć i znajduje w końcu siebie samą, cel i wielką miłość, która nie zatapia jej życia indywidualnego (na to jest Julia zbyt kobietą nowożytną), ale daje życiu temu pełnię i harmonię, bardzo rzadką zazwyczaj w świecie kobiecym. Ewelina rzuca się w objęcia świata, zabaw, sukcesów... Agnieszka-Elżbieta pozostaje sama, w opustoszałym zaciszu idyllicznym, które się dla niej zamienia w klasztor... „Życie Agnieszki-Elżbiety, powiada autor, nie było wiele więcej, jak ponurą paplaniną pacierzów w kościołach klasztornych, podczas gdy łupy pożarne średniowiecza się ponad krajem dyniły. Czasami czerwony odblask, padając w jej opustoszały dom, prześlizgiwał się jej po twarzy i ciskał przerażenie pod stopy.“ Cisza i samotność bezużytecznego życia i zepsuta, po niewczasie fermentująca krew, rodzą widma nieuchwytnie, ale tem groźniejsze, prześladowające, skradające się, zawsze gotowe do skoku, wysysające krew i trujące resztki zamroczonej samowiedzy. Agnieszka-Elżbieta ulega im i ginie. Nad trumną jej po przez śmiech i kwilenie dziecięce brznią bezwzględne, ale słuszne słowa Julii: „Życ dla drugich można tylko wtedy, gdy własne życie pełne jest piękna i jasności. Inaczej na nic się to nie przyda.“

Julia jest kobietą pełną świadomej woli, taką jaką nam się z pism Ellen Key wyłania — kobietą, do której przyszłość należy. Potrafi ona nie tylko być samodzielnym człowiekiem, ale i oddaną kochanką, dobrą, pogodną towarzyszką życia i matką, jakich dla przyszłych pokoleń ludzkość potrzebuje. Maryanna Hellwege jest typem kobiety, tylko matki. W domu jej rozlegają się od rana do wieczora kołysanki; „owe półgłosem nucone piosenki, powiada autor, które trącą zlekka zapachem bielizny dziecinnej i śpiewają o szczęściu rodzinnem i o ciepłej izbie, ale niezbyt głęboko sięgają.“ Nie brak im pewnej słodkawej, czasami mdłej nawet, filisterskiej sentymentalności. Jako typ przypomina Ma-

ryanna Hellwege Marynię Połaniecką. Ewelina jest kobietą salo-
nów i zabaw. „Życie było dla niej, powiada Gysae, jak muzyka
balowa, jakby melodyą walca, w którego kołyszących się rytmach
drga tyle tęsknoty za wesołością. Odzywały się w niem skrzypce
miętko, niby światło księżyca w śpiącym ogrodzie i światła je
goniły podskakując wesoło, jak kagańce hucznych zabaw, jak peł-
ne kokieteryi „Piccicata,“ którym towarzyszy brzęk i grzechot
dzwonek.”

Życie tych czterech sióstr oplata idylla cicha, jasna, kwie-
cista, mieniająca się jasno-złotymi plamami słońca, wonnemi szpale-
rami pnączów jaskrawo-plamistych, kołysana do snu szunem sta-
rych lip, gdakaniem kur, pluskiem kaczek w sadzawce i czystym,
świeżym powiewem, który po fioletowych porośniętych wrzosem pu-
szczach północno-niemieckich goni i gdzieś daleko wśród fal mor-
skich, wśród grzbietów mieniających się odbłyskami pawimi bierze
początek. Zasobność, czystość i wygoda siedzib północnych nas
otacza, a i charakterzy tych czterech sióstr posiadają w sobie spo-
ro samodzielności północno-germańskiej. Taka Agnieszka-Elżbieta
i Julia dopiero w tem otoczeniu stają się zupełnie zrozumiałe.
Smutna tragedia straconego życia, odgrywająca się w ramach
tego na pozór tak jasnego i pogodnego życia, tworzy z otocze-
niem swoim dziwnie niepokojący akord, którego groza ukryta
jest pod obfitemi girlandami kwiecia, jak bolesna szczerzość Szop-
pena pod szemrzącem, szepczącym i łkającym bogactwem półtonów
w jego preludjach.

Powieść następną Gysaego „Edela Praugen“ należy do naj-
lepszych powieści niemieckich ostatnich czasów. Nietylko wyso-
kie zalety psychologiczne utworu składają się na całość tak wy-
soce artystyczną, ale zarazem rzadkie muzyczne i kolorystyczne
uzdolnienie autora. Powstają w ten sposób harmonie tak pełne,
że najwybredniejszy umysł będzie się mógł niemi napawać z za-
chwytem. W całej powieści niema chyba jednego zdania zbyte-
cznego albo bezbarwnego, niema ani jednego rozdziału, któryby
nie był świetnie szarmonizowanym motywem, dostrajającym się
znakomicie do brzmienia całości. Mimo to, albo może właśnie dla
tego, powieść ta, niestety, cieszyć się wielkiem powodzeniem w Niem-
czech nie będzie. Pomijam fakt, że większa część piękności sub-
telnych ujdzie wzrokowi mas czytających, przedewszystkiem za-
pewne treść sama najwięcej będzie szkodzić książce, w oczach
owej „kompakte Majorität,“ która płaci i bije brawo. Pomimo,
że arcydzieł nie pisze się dla podlotków, każde niemal prawie
dzieło sztuki, będąc szczerym a przez to samo bezwzględny wy-

lewem, spotykać się musi z owemi żądaniami strzegących moralności publicznej ojców i wychowawców, matek i starych panien.

Niestety, ujemne strony życia nie dadzą się usunąć przez to, że je pokryjemy kobiercami. Ale Gysae tak nie rozumuje. Jemu jedynie chodzi o harmonię jego dzieła. Co pozatem myśli, czy się oburza lub nie, jest pytaniem nie na miejscu, wobec piękności jego dzieła.

W Biblii, w księdze królów znaleźć można opowieść, jak król Dawid, zestarzawszy się, wielce się stał wrażliwym na chłód i jak żadne odzienie nie było w stanie ogrzać go. Wówczas to, według rady swoich sług wziął sobie „dziewkę Abizag,“ która go pielęgnować i spać w jego objęciach musiała, aby go ogrzewać ciepłem swojego młodego ciała.

„Była to zaś wielce piękna dziewczka, powiada Biblia, a pielęgnowała króla i służyła mu...”

Nad szarem morzem, gdzieś w Jutlandii stoi szary, wielki dom, otoczony wilgotnemi, cienistemi alejami, a na murach jego zwisają się ociężałe mokre, lśniące kobierce bluszczu czarnego. W domu tym mieszka dwoje starych, którzy umierać nie chcą. Pełni egoizmu i chytryści starzy przykuli do siebie dwoje młodych wnucząt Edelę i Knuta, aby młode ich, rozkwitające życie ogrzewało i ożywiało ciepłem swoim ich kostniejące, stare ciała. Jak dwoje tłustych polipów, wypełzłych z nurtów potwornych szarego morza, wysysają starzy powoli i z rozkoszą młodość i życie swoich ofiar młodocianych, płacąc im za to dobrobytem, obfitością i pochlebstwami. I rzeczywiście, chytryść ich osiąga zamierzony cel. Młode życie działa, jak eliksir cudowny, przywraca sztywnym członkom nową gibkość, krew w żywszy obieg wprawia. Ale młode serca zato, pod wpływem cieplarnianej, dusznej atmosfery rozwijają się nienaturalnie, przedwcześnie, kwitną dziwnie, tajemniczo i groźnie i wydają nawpół zwiędłe, gorzkie, trujące owoce. Późno względnie budzi się w Edeli i Knucie zrozumienie własnego położenia. Pewna instynktowna nienawiść względem „starych“ była zawsze i objawiała się wielokrotnie, prawie odruchowo. Raz nawet w sposób zatrwajający, gdy Edela, rzuciwszy się na dziadka swego, starego Praugena, ze śniechem dzikim wpiła białe swe, ostre zęby w jego kark tłusty. Do zupełnej świadomości przychodzą Edela i Knut dopiero po dłuższym pobycie w wielkiem mieście, gdzie mieszka matka Edeli (Knut jest sierotą, synem drugiej córki Praugenów). Ale matka Edeli umiera a Knut i Edela powracają znów bez oporu do Praugenhof w objęcia wampirze tryumfujących starych. Przychodzi jeszcze coś, co

rzuca jasny snop świadomości w dusze młodych: — miłość. Knut i Edela kochają się, ale ową chorą, przedwczesną, nienaturalną miłością, która jako pierwsza miłość ma w sobie cudów pełne piękności, ale opada nie rozkwitnąwszy nawet. Miłość ta daje im przedsmak tego, czemby życie mogło być dla nich być i potęguje jeszcze nienawiść dla starych, którzy im możliwość tego szczęścia skradli. W Edeli pod wpływem tym potęguje się wrodzone widocznie okrucieństwo, Knut ugina się, traci wolę i inicjatywę, jak owe zwierzęta sztucznie tuczone w zbyt ciasnych klatkach, które pomimo nadmiaru pokarmu tracą wesołość i siły życiowe. Uciezka jego z Praugenhof jest raczej krokiem rozpaczcy. Pozostawszy sama, rozpoczyna Edela walkę na śmierć i życie ze starymi, w wyrafinowany, podstępny sposób przyczynia się do śmierci babki swej, a starego Praugena powoli zakarmia, i drażniąc po sutym obiedzie, wywołuje z zupełną świadomością atak apoplektyczny, który starego zabija. Ta scena zemsty, w potworności swej odrażająca, świadczy wymownie o rzadkich zdolnościach autora, jako psychologa. Mimowoli przypominają się i to niejednokrotnie w toku akcji, obrazy wyszłe z pod pędzla Goyi. Po śmierci starych, Edela i Knut odzyskują wolność kompletną, ale na nic jej już zużyć nie potrafią i siadają beczynnie w ciężkich fotelach „starych“ pogrążeni w dumania ponure o własnej nieudolności, o straconem życiu, o morzu szarem, które kochają, o domu szarym, do którego przykuwają ich niewidzialne łańcuchy... siadają tak dziwni i nad wiek poważni, dziwnie smutni, dziwnie spokojni: — życie nic im już nie ma do powiedzenia.

Powieść Gysaego „Edela Praugen“ pomimo swej ponurej, negatywnej treści, posiada i pewne pozytywne znaczenie. W obrazie bowiem pod względem artystycznym wyjątkowo barwnym, udało się autorowi uwydatnić owe wrogie życiu instynkta, które pod osłoną autorytetu rodzicielskiego lub wychowawczego wywierają, częściej niż myślimy, swój zgubny wpływ na młodociane dusze, będące w niebezpiecznym stadium rozwoju, podczas którego każde, najlżejsze nawet dotknięcie, jest w stanie pozostawić ślad. Gdyby powieść występowała wprost przeciw powadze rodzicielskiej, treść jej trafiłaby niezawodnie na silny opór i oburzenia moralne. Konsekwencyj tych uniknął autor, przedstawiając dalszy stopień pokrewieństwa, bo dla trzymających się ściśle litery prawa obrońców moralności publicznej mniejszem zgorzeleniem będzie, jeżeli ktoś zakwestyonuje maksymę: „czcij dziada twego i babkę twoją,“ niż ową drugą, która jest przykazaniem wyrzycem na śpizowych tablicach. Ile jednakże z owych upior-

nych instynktów kryje się pod dobroduszną nawet maską miłości rodzicielskiej, mało kto dotychczas potrafił jasno wykazać. Już owa bezwzględność autorytetu, opierającego się na przywileju absolutnego posłuszeństwa, któremu dotychczas moralność nie przeciwstawiła żadnego wyraźnie sformułowanego obowiązku rodziców i wychowawców względem dzieci, otwiera niestety na oścież wrota wszelkiego rodzaju nadużyciom, które są o wiele częstsze niż wogóle przypuszczamy. Niejeden zakład idiotów mógłby pod tym względem pouczającego dostarczyć materiału. A o ileż liczniejsze są nadużycia o bardziej łagodnym charakterze, wywierające jednakże wpływ znamienny na szczęście i siły życiowe tylu jednostek. Z tego stanowiska powieść „Edela Praugen“ posiada ważne i dodatnie znaczenie kulturalne, a Praugenhof, jako symbol wszelkiej krzywdy wyrządzanej dzieciom przez dufnych w prawa swoje i nadzwyczajne przywileje rodziców i wychowawców, będzie ciekawym przykładem i wymowną przestrogą.

Pod względem stylistycznym powieść „Edela Praugen“ odznacza się wyjątkowemi zaletami. Jako przykład barwności i piękności stylu niechaj posłuży następujący wyjątek z pierwszego rozdziału:

„Morze, leżące przed Praugenhof, szare było i bez granic. Ale nikt nie dbał o morze. Ani schodków, ani pomostu, ani łódki. Kępa zielonowłosej trawy morskiej, kilka czerwono-żółtych desek, a pomiędzy niemi mała beczułka. Nikt nie miał ochoty przyglądać się morzu. Przed domem stały wysokie drzewa, których konary z biegiem lat się posplatały, a wkoło łykowate, lipkie krzaki i mur pokryty pleśnią zielonkawą i oślizgłą od wilgoci słonej.

„Mur ciągnął się wkoło ogrodu całego jak wał forteczny, wysoki był i pokryty gęsto, bujnie rosnącym, starym, czarnym bluszczem, ale widocznie i to nie było dostateczną ochroną, bo wysoko sterczały ostre, zjadliwie-zielone kawałki szkła i potłuczonych flaszek, pomiędzy niemi leżały zazwyczaj trupy różnego rodzaju robactwa, które w lekkomyślności swej ośmieliło się tam wdrapać i pokrajało ciało swe na ostrych szczerbach. Stojąc u żelaznej kraty wrot, miało się przed oczyma długą aleję z więzów, jakby ciemną puszcę jaką.

„W ogrodzie leżały, niby mokre płachty, wilgotne, zielone trawniki. Były i róże i wiele innych nieznanych kwiatów było, które rozkwitały i kwitły, i już opadać poczynały, zanim miały czas przekwitnąć. W wysokich, starych drzewach, stojących niby szyldwachy wkoło domu, gnieździły się ptaki, duże, czarne ptaki,

siedzące godzinami bez ruchu na brzegu szerokiego rowu i płaczące jak małe dzieci. Nigdzie nie było więcej cienia, zbutwiałych liści i kłyszczącej błotnej trawy, jak wkoło tego szerokiego rowu. W rowie stała ciemna, szklista woda, która miała woń dziwną: podobną do zapachu liści roku przeszłego, do ostrej woni ziół i tłustych kwiatów.

„Z nadejściem wiosny rozpoczynało się bujne życie w ogrodzie, pełne kwiatów i rozkwitów, ale nie trwało prawie dłużej nad dzień i noc jedną. Kwiaty opadały szybko, a jasnej zieloności spieszo było przybrać kolor ciemniejszy. Lato tylko miało czas swego panowania, lato ze swoim palącym słońcem, ze swymi cieniami czarno-zielonemi i silnemi, oszołomiającymi zapachami. Jesień była jak wiosna, i jedna noc zdzierała nagle pstre liście z drzew. A liście te długo jeszcze potem leżały na ziemi, jakby szkarłatne kałuże krwi, długo jeszcze potem.“

Równie plastyczny jest opis wnętrza mieszkania starych Praugenów.

„Pokoje w Praughenhof były wszystkie gładko wywoskowane. Wymiatano je i szorowano bez końca. A mimo to czuć było pod tym z trudem wywołanym połyskiem tajemnice, opowiadające o ukrytych izbach, niewidomych drzwiach, małych poddaszach i kryjówkach ciemnych. Już same ciężkie, szerokie schody, prowadzące ze zmnroku przedsionka na piętro, sprawiały wrażenie, że tam wyżej coś straszego się ukrywa, że wdarło się do pokoi, ale czasami skrada się aż do poręczy schodowej i nasłuchuje. Okrągłe okna w przedsionku w białym czole ściany wyglądały jak wielkie oczy, przed którymi nic nie mogło się ukryć, które z podniesionymi brwiami śledziły za wszystkim, co się poniżej dziać mogło. Korytarze były długie i szerokie o wilgotnych, białych płytach kamiennych. Przed każdymi drzwiami biała rogóżka, dająca się łatwo przesunąć i wyglądająca, jakby się kto na niej był pośliznął.

„Bezustannie miało się wrażenie, jak gdyby w całym domu czuć było powiew wiatru wilgotnego, lekkiego wiatru, który był jakby oddechem ziemi dźwigającej dom, a na wszystko, czego przez dłuższy czas nie dotykano, kładła się lekka warstwa wilgotnej pleśni. Pozatem jedno jeszcze:—nigdy w domu tym nie było zupełnie cicho. Futrowania, tafle z drzewa, schody, ramy od okien, belki w pułapie wszystko wydawało jęk i skrzyp monotony, jak stare okręty na wzburzonym morzu, gdy przeciwko wiatrowi płyną.“

Każdy obraz, każde porównanie, które nam Gysae daje jest nie tylko świetnie utracone ale i dociągnięte do końca, skoncentrowane do wizyi. Jak malowniczy jest naprzykład opis wiosny, zawarty w kilku zaledwie wierszach:

„Zima dobiegała kresu swego i wichry wiosenne pomknęły ponad Praugenhofem, jak dzikie rumaki. Wyrwy, które deszcz porobił, wyglądały jakby ślady rozwścieczonych kopyt, a resztki śniegu na polach, jak płatki śliny i piany...“

Ze szczególną miłośnią oddane są opisy morza w najróżnorodniejszych fazach jego. Oto np. morze burzliwe:

„Czarne góry, które sunęły naprzód i naraz pokrywały się białością, jak gdyby śnieg spadł na ich wierzchołki i potem załamywały się, rzucając białe piany w doliny zielone...“

Albo:

„Bałwany przed nią podobne były do szeregu wojowników pochylających swe szyszaki ciemne w stronę muru; naraz porywali się z miejsca i ciskali o kamienny wał, ciskali z hukiem ciała swoje o ścianę i druzgotali głowy. Woda cofała się i unosiła trupy, a niżej w piasku czepiały się czarnozielone pnącze morskie i wyglądały jak zeszcpeczone członki, pozostałe na placu. Ale nowe szeregi sunęły znów naprzód i klaskały o kamienie, a piana pryskała w górę, jak krew.“

Jeszcze potężniejsza, prawdziwie Goyowska, jest następująca wizya burzliwego morza:

„Edela słyszała groźny huk morza i szum wichru. I zdawało jej się, że długie łany morskie napęczniały robactwem i jajami, które wichur na ląd wyrzucał i w ludzi przemieniał. Ale łany morskie chwytaly ich znowu, porywały i ściągaly przeznaczonych na zagubę nazad za włosy, a potem połykały, zabijały... Pozostali przy życiu z płonąciami oczyma i chudemi członkami zabijali się wzajemnie, stawali pierś do piersi, zaciskali skostniałe z przerażenia pięście w koło opuchłych, sinych szyi. Ale w końcu, gdy już strach utracił swoją moc nad światem, przychodziło morze i zabierało ich. Potem błota; potem kołyszące się zielone pnącze morskie poczynały się poruszać, leżąc, wdzierały się na ląd, za nimi sączyła się woda, gulgotała i pluskała, a w końcu sunęło morze, porywając wszystko—tłuste kwiaty, ptaki bez pierza, opastych mężczyzn, kobiety o obwisłych ciałach—ryczało, wyło, wirowało...“

Czasami znów obrazy Gysaego są pełne pogody i delikatnych odcieni, są jakby z tęczowej pajęczyny utkane i przypominają bajeczną paletę Whistlera.

„Kto zna owe tarasy, leżące u wybrzeża morskiego, jak gdyby czekały na czarodziejskie okręty o żaglach wielkich, okręty płynące z daleka, które rosną w oczach i leżą w końcu u białych stopni z marmuru, mieniające się i tajemnicze, senne i zamysłone?...“ (nowela Vivienne).

Albo owa wytworna waryacya na temat wyrafinowanych barw i odcieni w stroju kobiecym.

„Suknie Vivienny były też pewnego rodzaju religią. Bładoliliowa toaleta z krepy z mdłemi perłami i kilkoma delikatnemi liniami zielonego złota. Czyż nie była to, jakby wotywa w S-te Chapelle? Ale były i suny z tysiącem żółtych świec, z niebieskimi obłokami kadzideł, z grzmiotem trąb, uderzających z brzękiem o szyby, ze skrzypcowemi tony, tulącemi się do niź, ze srebrnemi dzwonekami, których dźwięk biegł po korytarzach i złotemi połyskami ześlizgiwał się od ołtarza na modlący się, niemy tłum. O tak, były i toalety tego rodzaju. Swen myślał właśnie o jednej:—blado-różowe koronki na herbaciano-złoty jedwabiach, woskowo-żółte kule długiego bursztynowego naszyjnika, a wśród tych koronek, tego połysku złota — jej twarzyczka, jakby oblicze dziecka, podnoszące z uśmiechem wzrok do patronki w błyskotliwo-pстрыm przepychu ołtarza. Najpiękniejsze jednakże były owe ciche suknie, które czasami nosiła, owe wzruszająco proste suknie podobne do promieni słonecznych, padających przez witraże w poobiednią pustkę kościelną, kiedy cisza sunie po zimnych płytach kamiennych, przez wysokie korytarze...“ (Vivienne).

Jako stylistą należy dziś Gysae bezwątpienia do najwybitniejszych i najbardziej obiecujących talentów młodych Niemiec.

JAN KACZKOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Dr. ZOFIA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA. *Uście Solne*. Przyczynki historyczno-statystyczne do dziejów nadwiślańskiego miasteczka. W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętości. 1906. Str. 165.

Znana z prac naukowych autorka wzbogaciła nasze piśmiennictwo doskonałym w swoim rodzaju dziełem. Monografia jej: „Uście Solne“ opracowana wyśmienicie i wszechstronnie, wyposażona bogatym materiałem, opartym na źródłach archiwalnych, zasługuje ze wszech miar na miano wzorowej pracy, której zalety są tem jeszcze większe, iż przy dopełnieniu wszystkich wymagań formy ściśle naukowej, nacechowane jest wdziękiem powabnego sposobu opowiadania.

Autorka „z drobnych wskazówek, rozrzuconych zwykle“ — „po uszkodzonych zwykle i niekompletnych dokumentach wszelkiego rodzaju“ odtworzyła świątek dawnego miasteczka w całości kształcie jego bytu od czasów Kazimierza Wielkiego aż do dni dzisiejszych.

Uście Solne, osadę odległą dwadzieścia kilometrów od Bochni, a leżącą przy spływie Raby z Wisłą, podnosi rzeczony król polski w r. 1360 do rzędu miasta osadzając je na prawie magdeburskiem. Rozwija się ono głównie dzięki otrzymanemu magazynowi i warzelni soli bardzo pomyślnie, dobrobyt mieszczan wzrasta. Miasto posiada prócz magazynu soli i warzelni: dwa kościoły, szpital miejski, ratusz, szkołę, młyn wodny, dwa piwowary (browary) i dwie gorzelnie; prowadzi dość rozległą mieńbę (handel) solą, drzewem, owocami, rybami i piwem. Istniejące cechy i korporacye rzemieślnicze świadczą o jego przemysłowości. Rządzi się zupełnie samodzielnie posiadając sąd wójtowski, urząd miejski, a dla sądzenia spraw drobniejszych nadto — sądy cechowe.

Wszystko to razem składa się na kwitnący stan miasta, trwający przez XVI, XVII i XVIII wiek. Przez zabór Galicyi, przez Austryę staje się upadek miasta datujący z XVIII stulecia najzupełniejszym, mieszczenie ubożeją całkowicie i „chłopieją,” jak się wyraża autorka, a z publicznych budynków posiada dzisiejsza licha mieścina zachodnio-galicyjska tylko jeden kościół i szkołę, a na miejscu, gdzie ongi wznosił się ratusz, stoi obecnie figura św. Floryana, patrona pożarów, gdyż mieszczenie, którzy za polskich czasów dwa razy odbudowawszy go po pożarze, pod rządami Austrii, gdy pożar zniszczył ponownie, nie mieli już środków dla jego odbudowy — wedle możliwości zaznaczyli miejsce zgłiszcza figurą patrona pożarów.

W wieku XVI stanowiło Uście Solne podrzęctwo królewskie. Przywilej lokacyjny Kazimierza W. czyni je samorządnem miastem królewskim z wójtem sprawiającym sądownictwo na czele, który podlega bezpośrednio tylko królowi lub jego sędziemu. Od wyroku wójta wolno bowiem odwoływać się do sądu najwyższego niemieckiego, na zanku krakowskim ustanowionego.

W latach 1445 i 1446 ośmiela się miasto prowadzić spór graniczny z wszechwładnym Zbigniewem Oleśnickim, co słusznie poczytać należy za dowód świetnego rozwoju miejskiego.

W życiu wewnętrznem miasta odgrywają główną rolę spory graniczne i klęski żywiołowe. Pożogi wojenne i pożary niszczą je kilkakrotnie. W r. 1737 szalony wichur „w pół przerywa kościół,” „wywraca domy” — czyni wielkie spustoszenia. Wylewy rzeczne zatapiające rynek, czynią również dość częste spustoszenia.

Składy soli, o których wspomina lustracya z r. 1560 po raz pierwszy, stanowią główną sprężynę ruchu miёнbiennego (handlowego) i zarobkowego. Autorka znalazła na miejscu dowód dokumentarny, iż Uście posiadało także warzelnię soli. Po sól przybywali do Uścia rozmaici obcy kupcy, głównie zaś ze Ślązka. Istnieją dla miёнby soli rozmaite spółki miejscowe. Kazimierz Wielki odwiedzając Uście Solne w r. 1363 nadaje miastu przywilej porządkujący stosunki miёнbienne. W r. 1550 otrzymuje miasto przywilej na odbywanie czterech jarmarków rocznie, jako też targów. Powstaje ratusz z kramnicą, izbą sądową radziecką, 3 sale dla sądów wójta i ławników, z więzieniami i wieżą dla straży nocnej.

Miasto królewskie dzierżawią rozmaite rody szlacheckie. Dzierżawca, Stanisław Morski, obchodzi się okrutnie z mieszczanami. Król Zygmunt III upomina go listownie, żeby mieszczan nie najeżdżał, nie zabijał, nie wieszał bez przyczyny. W XVII stuleciu

staje się Uście Solne starostwem. Starostowie równie gnębili mieszczan. Królowie bronią ich kilkakrotnie i wydają im listy żelazne.

Starostowie wykonywali władzę zwierzchniczą z ramienia królewskiego nad miastem, które posiadało swój własny rząd, składający się z dwóch władz: administracyjnej i rządowej. Rajcowie (*consules*) w liczbie czterech, sprawują zarząd miejski. Z nich po kolei wychodzi burmistrz (*proconsul*). Władza sądowa główna spoczywa w ręku wójta i ławników.

Mieszczanie mają zatargi i wiodą spory nie tylko z dzierżawcami królewskiej ziemi i starostami, lecz także z duchowieństwem. W r. 1666 wykonują najazd w obronie swego prawa propinacyjnego na karczmę pokątną proboszcza Radość Rudzkiego w 14 ludzi, niszczą ją i zabierają wódkę. Podobny najazd czynią później na dom ks. Płoczyńskiego, prepozyta szpitala uścieckiego, w nocy, biją jego służbę i wypuszczają piwo z beczek.

Autorka przytacza mnóstwo innych jeszcze szczegółów z dziejów miasta, zaczerpniętych z rozmaitych źródeł archiwalnych.

Następujący rozdział o sądownictwie — to znowu dzieje obyczajowe miasta, opowiedziane żywo i barwnie, jak w powieści historycznej.

Sądy zasiadają co tygodnia. Zowią je „gajone“ lub nadzwyczajne,“ najczęściej zaś nie noszą żadnej nazwy. Wójt przewodniczy. Bez niego niema sądu. Ławnicy obowiązani brać udział w sądach pod karą więzienia „przez swój upór i niepamiętanie na jurament ławniczy.“ Strony zastępuje „plenipotent,“ rodzaj adwokata. Uście posiadało ich dwóch. Sądy bywały rozmaicie składane. Drobniejsze sprawy sądzili rajcy, jako też sądy cechowe.

Najczęstszą przyczyną procesów bywało: pobicie, kłótnie i wyzywania obelżywe zwane „wołowstwem.“ Słownik uścian był w tym kierunku obfity. Między grubymi wyrazami tego rodzaju znajdują się niektóre osobliwe, jak: „maczka,“ „koszyczek,“ „garneczek,“ „paciorka,“ „byczalica,“ „sobaka“ i t. d.

Spory rzeczowe toczą się najczęściej o działki ziemskie, o szkody w polach, o drzewa owocowe i o pszczoły. Z tego okazuje się, że mieszczanie obok innych zajęć trudnili się rolnictwem. Miasto posiadało też głównie znamię rolnicze. Kradzieże zdarzają się rzadko, o zabójstwach prawie niema wzmianki w księgach miejskich, względnie w protokołach sądowych. Mieszczanie wymyślają czasem rajcom od „złodzieja“ i „chłystka,“ wykpiwają też wójta. Następnie zaorują się w wspólne pastwiska, wiodą spory z magistratem.

Sąd karze winnych surowo, lecz sprawiedliwie. Stoi on ostro na straży moralności, religijności i czystości obyczajów.

Raz parobcy i słudzy rozmaitych mistrzów pili i tańcowali we wtorek zapustny, gdy już dzwoniło na pacierze. Burmistrz upominał ich i odpędził gędźbą, na co oni odpowiedzieli odpędzeniem burmistrza. Sąd miejski zajmował się tą sprawą przez cztery miesiące, w końcu skazał winnych na 20—60 plag, postanawiając zarazem, iż parobkowi, któryby się porwał z czynną zniewagą na głowę miasta, ma być odrąbana ręka.

Mistrz cechowy Dudziński otrzymuje karę więzienia i grzywnę za pobicie, jako też za wykroczenie przeciw „przywilejom „króla Imci chcąc przyłączyć garbarzy do cechu szewckiego.”

Z tego wypadku wysnuwa autorka wniosek, że „zestawienie bijatyki i warcholstwa, wykraczającego przeciw ustawom, jest charakterystyczne dla panującego wśród mieszczan ducha, który jednakowo potępiał gwałty jak i nowatorstwo.“

Kary bywały zwykle trojaki: więzienie, opłata w pieniądzech i wosku, jako też chłosta. Więzienie „górne“ w ratuszu było lekkie, „dolne“ zaś za kładką cięższe. Chłost używano, jako kary za wykroczenia przeciw moralności i obyczajności. Winowajcę stawiano często pod pręgierz i smagano różgą po 25, 50, 60 a nawet 100 razy — w odstępach czasu.

Zdarzały się też kary śmierci, wykonywane przez „poprawnych mistrzów“ (katów). Można się domyślać na podstawie zapiszków w księgach miejskich, iż w sprawach kryminalnych używano tortur.

Sądy zabraniały pod karą wypominanie kary tym, którzy ją już przebyli, albowiem „ukarany niema na dobrej sławie cierpieć.“

Mieszczanie pokładając wielkie zaufanie w sądach, przekładają im nawet spory małżeńskie do rozstrzygnięcia. Mężowie bywają pociągani do odpowiedzialności za występki żon. Misiorowski otrzymuje karę 3 dni więzienia i grzywnę za kradzież, popełnioną przez jego żonę z powodu, że jej „nieutrzymywał.“ Żona zaś została skazana na więzienie „za kładkę“ przez cały wielki post, zwrot skradzionych rzeczy, na grzywny i odbieranie plag w każdy piątek.

Występki przeciw moralności bywały zawsze ostro karane.

Sąd miejski skazuje czeladnika Byczkowskiego za uwiedzenie swej majstrowej Głęczkiewiczowej na więzienie „dolne,“ 25 plag i na wykluczenie od wszelkiej roboty w mieście ponieważ „cudzej żony całować nie wolno, chyba za nogi jako majstrową.“ Majster otrzymuje również karę. Musi dać po funcie wosku dla

każdego ołtarza w kościele farnym i 4 grzywny uścić sądowi. Córkę mieszczańską Ratajkę, która zaszła w ciążę od parobka i porodziła dziecko nieżywe potajemnie, co wzbudza podejrzenie, iż je zabiła, skazuje sąd na karę śmierci, którą sąd dopiero przez wstawienie się księży uścieckich zmienia na liczne dary dla kościoła i pobożne pielgrzymki. Parobek—uwodziciel, ten „niecnota, co z gospodarską córką popełnił grzech niejako z służebną, ma odebrać w kładźce różg sto.“

Pyciakówna, która miała dwóch kochanków, otrzymać ma 60 plag, lecz po narodzeniu dziecka.

Pewną wesołą wdówkę, „za niepamiętanie na czystość wdowią“ skazuje sąd na więzienie „górne“ i 25 plag przez trzy dni pod pręgierzem.

Ścigano też czarownice. W r. 1760 ponosi Agnieszka Studzyna, uznana za czarownicę, śmierć na torturach. Inną kobietę posądzoną o czary, uznaje sąd niewinną.

Autorka przytacza wiele wyroków sądowych, które razem wzięte tworzą zwierciadło dla obyczajów ówczesnych miasta. Wyroki te trzeba było mozolnie wydobywać z pyłów archiwalnych umiejętną ręką. Z zadania wywiązała się autorka znakomicie.

Cechom poświęca osobny rozdział, który nam przedstawia znowu wypukle obraz życia gospodarczego mieszczan i ich urzędzeń społecznych. Cechy istnieją w Uściu Solnem od XVII stulecia. Skupiali się w nich od samego początku rękodzielnicy polskiej narodowości. Raz tylko znajduje się w przywileju krawieckim wzmianka o niemieckich członkach tego cechu. Poniędzy nazwiskami członków cechowych nie znajdują się jednak nigdzie nazwiska niemieckie.

Najstarszy był cech krawiecki. Przywilej ten cechowy pochodzi z r. 1628. O czterech innych cechach: rzeźnickim, szewckim, kuśnierskim i „spółniczym,“ który obejmował cały szereg zawodów rzemieślniczych, dowiadujemy się z lustracyi r. 1661, która mówi także o tkaczach i piekarzach, widocznie cechu jeszcze niemających.

Cech współniczy składał się z: bednarzów, kowalów, stolarzy, kołodziejów, rymarzy, kotlarzy, powroźników, snycerzy i organistów. Rej wodzili w nim bednarze, których rzemiosło było najznaczniesze w mieście z powodu zapotrzebowania beczek przez magazyn solny, jako też dla mienieby soli, którą sprzedawano beczkami.

Cech piekarski zawiązał się najpóźniej, lecz bez przywileju królewskiego. Dlatego kpią sobie inne cechy z piekarzy mówiąc im: „Wasz przywilej piekarski pies na ogonie nosi po kierzach.“

Wożenie soli stanowiło ważną gałąź zatrudnienia. Wyrabiano też w mieście piwo i gorzałkę. Rejestr szeląznego z r. 1644 wykazuje 120 beczek piwa ćwierćrocznie po cenie 8 złp., co przedstawia roczną wytwórczość 480 beczek wartości 3840 złp., sunę na owe czasy wcale znaczną.

Nadto warzyli mieszczenie piwo dla własnego użytku w „garnkach.“

Wyrób gorzałki wynosił rocznie 723 garnce, prócz tego, co po domach palono jej dla własnego użytku.

Sprawa postrzygaczy sukna pozostaje niewyjaśnioną. Wiadomo bowiem tylko tyle, że mieli oni siedzibę w ratuszu. O wyrobie sukna księgi miejskie milczą.

Kobiety nie były wykluczone z cechów, do których przyjmowano też niekiedy rolników z okolicy. Cechy uścieckie nie były obowiązane do obrony miasta, które też nie posiadało murów warownych. Bracia cechowi nosili jednak broń i „składali“ proch. Ustawa cechu piekarskiego powiada: „Jeżeliby z rozkazań urzędowego na jaką potrzebę pospolitą było potrzeba tego, aby z bronią stanąć rozkazano, ma być od starszej braci dwóch na to deputowano, którzyby się ktemu godzili wyprawić z orężem.“

Cechy uścieckie posiadają wyraźną cechę zjednoczeń zawodowych. Bracia cechowi kupują materiał solidarnie. Nadto mają cechy wyraźne znamię religijne, tworząc bractwa pod wezwaniem jakiegoś świętego i posiadając chorągiew z wizerunkiem patrona. Cechy spierają się niekiedy między sobą. Kuśnierze mają w połowie XVII wieku zatarg z rzeźnikami o barany, z których pierwsi biorą skórę, drudzy mięso. Cech krawiecki wkracza w zakres działania kuśnierzy, szyjąc futra, stąd zwada.

Autorka nie zapomina o nazwiskach starych mieszczan uścieckich. Dawniej przeważały takie, jak: Grzesicha, Rosa, Rochwał, Konewczyk, Olexik, Śliwka i t. p. W spisie cechowym z r. 1804, podającym 25 nazwisk braci cechowych, wszystkie nazwiska kończą się na — ski.

Tłómaczy się to tem, iż w Polsce nazwiska z końcówką — ski są wogóle późniejsze. Pierwsze takie nazwiska brane od miejscowości pojawiają się u szlachty, piastującej wyższe dostojęństwo w państwie, dopiero w XVI wieku. Później przechodziły stopniowo na szlachtę miejską, a następnie na mieszczan, którzy,

przybierając na wzór szlachty takie nazwiska, uważali w tem pewne wywyższenie dla siebie.

Z dziejów cechowych w Uście Solnem wysnuwa autorka niektóre uwagi, posiadające ogólniejsze znaczenie. Powiada ona między innymi: „Powstanie cechu mogło odpowiadać istotnej potrzebie, która była wyrazem konieczności zbiorowego regulowania interesów, albo też była przejawem zwyczaju dążności towarzyskich, naśladownictwa i t. p.... Ekonomiczny podkład dla powstania cechu występuje najwyraźniej dla rzemiosła bednarzy, którzy mieli stałe zatrudnienie, dzięki zapotrzebowaniu magazynu soli i handlu tym produktem. To też przywilej bednarski, jakkolwiek nie ustanawia samodzielnej korporacji, obejmuje najwięcej przepisów istotnie gospodarczych i zawodowych... Na gruncie rzeczywistych interesów, już nie tyle zawodu, co ogólnomiejskich, powstały cechy rzeźników i piekarzy... Zapobiegliwy urząd miejski nie pozostawia tedy dostarczania tych przedmiotów swobodnej inicjatywie interesowanych, lecz stawia dokładne normy, pozwala przywozić mięso socharzom, nakazuje wypiekać pewne ilości chleba, nakłada taksy, słowem, pomijając interesowane jednostki, ma przedewszystkiem na oku dobro ogółu.“

Pod rządem austriackim Uście Solne upadło gospodarstwo, tracąc po części znamię miejskie, a tak samo cechy straciły znaczenie gospodarcze, istniejąc obecnie prawem bezwzględności i utrzymując się jako zjednoczenia towarzyskie oparte na tradycji, jako rodzaj arystokracji miejscowej. Religijne znaczenie cechów nie upadło, lecz owszem wzmożło się, „wypełniając właściwie ich treść.“ Autorka tłumaczy socjologicznie zjawisko to słowy: „Cech daje gotowe formy do wypełnienia zbiorowego obrzędów kultu. Dlatego też i nowo-tworzące się korporacje, które nigdy interesów zawodowych nie miały, przez naśladownictwo, przez prawo społecznego mimikry przybierają formy cechów. Mieszkańcy pielęgnują przeżytki form, które świadczą o minionej świetności ich siedziby, starają się mnożyć grupy o tym samym charakterze.“

Szósty rozdział dzieła omawia rolnictwo miasta. Znajdują się w nim spisy gruntowe, podział własności rolnej, przychody gruntowe, wyniki gospodarstwa polowego, spis posiadłości wiejskich w lasach i o pastwiskach, hodowla warzyw i owoców, mięba, dzierżawy, dziedziczenie gruntów i wzrost gospodarstw, wszystko jaknajdokładniej i ściśle statystycznie wykazane, co wartość naukową monografii znacznie podnosi, jednak ogólniejszego interesu wzbudzać nie może, a dla tego części tej bliżej roztrząsac

nie będziemy, zaznaczając tylko, że uścianie zajmowali się hodowlą bydła i handlem bydła, uprawiali warzywnictwo i sadownictwo, zawodowo smażyli powidła i prowadzili pszczelarstwo na większe rozmiary, jako też zajmowali się rybołówstwem.

Ostatni rozdział dzieła poświęcony wyłącznie ludności Uścia Solnego. Ludność jego rdzennie polska. Niema wśród niej żadnych śladów kolonizacji niemieckiej. Dzieli się ona już w XV wieku na mieszkańców miasta i przedmieść, na ludność podległą niemieckiemu i polskiemu prawu, a więc na mieszczan i chłopów. W XVI stuleciu mieszkali w Uściu także Żydzi. W r. 1610 usuwają ich mieszczanie tak, iż pod koniec XVII w. księgi miejskie wykazują jedno tylko nazwisko żydowskie. Dopiero od lat 20 poczęli Żydzi osiedlać się w miasteczku, ujmując w swe ręce sklepikarstwo.

O zamożności mieszczańskich rodzin za dawnych czasów, świadczy strojność uścianek ówczesnych i ich stosowanie się do mody, o czem świadczą niektóre testamenty. Regina Druzgalina rozporządza w r. 1767 swą stosunkowo liczną garderobą testamentarnie w następujący sposób:

„Sukienkę zieloną z futrem oddaję córce Kunegundzie, drugą starą, jasną, nakrapianą, z futrem—synowej, oddaję spodniczek dwie: jedną szarawą, zieloną, drugą pisanką, te dyspozycy córki daję, którą sobie z tych weźmie, bo jedną synowej oddaję.

„Zawieciów mam dwa: jedno ze strzępkami, drugie z koronkami, oddaję córce Kunegundzie ze strzępkami, wnęcce (wnuce) synowej z koronkami. Fartuszków mam dwa: jeden szkotowy, drugi lniany wnęcce synowej. Pierzynę ze wszówkiem i poduszek dwie oddaję córce Kunegundzie, a trzecią oddaję wnęcce synowej.“

Agnieszka Cipiorska (1768) wymienia w testamencie daleko bogatszą garderobę:

„Sukienka nowa szafirowa z fałdami, sznurówka błękitna, fartuszek cienki bez koronek, 2 obrączki szczerozłote, pierścionek szczerozłoty z kamykiem, sukienka zielona stara, spódnica żółta szajowa, sukienka oliwkowa, spódnica szajowa błękitna, spódniczka biała z czerwonymi prążkami. Korali większych 3 nitki, mniejszych 4 nitki (przedtem 5 córek dostało korale). Rańtuch z koronkami, rańtuch ze strzępkami.“

Bardzo obszernie i szczegółowo traktuje autorka statystycznie liczbę ludności dziejowego Uścia, wypośrodkowując ją w XVII stuleciu na mniej więcej 1250 dusz, przyczem na podstawie dowodów obala liczbę przez Pawińskiego przy wyliczeniu miast, objętych spisem poborowym w r. 1581, dla Uścia Solnego podaną na

blisko 600 mieszkańców. Autorka wykazuje, że liczba ta obejmuje nie całą ludność miejską, lecz tylko płacących pogłównie, ogólna zatem liczba ludności musiała niewątpliwie wynosić co najmniej dwa razy tyle. Opiera ona swe obliczenie na liczbie 250 osad, podanych w przywileju (r. 1644) na budowę ratusza, posługując się mnożnikiem 5, z czego wynika liczba 1250. Obecnie ma Uście Solne podług spisu ludności z r. 1900 mieszkańców 1507.

Jedyny zarzut, jaki możnaby uczynić autorce, byłyby ten, że dwa ostatnie rozdziały dzieła a szczególnie ostatni, aczkolwiek przedstawiają one bardzo bogaty materiał retrospektywny, są zanadto przepełnione wykazami statystycznymi w rzeczach niekiedy bardzo drobnostkowych i podrzędnych, przez co strona naukowa monografii awydatnia się niezawodnie, lecz kosztem poczytności całości. Przy zwięźlejszem traktowaniu rzeczy byłaby całość jednolitsza i bardziej zaokrąglona, zwłaszcza, że tablice statystyczne, których jest sporo, można było pomieścić bardzo dobrze w „dodatkach,” znajdujących się przy końcu książki. Wskutek nadmiaru tablic statystycznych wydawać się może zakończenie dzieła, stylistycznie bardzo powabnego, nieco mdłe, a to wrażenie całości osłabia bez potrzeby.

Lecz zbytek w ścisłości naukowego opracowania, wymagającego dużo trudu i mozółu, nie jest właściwie zarzutem. Owszem, jeśli się abstrahuje od ogółu czytelników, można go poczytać za zaletę. Jeśli jednak wspominamy o tem, czynimy to dlatego, iż pragnęlibyśmy gorąco, żeby praca tak pożyteczna i znakomita, jak niniejsza dr. Daszyńskiej-Golińskiej, utorowała sobie drogę do jaknajszerszego koła czytelników i zdołała rozpowszechnić zastygłe u nas miłośnictwo do badania dziejów miejscowościowych i pobudzić innych do tworzenia podobnie cennych cegiełek, z których będziemy wznosić gmach całokształtu naszego obyczajowego i społecznego życia, — naszych urządzeń i zwyczajów, jednym słowem naszego całego życia kulturalnego w przeszłości.

W tym kierunku powinno „Uście Solne“ służyć za prawidłowego przewodnika, za wzór.

Nie należy w końcu pominąć milczeniem „Zakończenia,” w którym autorka streszcza swe poglądy na dziejowe, zbiorowe życie w Uściu Solnem. Powiada ona, że aczkolwiek „nauka wykluczyła już dziś zupełnie pedagogiczne znaczenie historii,” to mimo tego, jeżeli „owa mistrzyni wykaże na całkiem obiektywnej drodze ewolucję faktu dziejowego od chwili jego pojawienia się, aż do lat ostatnich, będzie to *mimowolna nauka*, — jaką daje życie pojęte w swem najobszerniejszem znaczeniu, jako związek czynów poko-

leń dawnych i dzisiejszych.“ Jeżeli śledzenie takiej ewolucyi, co do całych narodów lub znacznych ich kompleksów, staje się „prawie niemożliwym,“ inaczej zupełnie przedstawia się rzecz, gdy chodzi o drobny całokształt. „W takim kompleksie formy życia i ustroju wewnętrznego przejrzeć się dają w swej ewolucyi, aż do czasów współczesnych.“

Zbiorowego życia w Uściu cechą jest stałość stosunków, „oraz drobne ramy, w których te stosunki zawsze się obracały.“ „Ewolucya czysto wewnętrzna kompleksu naszego, zetknięcie się wielokrotne z groźbą sił elementarnych, a znacznie rzadsze podleganie wpływom innych zbiorowisk ludzkich, oto jak się zdaje, treść filozofii dziejowego życia mieszkańców,“ na których tem silniej oddziaływa otaczająca przyroda. Trwałość stosunków równa się prawie zastojowi, w którym obowiązki religijne ważny stanowiły czynnik.

Autorka kończy słowy:

„Miasteczko nasze stanowi dziś jeszcze kompleks o formach nader pierwotnych, ale silnie zwarty przez tradycje historyczne i niesłychanie konserwatywny, dzięki nieprzerwanemu ich trwaniu przez okres pięciu stuleci.“

W końcu wspomnieć należy o „Dodatkach.“ Zawierają one cenne materiały, jako to: „*Registrum sales cocturae Uieski 1595*,“ „*Distributi huius Cocturae*,“ „*Summarius cocture Uieski*.“ Przywilej bednarski z r. 1614, „kopia Prawa Najjaśniejszego Króla Imci Pana Naszego Miłościwego Zygmunta III z r. 1628 i przywilej króla Władysława IV z r. 1644 na budowę ratusza.

W archiwum uściekiem przechowuje się sporo starych dokumentów. Mieszczanie przejęci tradycją minionej świetności miasteczka otaczają je czcią nadzwyczajną. Autorka opowiada, że zanim jej przywileje królewskie oddawali do przejrzania, czynili to po przyklęknięciu i pocałowaniu pieczęci znajdujących się przy nich.

G. SMÓLSKI.

HIERONIM ŁOPACIŃSKI. *Wiadomości o marmurach w Polsce*. Sprawozdania komisji do badania historii sztuki w Polsce, tom VII, szpalty 581—596. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1905.

Rodzime budowlane materiały w każdym kraju wywarły znaczny wpływ na rozwój i ogólny charakter dzieł architektury oz-

dobnej i rzeźby, tych materiałów potrzebujących. Tam, gdzie posiadano marmur, ów najpodatniejszy kamień dla rzeźby, a najozdobniejszy w architekturze wskutek zabarwień różnorodnych i łatwości polerowania, tam obie te sztuki pręcej się rozwijały i znakomicie wyzyskać umiały korzystne warunki naturalne. Gdzie marmurów nie miano, tam albo je sprowadzano z odległych krajów, albo ograniczyć się trzeba było na piaskowcach, w wyjątkowych razach stosując kosztowny, lecz okazały odlew bronzowy. W tem właśnie położeniu była Polska przez wieki średnie. Pomnik Łokietka z piaskowca wykuto. W XIV w. jednak rozpowszechnił się u nas marmur węgierski, z którego już wykonano grobowiec Kazimierza Wielkiego na Wawelu i bardzo wiele następnych pomników. W XVI w. początkowo zaczęto sprowadzać, obok niego, marmur salcburski, czerwony, planisty, a od połowy tego wieku ciemny, wiśniowy, jak to wykazał prof. Sokołowski. Wtedy też zwrócono po raz pierwszy uwagę na łomy zbitego, krajowego, ziarnistego wapienia, zabarwionego czerwono-żółtym tlenkiem żelaza, lub na czarno węglowymi i innymi składnikami, w połączeniu z żyłami kwarcu lub kalcytu. Napotkano na te formacje przedewszystkiem w Chęcinach i w Czernej lub Dębniku sąsiednim. Nie był to marmur właściwy o przełomie ziarnistym i błyszczącym, lecz gorsza jego odmiana, zdadna do wykonania części architektonicznych, kolumn, belkowań i pawimentów. Za pomocą polerowania otrzymano świetny połysk i piękną grę barw rozmaitych, tem szczególniejszych, że najzupełniej odpowiadających duchowi czasu, w którym odkryto nasze marmury. Przeważały bowiem zabarwienia czarne lub ciemne, ulubione pod koniec XVI wieku nie tylko w architekturze, lecz także w strojach i tkaninach. Kto tego dokonał, niewiadomo. Dość, że już Gwagnin chwali sławne, chęcińskie szyby marmurowego kamienia, podczas, gdy Długosz jedynie obfityść lazuru w Chęcinach zaznaczał. Dobytą lazuru, natrafiono zapewne na marmur, a było to prawdopodobnie w połowie XVI w. Odtąd bowiem coraz więcej stawiano pomników z krajowych marmurów. Kraków i Warszawa posiadają ich mnóstwo, a wnet po całej Polsce rodziny ten materiał się rozpowszechnił. Wziętości jego najwymowniej dowodzi, że dębnieckiego marmuru użyto do grobowca Arzata w kościele św. Magdaleny w Wrocławiu w 1581 r., a w epoce następnej nawet w Wiedniu użyto go do ołtarza w kościele Św. Szczepana w 1646 r.

Sprawa polskich marmurów poruszoną była w ostatnich czasach przez prof. Maryana Sokołowskiego w artykule: *Zagadkowy*

nagrobek katedry gnieźnieńskiej. Wit Stwosch i marmury naszych pomników w XV i XVI w. (Sprawozdania kom. do badania historii sztuki w Polsce, t. IV, str. 153 i n.). Następnie podawane były o nich wiadomości źródłowe przez p. Juliana Pagaczewskiego w VI tomie, str. LII *Sprawozdań*, mianowicie o wykonanych robotach z marmurów dębnickich do Pożajścia Paców na Litwie w latach 1675—1690, a wreszcie i przeze mnie w *Monografii Dukli* str. 112 i 113, gdzie wśród innych zabytków okazałych znajduje się pomnik Maryi Amelii z Brühlów Mniszchowej, całkowicie z marmuru z Czerny wykonany w latach 1772—1773.

Prof. Hieronim Łopaciński, którego tak nagłą i niepowetowaną stratę poniosła nauka polska, pozostawił nam cenną pracę, po raz pierwszy obejmującą całokształt dotychczasowych wiadomości o marmurach w Polsce. Z zadziwiającą skrzętnością zostały one przez autora zebrane i chronologicznie ułożone. Praca ta jest wyłącznie zestawieniem źródeł, nie sięgających po za koniec XVI w., a chociaż wielu kwestyj nie rozstrzyga, przyczynia się znacznie do rozjaśnienia sprawy ważnej dla dziejów naszej sztuki. Materiał zebrany w niej nie powinien pozostać obcym naszym geologom i historykom. Kto wie, czy nie zachęci nawet do podjęcia na nowo robót w niektórych kopalniach od wieków zaniebanych. Bo teraz znów jesteśmy w warunkach nie lepszych niż w XVI w. Przy nowych budowach sprowadzają nasi architekci zagraniczne marmury, nie wiedząc prawie o istnieniu krajowych, które niegdyś sławne były w całej Polsce i po za jej granicami. Z osobistego doświadczenia mogę twierdzić, że roboty z krajowego marmuru wykonane w bliskości łomów, o połowę taniej wynoszą, niż z marmuru zagranicznego. Brak inicjatywy ze strony przedsiębiorców, a z drugiej strony brak prawdziwego zaniżowania do tego, co nasze, swojskie u szerszego ogółu, są przyczyną, iż kopalnie wznowione w kraju z najlepszymi początkowo widokami powodzenia i zysków, obecnie już upadają. W innych stosunkach żądanoby, jako warunku zasadniczego przy każdej większej budowie, użycia wyłącznie krajowych marmurów, przez coby wszyscy na tem dobrze wyszli, gdyż koszt budowy byłoby niższe, zamówienia sztuk potrzebnych łatwiejsze i dające się prędzej uskuteczyć lub doglądać przez budowniczego. Przedewszystkiem jednak budynki nowe straciłyby w znacznej mierze swą obecną banalność, nieporównaną zwłaszcza w nowych gmachach Warszawy, gdzie nietylko użytek materiałów budowlanych, ale i cała koncepcja architektoniczna szablonowości uniknąć dotychczas nie mogły. Gmachy nasze, przystrojone rodzimymi mar-

murami obficie, bo taniej, nabrałyby cechy miejscowej, której napróżno szukać tam, gdzie wszystko sprowadzają z za granicy.

Pragnąc zaznajomić z pracą prof. Łopacińskiego tych, co rzadko lub nigdy nie zaglądają do *Sprawozdań komisji do badania historii sztuki w Polsce*, przejdę obecnie do pobieżnego przeglądu materiałów, zebranych przez tego niestrudzonego i wszechstronnego badacza, a przede wszystkim wielkiego znawcy i miłośnika kraju ojczystego.

List Jana Firleja z 1599 r. do Zygmunta III o restauracyi zamku krakowskiego, znajdujący się w odpisie w zbiorach d-ra Wacława Lasockiego w Nałęczowie, przytacza wśród niejakich szczegółów, jak: pokój, do którego w Wenecyi malowanie robiono—kamień na filary, wyrabiany w Olobiezicach (zap. Olbierzowicach), piece kafłowe z Łowicza, posadzkę z Chęcín, której tam nie polerują, a tak prosto obijaną posyłają. Dotychczas też widzimy na Wawelu piękne odrzwia, kominki i posadzki z tej właśnie epoki. Rzączyński w swej *Historia naturalis regni Poloniae* etc. (1721 r.) podaje obszerniejsze wiadomości o marmurach krajowych, pochodzących z Solca, Kunowa, Chęcín, skąd wydobyto kolumnę zyguntowską w Warszawie, Czarnokoziniec na Podolu, gdzie wiele ozdób wyrobiono dla katedry kamienieckiej. Dalej przytacza wydobywanie pięknych marmurów na Pokuciu koło Stanisławowa, w Skale, Dębniku Czarny, skąd Kraków i wielka część Polski czerpała materiał na ołtarze wspaniałe, grobowce i pawimenty, wreszcie w Szydłowcu, Kamionce i w Prusach. Alabaster znajdował się w Czarnokoziniec, Jagielnicy, Żurowie, Czarnej, Skotnikach, koło Halicza, Lwowa i w Skale. Lazuryt wydobywano w Chęcínach. Bystrzonowski 1743 r. w swojej *Informacyi* etc. podaje wiadomości wzięte z poprzedniego źródła. Toż samo można powiedzieć o *Nowych Atenach* Chmielowskiego z r. 1745.

Nowe szczegóły daje Duńczewski w Kalendarzu Zamoyskim na 1767 r. o porfirze z okolic Tenczyna, o marmurach ze Skały, Kamionki, Chęcín, z nad brzegów Dniepra i z Kudryniec na Podolu, z Halicza, Boroczan, Olszanicy, Miru, Buczacza, okolic Gdańska. Alabaster z Czarnokoziniec, na Podolu, Woisk, na Pokuciu, skąd przywieziono przezroczyty alabaster dla wykonania 1581 r. ambony w kościele Św. Magdaleny w Wrocławiu. Lazur w Chęcínach, Pińczowie, w Tatrach i w województwie kijowskim. Nic nowego nie podaje i pierwszy podręcznik polski mineralogii ks. Krzysztofa Kluka z 1781 r., i *Historya naturalna* Królestwa Polskiego ks. Remigiusza Ładowskiego z 1783 r., ani też rozprawy

Staszica o ziemiородztwie Karpatów, lub niemiecka książka o Polsce Fr. Józefa Jekla z r. 1806. Wzmianki niektóre zawiera niewydany dotąd *Dyaryusz podróży* Jana Rostworowskiego z 1813 r. Obszerniejsze wiadomości podał Ambroży Grabowski w II-im wydaniu Krakowa i jego okolic z r. 1830, a następnie H. Łabęcki w dziele *Górnictwo w Polsce* z 1841 r., zwłaszcza o marmurach chęcińskich.

Najwięcej dowiadujemy się od F. M. Sobieszczańskiego w ogłoszonej w „Bibliotece Warszawskiej“ 1852 r. *Wycieczce archeologicznej* etc. Za czasów Zygmunta III były w Chęcinach kopalnie marmuru prowadzone „nakładem i na potrzebę J. K. M., na ozdobę kościołów i zamków kosztem jego wznoszonych“ Gmachy tego panowania wszystkie dochowały schody, odrzwia, futryny okienne, ołtarze i t. p. z marmuru chęcińskiego wykonane. Opiera się on na poprzednich źródłach, na lustracyach, Starowolskim, Opalińskim, na opisie podróży uczonego mineraloga Jana Filipa Carosiego z 1778 r, który sporządził pierwszy dokładny opis marmurów chęcińskich, lecz „znalazł łomy ich w zaniedbaniu i zniszczeniu, kamienie zaś powierzchownie tylko niekiedy wydobywano. Za Stanisława Augusta sprowadzono Włochów do Czarnej i Dębника, którzy pod kierunkiem Bacciarellego pracowali. Król ozdobił marmurem chęcińskim salę zamkową, zwaną dotychczas salą marmurową, lecz niestety odartą obecnie z swych pięknych ozdób. Sala ta już za Władysława IV miała marmurowe obłożenie ścian, które ostatni nasz król z gruntu odnowił i przyozdobił dziełami rzeźby i malarstwa Le Bruna i Bacciarellego. W r. 1882 zamierzano urządzić w Chęcinach przy fabryce marmurów szkołę rysunkową i rzeźbiarską, a minister Mostowski polecił zdjęcie planów kopalni. Fabryka jednak upadła i w 1833 r. ją zamknięto. Bardzo pracowicie określił Sobieszczański 21 miejsc, gdzie były góry zawierające marmur, podając wiele szczegółów o gatunkach, odmianach, zdatności, oraz o rozmiarach kopalni.

Z następnych źródeł wymienić należy: *Podróże historyczne* Jul. Urs. Niemcewicza wyd. 1858 r., *Początki mineralogii* L. Zejzsznera 1861 r., *Technika materiałów budowlanych* Józefa Czerwińskiego 1878 r., *Wewnętrzne dzieje Polski* Korzona wyd. II, 1897 r., gdzie są cytowane źródła do historii fabryki marmurów dębnickich, znajdujące się w Jabłonnej, mianowicie kontrakty, listy, księgi rachunkowe i różne papiery.

O obecnym stanie marmurów chęcińskich, czyli kieleckich, ogłosił szczegóły nowe Wincenty Choroszewski w Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej, t. XI, 1893 r., str. 548—550. Nowo-po-

wstałe wtedy „Przedsiębiorstwo kopalni marmurów kieleckich“ stopniowo a stale podnosiło swoją produkcję, która obecnie już upada. Stanisław Polaczek w pracy p. t. *Powiat Chrzanowski* 1898 r., zebrał wiele wiadomości o marmurach dębnickich. Wreszcie znajdujemy znane przeważnie już wiadomości w wydawnictwach najświeższych: *Wycieczki po kraju* Aleksandra Janowskiego 1900 r., *Opisanie Królestwa Polskiego* przez S. 1901 r., *Rys geografii Królestwa Polskiego* Konstantego Krynickiego 1902.

Wiadomości o marmurach w Polsce, zebrane przez prof. Łopacińskiego, skupiają się przeważnie około Chęcín i Czerny lub Dębника. Inne miejscowości, uposażone tem naturalnem bogactwem, prawie tylko że z samej nazwy znamy; brak wszelkich obszerniejszych danych, gdyż nigdy drukiem ich nie ogłoszono. Byłoby pożądanem, gdyby osoby, posiadające wiadomości o jakiegokolwiek kopalni marmuru lub alabastru w kraju, zechciały przesłać je Akademii Umiejętności w Krakowie, czemby się nauce naszej rzetelnie przysłużyły. Skrzętna i pożyteczna praca ś. p. Hieronima Łopacińskiego znalazłaby wtedy uzupełnienie, a może dałaby pobudkę do wskrzeszenia gałęzi przemysłu krajowego, oddawna zaniedbanej i obecnie leżącej prawie odłogiem.

DR. EMMANUEL ŚWIEYKOWSKI.

Kronika miesięczna.

Z nastrojów chwili.—W sprawie kształcenia się naszej młodzieży zagranicą.— Informowanie cudzoziemców o Polsce. — Przejście szpitali pod zarząd miasta.

Jesteśmy społeczeństwem bardzo wrażliwym.

Po chwilach podniesienia duchowego i nadziei ożywionych nastąpił obecnie w Polsce okres depresji, posuniętej zadaleko. Wszędzie panuje przygnębienie, graniczące z apatią. Wszędzie tętno naszego życia osłabło, a ręce, tak niedawno rwące się do pracy, zaczynają opadać.

Jest to objaw bardzo charakterystyczny, bardzo znamieny. Dowodzi on, że nasze wyrobienie polityczne wciąż jeszcze jest bardzo małe, że nie zdajemy sobie tak bardzo sprawy z tego, czem właściwie jest walka polityczna.

Taką walkę podjęliśmy, jako naród, przy pomocy reprezentacji naszej w Petersburgu, ufni w słuszność naszych dążeń i w niewzruszoność naszych praw. Z góry jednak powinniśmy byli wiedzieć, że walka taka nie prowadzi do zwycięstwa z dziś na jutro, że idzie tu o rzecz wielkiej wagi — o odwrócenie całej karty historii dwóch narodów, o rozpoczęcie nowej ery w ich wzajemnych stosunkach.

Tylko naiwna publiczność wiecowa, oszołomiona hasłami i popularnymi punktami programów partyjnych, mogła wierzyć, że nowa epoka, oparta na wielkich zdobyczach politycznych, rozpoczyna się w historii tak łatwo, jak nowy akt dramatu na scenie, gdzie w ciągu kilku minut dokonywa się zmiana dekoracji i na dany przez inspicjenta sygnał, za pociśnięciem guzika elektrycznego kurtyna idzie w górę.

Każdy zaś człowiek, który miał kiedykolwiek z polityką do czynienia, wie, że w walce politycznej są nie tylko zwycięstwa,

ale i klęski, nietylko tryumfy, ale i porażki, że proces historyczny takiej doniosłości i wagi, jak ten, na który sądzono patrzeć naszemu pokoleniu, potrzebuje czasu do rozwinięcia wszystkich swoich fermentów, do przetrawienia form starych i wyprodukowania tkanki nowego bytu.

Z góry też powinniśmy byli przygotować się na to, że obok rzeczy radosnych i napełniających nas otuchą, mogą nas także spotykać zawody i rozczarowania.

Tymczasem pierwsze niepowodzenia, pierwsze podmuchy budzącej się reakcyi wytrąciły nas do pewnego stopnia z równowagi.

Oczywiście, sytuacja jest niepomyślna i ciężka. Tego nie można tańc. Przeciwnie, należy sobie dobrze zdawać z tego sprawę.

Ale czy sytuacja ta jest dla nas zupełnie nową? Czy w okresie długoletnich naszych zmagani z przeciwnościami losu nie zdobyliśmy jeszcze tyle hartu i woli męskiej, ażeby śmiało spojrzeć w oczy krzywdom, które nam się dzieją i z mocą powiedzieć sobie: „wytrwamy, jak wytrwaliśmy rzeczy gorsze i bez porównania więcej budzące obaw o przyszłość.“

Naród, zmuszony do walki o swe dobro i swój rozwój, naród, którego istnieniu zagraża wszystko, który musi bronić swego prawa do oddechu, swoich dóbr moralnych i materialnych — powinien być przygotowany na wszelkie ciosy i powinien umieć je odpierać.

W zwartych jego szeregach nie może być miejsca ani na słabość, ani na upadek ducha. Przeciwnie, po każdej klęsce, po każdym niepowodzeniu powinien nastąpić okres wewnętrznego skupienia się, okres żywego krzątania się i pracy nad zapełnieniem tego wyłomu, jaki powstał, okres rozumnego i trzeźwego badania dróg, prowadzących do wydobycia się z niepomyślnej sytuacji, roztropnego a dzielnego zarazem zastanowienia się czy i jakie mogły być błędy w działaniu, mądrej krytyki własnych czynów i dobrego skierowania dalszych postanowień.

Niestety, tego właśnie rozumu i tej trzeźwości brakło nam zawsze. Po roku 63, po tej krwawej klęsce, jakiej doznaliśmy, w kraju zapanowało przygnębienie unysłów tak wielkie i ciężkie, że trzeba było z górą czterdziestu lat na to, ażeby społeczeństwo zdołało się wewnątrznie odrodzić.

Dziś, ledwie proces tego odrodzenia zaczął wydawać owoce, ledwie zdołaliśmy spojrzeć w nową jutrznię — już poczynamy na nowo tracić wiarę w siebie i w przyszłość dla tego, że ostrze polityki rosyjskiej zwróciło się przeciw nam, a wiatr reakcyi zdmuchnął ten i ów płomień naszych nadziei.

Rozgoryczenie nasze poszło aż tak daleko, iż przestaliśmy zupełnie dostrzegać i oceniać zdobycze, jakie bądź co bądź przyniósł nam z sobą miniony okres trzechletni. Zapomnieliśmy o tem, że jednak obudziliśmy się jako naród do nowego życia i że w łonie tego narodu zaczął się już proces, którego żadna siła od dalszego rozwoju powstrzymać nie zdoła.

Byliśmy do niedawna jeszcze zupełnie rozbitci, nie znaleźliśmy własnego społeczeństwa, nie znaleźliśmy usposobień i dążeń poszczególnych jego warstw. Dziś możemy już śmiało policzyć swoje siły. Wiemy, że w naszych dążeniach obywatelskich przybył nam nowy i możny sojusznik—lud polski, ten lud, o którego pierś rozbiły się fale zalewającej kraj anarchii i który potrafił nas przekonać o tem, że jest istotnym zrębem pod budowę gmachu naszej przyszłości.

Wkroczenie ludu na arenę naszego życia politycznego jest już samo przez się zdobyczą tak wielką, że gdyby nawet to jedno tylko nam pozostało, to już możemy śmiało spoglądać przed siebie i ręk nie załamywać.

Już przez to samo weszliśmy w nową epokę naszego życia, gdyż w naszych oczach spełniło się i dokonało to, nad czem bezskutecznie pracowało kilka pokoleń poprzednich — uobywatelenie rolnika i robotnika polskiego.

Świadomość narodowa, która się obudziła w tych warstwach, jest i będzie niewątpliwie nadal potężnym zaczynem nowego życia. Wniesie ona z sobą do tego życia nowe pierwiastki, nowe czynniki, jakich nam brakowało dotychczas do osiągnięcia pełnego i wszechstronnego rozwoju.

Zapewne — i to nie odrazu nastąpi, i w tej dziedzinie będziemy mieli niejedną może jeszcze przykrą niespodziankę, niejedną gorzyc i niejeden zawód, ale rozwój ten pójdzie swoją drogą nawet w najcięższych warunkach naszego istnienia.

A warunki te chyba przecież nie będą już cięższe od tych, w jakich istnieliśmy do niedawna.

Drugą trwałą zdobyczą okresu, który minął, jest to, że poznaliśmy wszystkie utajone choroby naszego organizmu, oceniliśmy siły wszystkich naszych nieprzyjaciół.

Ferment rewolucyjny wydobył na jaw całe niebezpieczeństwo, jakie nam grozi ze strony partyj socjalistycznych, pozwolił nam poznać ich szkodliwą działalność, ich rozkładową politykę. Ten sam ferment wydobył także na jaw sprawę żydowską i zmusił nas do baczniejszego zastanowienia się nad nią, do rewizji naszych poglądów na nią, do szukania sposobów, pozwalających

na jej rozwiązanie lub załagodzenie, zgodne z cywilizacyjnymi tradycjami naszego narodu. Dalej poznaliśmy także w tym okresie sprawę litewską i nauczyliśmy się oceniać ją właściwie, podczas gdy do niedawna bagatelizowano ją w prasie naszej i zbywano lekkimi frazesami.

Wszystko to stanowi niewątpliwie nasze zyski, gdyż lepiej jest znać wszelkie niebezpieczeństwa i przygotowywać się do ich odparcia, niż nosić je w sobie, jak tajemnicę i następnie pozwolić się im zaskoczyć z nienacka.

Oceniając więc sytuację chwili bieżącej, mimo czarnych chmur, które piętrzą się i kłębią na naszym horyzoncie politycznym, nie powinniśmy poddawać się przygnębieniu, apatii i beznadziei, ale skupiać swoje siły, organizować je i wzmacniać się na już zdobytych placówkach.

Tu, w kraju, bez względu na taki lub inny stan barometru politycznego, mamy przed sobą tysiączne zadania do wykonania. Wiele pracy i ogromnego zasobu sił potrzeba na to, ażeby tym wszystkim zadaniom podołać, aby je chociaż częściowo wykonać. Niewolno więc nam zakładać rąk i czekać, aż się znów horyzont wypogodzi, ale — pomni na to, że żaden wysiłek nie jest daremny, żaden trud nie idzie na marne — musimy stanąć do prac rozpoczętych i prowadzić je w dalszym ciągu, ufni w przyszłość, która jest przed nami.

Ta ufność nas pokrzepi, gdy nieuzasadniony pesymizm, choćby tylko jednostek, osłabia nas i niszczy energię naszego ducha zbiorowego.

*

*

*

Jedną z najbardziej aktualnych spraw chwili, jest sprawa wyjazdu młodzieży na studia wyższe. Uniwersytet i Politechnika w Warszawie — zamknięte. Do wyższych zakładów naukowych w Rosji młodzież, opatrzona patentami prywatnej szkoły polskiej, nie ma wstępu. Z konieczności więc myśleć trzeba o zagranicy. Nie dziw też, że w prasie naszej roi się obecnie ód rad i wskazówek, udzielanych rodzicom w przedmiocie wysyłania synów dorosłych na studia wyższe. Rady te i wskazówki przeważnie obracają się dokoła jednego pytania, a mianowicie, dokąd jechać?

Oczywiście przede wszystkim narzucają się tu, jako najbliższe i najodpowiedniejsze, dwa uniwersytety polskie — w Krakowie

i we Lwowie, naprzód dla tego, że są polskie i że młodzież, która uda się tam na studia, nie straci kontaktu ze społeczeństwem rodzimem, ale w swojskiem otoczeniu i w atmosferze życia swojskiego spędzi lata studiów, powtóre, że wartość naukowa obydwu tych uczelni jest wysoka i w niczem nie ustępuje innym uniwersytetom europejskim.

Na drugim planie są szkoły francuskie, szwajcarskie i niemieckie, wśród których są bardzo popularne ogniska naukowe, gdzie młodzież polska oddawna ma swoje gniazda.

Dalej jeszcze idą wskazówki, mało lub zupełnie nie liczące się z warunkami realnemi. Jedni więc radzą naszej młodzieży wyjazd do Anglii, do Ameryki, inni do Włoch, do słynnej Padwy i Bolonii, gdzie tyłu ongi kształciło się polaków, jeszcze inni („Tyg. ilustrowany“) do Finlandyi, gdzie uniwersytet helsingforski nadaje swoim słuchaczom prawa państwowe rosyjskie.

W krytyczną ocenę tych ostatnich wskazówek można nie wchodzić, gdyż mogą za niemi pójść tylko jednostki — i nie przeciw temu mieć nie należy. I owszem, kogo stać na eksperymenty naukowe w dalekich krajach, na zdobywanie języków obcych, mało znanych i na poznawanie społeczeństw zupełnie odrębnych od naszego — ten niech rozwija skrzydła do lotu i próbuje szczęścia choćby na drugiej półkuli. Dla kraju nie będzie to bez pożytku. Nigdy jednak w tych kierunkach nie wytworzy się prąd silny i szeroki, któryby porwał za sobą liczniejsze zastępy młodzieży.

Te liczniejsze zastępy muszą korzystać z krajów sąsiednich, a więc przede wszystkim z Galicyi i Austryi, z przeważnem uwzględnieniem pobratymczych szkół czeskich, następnie z Niemiec, Francyi i Szwajcaryi.

I tu jednak zachodzi jedna poważna przeszkoda, na którą zbyt małą dotąd zwracano uwagę.

Oto wszyscy zajmują się kwestyą *dokąd* jechać, nikt jednak nie zadał sobie jeszcze pytania *za co* jechać, a pytanie to jest bodaj ważniejsze od poprzedniego.

Dokąd — może to być nawet obojętne dla tego, kto pragnie się uczyć i kto ma środki na naukę. Typ szkół wyższych na całym świecie jest sobie pokrewny, a różnice, jakie istnieją pomiędzy poszczególnymi uniwersytetami dotyczą raczej ich większego lub mniejszego wyposażenia w gwiazdy naukowe i w środki pomocnicze, jak laboratoria, kliniki, muzea i t. d.

Uczyć jednak można się wszędzie — tembardziej, że nie wszyscy przecież uczą się po to, aby ubiegać się następnie o katedry

uniwersyteckie. Większości znacznej uczniów na wszystkich uniwersytetach świata idzie tylko o zdobycie wiedzy w granicach wyższego wykształcenia fachowego, a wykształcenie takie, zarówno dobre, da mały uniwersytet w Bonn lub w Getyndze, jak przepelnione uniwersytety w Berlinie i Lipsku.

Kto wie nawet, czy dla naszej młodzieży, która mało i przeważnie w stopniu niedostatecznym zna języki obce, nie lepiej jest poprzestawać na mniejszych uniwersytetach, gdzie jest łatwiejszy dostęp do profesorów i do laboratoryów i gdzie przewodnicy naukowi baczniej mogą czuwać nad swoimi uczniami.

Z naszego więc punktu widzenia—wobec potrzeby szukania wiedzy za granicą i smutnej konieczności wyjazdu po naukę do obcych — jest rzeczą drugorzędną wybór kraju i miasta. Stwierdzamy tylko, iż tak czy inaczej dłuższy pobyt naszej młodzieży w Niemczech np. jest mieczem obosiecznym i obok pewnych korzyści, może nam także wyrządzić pewne szkody na przyszłość przez wyrwanie ze środowiska polskiego w okresie dojrzewania ogromnej ilości młodych umysłów. Wolelibyśmy naturalnie, ażeby te wyjazdy za granicę dotyczyły już ludzi ukończonych, ażeby młodzież nasza po odbyciu studyów w kraju, dla ich uzupełnienia przedsiębrała podróże naukowe. Że jednak nie czas biadać nad tem wobec zaglądalej w oczy, wprost rozpaczliwej rzeczywistości, więc zostawiamy tę kwestyę na boku. Wróćmy natomiast do pytania, które uważamy za daleko ważniejsze w chwili obecnej, a mianowicie *za co* t. j. przy pomocy jakich środków pieniężnych młodzież nasza ma się uczyć za granicą?

Cały ciężar tej nauki bardzo kosztownej, o wiele kosztowniejszej, niż najkosztowniejsza w kraju, spada na rodziców.

Wiadomo jednak, że podczas, gdy za granicą o wykształcenie wyższe ubiegają się tylko synowie rodziców zamożnych, którzy mogą łożyć na wychowanie dzieci i zapewnić im byt bez troski w ciągu kilku lat studyów uniwersyteckich — u nas przeważnie jeszcze jest wręcz przeciwnie.

Wśród młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie za czasów istnienia uniwersytetu warszawskiego panowało zupełne ubóstwo, graniczące w niejednym wypadku z nędzą. Znaczny procent studentów pozbawiony był zupełnie zasiłków z domu lub posiadał zasiłki te w stopniu niedostatecznym i przebiegał się przez uniwersytet o własnych siłach, przy pomocy korepetycyj i zajęć ubocznych. Cała młodzież tej kategorii obecnie stoi wobec zagadnienia, co ma z sobą robić?

Koledzy zamożniejsi, synowie rodziców, którzy mają środki na wysłanie dzieci do Galicyi, do Pragi Czeskiej, do Wiednia i Berlina lub jeszcze gdzieindziej — pojadą się uczyć. Pozostali, o ile nie wyrzekną się zupełnie myśli o wykształceniu wyższem i nie zaczną garnąć się ku zajęciom chlebobajnym—uniesieni prądem ogólnym i koniecznością — pojadą także. Zgromadzą jakiegokolwiek środki na początek, zapożyczą się u krewnych i z kilkuset rublami w kieszeni rzucą się na niepewne fale istnienia i borykania się z przeciwnościami. Po pierwszym zaraz półroczu zacznie się dla nich walka z niedostatkiem, który zupełnie nie sprzyja pracy naukowej, zacznie się przymieranie głodem, który niszczy siły fizyczne, zacznie się nędza, która obraca umysł i serce przeciw społeczeństwu, jako winowajcy takiego a nie innego stanu rzeczy — i w rezultacie po kilku latach takiego oplakanego istnienia powróci do kraju szereg ludzi wykolejonych, którzy nie tylko nie zdobyli wiedzy fachowej, ale w dodatku zmarnowali sobie zdrowie i wykoszlawili myśl, wyhodowaną na doktrynach socjalistycznych i anarchistycznych, które znalazły do nich łatwy dostęp w chwilach gorzkiego rozczarowania i wzbierającego w pierśsiach żalu za swoje materialne upośledzenie wobec innych.

Będzie to zjawisko wprost konieczne i dla tego należy je z góry wziąć pod uwagę i uczynić wszystko, ażeby mu zapobiedz.

Ambicyą naszą, jako społeczeństwa, jest niewątpliwie dążenie do tego, aby jaknajwiększa część naszej młodzieży, która posiada już wykształcenie średnie, zdobyła także wykształcenie wyższe, gdyż sił do pracy kulturalnej, do zajęcia coraz liczniejszych jej placówek, bynajmniej nie posiadamy nad miarę.

Spółczeństwo też ma niewątpliwy obowiązek dopomożenia tym, którzy o własnych siłach iść nie potrafią i nie mogą, a którzy posiadają chęć do nauki i pragną ją zdobyć.

W blizkim więc związku ze sprawą wyjazdu za granicę, z wysuniętą na czoło kwestyą „dokąd“ jechać — pozostaje sprawa zorganizowania stałej pomocy materialnej dla wyjeżdżających.

Nie jest to sprawa nowa. Zjawiała się ona na powierzchni naszego życia już w lutym 1905 r., bezpośrednio po zawieszeniu wykładów w uniwersytecie i w politechnice, kiedy nagle z górą półtoratysięczny zastęp młodzieży stanął wobec zagadnienia, co dalej?

Przez dwa lata ubiegłe nie potrafiliśmy jednak sprawy tej załagodzić, mimo, że wiadomości, jakie nadchodziły z zagranicy, z tych ognisk, w których młodzież polska skupiła się w znaczniejszych grupach, były bardzo niepokojące, a odezwy tej mło-

dzieży, wzywające o pomoc, niejednokrotnie dostawały się na łamy pism polskich.

Były ofiary, były „wdowie grosze,” rzucane na tacę—nie było jednak i niema mądrej, zorganizowanej, przewidującej pomocy.

Sądziłibyśmy też, iż w chwili, kiedy dyskusya publiczna obraca się ciągle i z dużem nateżeniem uwagi dokoła spraw młodzieży, szukającej nauki zagranicą, należałoby zająć się także poważnie kwestyą stworzenia w odpowiedniej ilości stypendyów zagranicznych dla tych, którzy tej pomocy potrzebują.

Fundusz stypendyalny, jaki istnieje przy muzeum Rapperswylskiem z fundacyi Krystyna Ostrowskiego i innych, jest niewystarczający. Trzeba więc myśleć albo o jego wzmożeniu i zasileniu w taki sposób, aby Rada opiekuńcza muzeum mogła zaspokoić żądania zgłaszających się do niej i ześrodkować w swoich rękach wspomaganie młodzieży polskiej zagranicą wogóle, albo też—stworzyć tu, w kraju, instytucyę równoległą, któraby weszła w porozumienie ze wszystkimi stowarzyszeniami młodzieży zagranicą i na ich przedstawieniu i za ich poręką udzielała potrzebującym nie wsparć, ale pożyczek długoterminowych, zwrotnych w ciągu dziesięciu np. lat po ukończeniu studyów.

Potrzeba zajęcia się tą sprawą jest tem pilniejsza, że kwestya ciągle się rozszerza i że liczba wyjeżdżającej zagranicę młodzieży zwiększa się stale. Nie od rzeczy byłoby też zwrócić w tej chwili uwagę rodziców nietylko na uniwersytety i politechniki zagraniczne, ale także na liczne szkoły fachowe średnie, które, zwłaszcza w zakresie przemysłowo-technicznym, przygotowują doskonałych pracowników i bardziej nawet poszukiwanych przez fabryki, niż skończeni i dyplomowani inżynierowie.

Z takich szkół powinni korzystać przede wszystkim ci, którzy mają z jednej strony mniejsze aspiracye i mniejsze uzdolnienia do studyów czysto naukowych, z drugiej posiadają szczuplejsze środki materyalne.

Wogóle wybór powołania, wybór zawodu w chwili tak ciężkiej, jak obecna, powinien być dokonywany na podstawie gruntownego namysłu i głębokiej oceny upodobań, skłonności i uzdolnień młodzieńca.

Wiadomo, że wybór ten do niedawna, był u nas wprost lekomyślnym. Większość młodzieży, kończącej szkoły średnie, szła utartymi drogami, szła tam, dokąd ją prowadził prąd ogólny, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, czy wybiera właściwie i czy w następstwie za wybór ten nie zapłaci goryczą i rozczarowaniem całego życia.

Było przed kilkunastu laty hasło „na medycynę,“ potem „na prawo,“ w ostatnich zaś latach „na technikę“ i oto ani rodzice, ani młodzieńcy nie zastanawiali się nad tem, czy nie należy iść raczej przeciw prądowi i szukać w skłonnościach indywidualnych abituryenta jedynej busoli do obrania kierunku na przyszłość.

Rzecz naturalna, iż takie „obieranie zawodu“ stało się w niejednym wypadku źródłem tego niezadowolenia, z jakim tak często mamy do czynienia.

Iluż bo jest w naszym społeczeństwie ludzi, którzy zawód swój uważają za ciężkie galery, którzy do jego wypełniania nie wnoszą żadnej miłości, żadnego ukochania głębszego, a idą przez życie, jak skazańcy, przykuci do taczki, niepomni, że od nich samych zależało wejście na tę lub inną drogę. Ież przez ten fałszywy wybór powołania zmarnowało się zdolności, ile talentów poszło na marne.

Ten kto powinien być artystą — został adwokatem lub lekarzem, zdolny filolog ubiegał się o patent inżyniera, a następnie przy pierwszym swoim zetknięciu się z fabryką doznawał rozczarowania i odwrotnie ten, kto powinien być inżynierem, dzięki pomyłce życiowej, szedł na całe życie do szpitala, gdzie jako lekarz bez powołania cierpiał przy każdym zetknięciu się z chorym i nieszczęśliwym człowiekiem.

Niewątpliwie przyczyniło się do tego także i wyjątkowe nasze położenie polityczne. Wiele dróg było przed nami zamkniętych, wiele niedostępnych. Trzeba było obracać się ciągle w jednym kole, z którego na świat szerszy prowadziło zaledwie kilka furtek. Ale — w większości wypadków wina była i po naszej stronie.

Otóż obecnie, w chwili kiedy stoimy wobec odmiennych warunków, kiedy właśnie otwarte dawniej furtki są zatrzaśnięte na głucho, a wszystkie drogi równe i wydeptane nie są dla nas dostępne, kiedy nauka stała się o wiele kosztowniejszą i wymaga wprost znacznych ofiar pieniężnych, czy to ze strony rodziców, czy ze strony tych, którzy ofiarują młodzieży swą pomoc—wybór powołania, wybór drogi właściwej powinien być uczyniony tak rozważnie, aby ilość pomyłek zmniejszyła się znacznie.

Wiemy, że niepodobna ich unikać zupełnie, bo człowiek zawsze pewnym złudzeniem co do samego siebie podlega, ale wiemy też, że zastanowienie się nad ważnym w życiu krokiem może niejednego odwieść od zbyt lekkomyślnego zaangażowania się w kierunku dla niego nieodpowiednim.

Niech więc ci, którzy wyjeżdżają zagranicę, powodowani smutną koniecznością, zastanowią się trzeźwo i rozsądnie nietylko nad tem *dokąd* jechać, czy do Francyi, czy do Niemiec, czy do Szwajcaryi, czyli też tylko do polskich uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie, nietylko nad tem *za co* jechać i jak zdobyć środki, konieczne do ukończenia studyów wyższych, których może w niejednym wypadku lepiej zaniechać zupełnie, ale także i nad tem, co studyować, czego się uczyć, aby z tej nauki osiągnąć jak-największą korzyść dla siebie samego i dla społeczeństwa, które potrzebuje ludzi zdrowych, jasno patrzących na świat i z miłością podejmujących każdą pracę.

*

*

*

Nazwisko niejakiego p. Koszarskiego, autora memoriału w sprawie polskiej, przesłanego członkom międzynarodowej konferencji w Haadze, nabrało rozgłosu i poruszyło opinię publiczną, która słusznie i nie od dzisiaj oburza się na samozwańczych ambasadorów Polski zagranicą.

Maniactwo polityczne, spotykane na emigracyi dość często, nie wygasło snąć jeszcze, jako choroba, trapiąca niektóre umysły. Przy tej lub innej sposobności znajdzie się zawsze jakiś Filip z Konopi, który na swój własny sposób chce zbawiać ojczyznę i wierzy w wyjątkową szczęśliwość swoich pomysłów. Do kategorii takich osobników chorych, niepoczytalnych, dotkniętych przytem manią wielkości, należy niewątpliwie i ów p. Koszarski i to uwalnia nas całkowicie od potrzeby bliższego zajmowania się jego osobą.

Kamień padł na wodę. Rozeszły się po niej kręgami fale i uderzyły o nasz brzeg. Powierzchnia jednak niedługo uspokoi się i nie będzie na niej żadnego śladu. Nazwisko niefortunnego polityka-amatora utonie w niepamięci i społeczeństwo zapomni o tym chwilowym niesmaku, jaki wywołało wśród niego wystąpienie obłąkańca, a historia, która nie będzie się z nim nigdy liczyła, przebaczy mu łatwo ten czyn niefortunny.

Niemniej wszelako z całej sprawy wyciągnąć należy naukę. Oto—ni mniej ni więcej—tylko odstąpiła ona po raz niewiadomo już który nietylko zupełnie brak o nas informacyi zagranicą, ale

tę dziwną łatwość, z jaką znajdują tam posłuch najpotworniejsze i najdziwaczniejsze pogłoski, rozsiewane o nas przez ludzi złej woli, przez płatnych agentów obcych lub przez chorych maniaków.

Europa zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co dzieje się naprawdę w Polsce, jaki tam jest nastrój umysłów i jakie dążenia.

Zastanawiając się nad szkodliwością tego dla nas, znany publicysta i literat, p. Antoni Potocki, podkreślił niedawno w *Kuryerze poznańskim* potrzebę nieodzowną źródłowego informowania zagranicy o naszych stosunkach.

„Stosunki polskie na obczyźnie—pisze między innymi p. A. P.—są niezmiernie zardzewiałe. Wstyd się przyznać, ale ten wielki, historyczny, a tak ongi łatwy i zasobny w stosunki naród, dziś zdystansowany jest przez lada państewko bałkańskie. Każde bo państewko ma jaki taki konsulatus, jeśli nie poselstwo zagranicą, a dokoła niego ugrupowaną kolonię swoją. Jest to naturalny teren zawiązywania się stosunków międzynarodowych. Polacy tego nie mają. Mamy, owszem, ogromne kolonie np. w Paryżu i w Londynie, lecz ci, którzy powinni być terenem zadzierżgania się stosunków takich dla Polski, nie poczuwają się wcale do tego obowiązku.“

Trudno zaprzeczyć słuszności tej uwadze. Tembardziej jednak, skoro tak jest, należy starać się o to, ażeby znaleźć sposób i drogę do informowania społeczeństw obcych o rzeczywistym stanie rzeczy u nas, ażeby obalać i sprostowywać fałszywe wieści, nie pozwalać na rozpowszechnianie kłamstw i stać na straży prawdy, która jest jedyną naszą obroną i najsilniejszym argumentem tam, gdzie kwestyonowane są nasze krzywdy, lub słuszność naszych żądań podawana w wątpliwość.

Informacya polityczna o naszych sprawach powinna być przede wszystkim raz na zawsze usunięta z terenu działania wszelkiego rodzaju wolontaryuszów i samozwańczych reprezentantów narodu. Muszą ją ująć w swoje ręce prawdziwi reprezentanci narodu, t. j. członkowie naszych kół poselskich.

Taki wniosek stawia w artykule swoim p. Potocki i uzasadnia go w sposób następujący:

Koła poselskie, wytwarzające politykę i reprezentujące opinię każdego zaboru, są powołane przede wszystkim do tego, aby same czuwały nad prawdziwością oddźwięku swej pracy w kraju i zagranicą. Każde z nich jest aż nadto zasobne w siły, by obok innych komisyj i biur, utworzyło własny posterunek, baczący na głosy prasy europejskiej. Kilkanaście pism europejskich znajdzie

się zawsze w lokalu Koła. Ktoś z posłów, lub urzędnik płatny, powinien mieć obowiązek przeglądania tych pism w tym właśnie celu. W każdej zaś danej sprawie, bądź prostując fałszy, bądź też je uprzedzając, taki referent prawny Koła, po zasięgnięciu jego wskazówek, może bezpośrednio porozumieć się z wybitnymi korespondentami polskimi zagranicą.

Gdy tak ustalą się stosunki, nawiążą kierownicze nici wśród nas samych—sprawa wpływu i walki z fałszami stanie się tylko sprawą doboru ludzi. Przedewszystkiem zaś zgodne działanie tych czynników obroni nas od jednej plagi: od owych samozwańczych reprezentantów Polski, o których często kraj nie wie i którzy niewiele wiedzą o kraju.

Prasa zaś zagraniczna przyzwyczała się czerpać z wiarogodnego źródła i sama z innych źródeł czerpać przestanie, a wówczas stanie się jawnem, które organy tej prasy są poprostu agencjami pruskiego fałszerstwa politycznego.

Żadna *ad hoc* powołana instytucja na obczyźnie nie wytworzy pomysłnej zmiany tych stosunków, o ile jednocześnie nie poprzemy jej zgodną akcją moralną.

Na akcję tę składają się: wybór i uposażenie korespondentów polskich zagranicą — co stanowi obowiązek prasy polskiej i utworzenie łączności towarzyskiej między polskimi koloniami a zagraniczną inteligencją — co stanowi obowiązek sfer polskich, żyjących życiem towarzyskiem na obczyźnie, wreszcie źródło pewne i kompetentne informacyi, pozwalające wyzyskać stosunki, co jest obowiązkiem tych, którzy bezpośrednio na przebieg polityki polskiej w każdym z trzech zaborów wpływają.

Przy współdziałaniu zgodnem tych trzech czynników, ludzie powołani potrafią dać sobie radę nawet z opinią płatną z góry i z daleka... I wówczas potężna żywotność polska wewnętrzna ujawni się, jako godny siebie czynnik i w stosunkach zewnętrznych, skutecznie kielznając zakusy fałszerstwa politycznego.

To fałszerstwo w ostatnich czasach rozgościło się bardzo szeroko na łamach prasy europejskiej i przedostaje się nawet tam, gdzie w gruncie rzeczy usposobienia są dla nas przychylnie, a gdzie panuje tylko najzupełniejsza ignorancja w zakresie spraw polskich.

Nieraz czytamy w dziennikach zagranicznych wiadomości, które wprawiają nas w podziw nietyle nawet swoją złośliwością i wyraźną chęcią szkodenia nam, ile trudną do pojęcia naiwnością. Kiedy więc dla jednych sprawa nasza stanowi nigdy niewyczerpany materiał do oszczerstw, dla innych jest ona bajką

o żelaznym wilku, historią pełną dziwów o kraju, w którym panują niemał średniowieczne stosunki społeczne, gdzie szlachcic gnębi i uciska chłopą w porozumieniu z duchowieństwem i t. d. Owoce tej naiwności i ignorancji są czasem wprost potworne.

Dość przypomnieć słynny list Björnsona-Björnstjerna, list, który był i pozostanie smutnym dokumentem tych właśnie fałszywych informacyj, jakie posiada o nas cała Europa, nie wyłączając ludzi, stojących na świeczniku. A list ten był czytany i rozszedł się może szerzej, niż obalająca jego twierdzenia odpowiedź Sienkiewicza.

Mało mamy wśród narodów europejskich przyjaciół, bo przyjaźń polityczna nie umie być bezinteresowną, lecz opiera się zwykle na uznaniu i ocenie siły. Tej siły nie posiadamy obecnie z powodów łatwo zrozumiałych. Nie możemy też na tej drodze zabiegać o dobre i przychylne usposobienie bliższych i dalszych sąsiadów, obowiązkiem naszym jednak jest dbać o to, ażeby oceniano nas właściwie i sprawiedliwie. Nie obawiamy się sądu, choćby nawet najsurowszego — i owszem — niech nas cudzoziemcy sądzą, ale niech ten sąd będzie oparty na faktach, na tem, co rzeczywiście jest naszą winą lub naszym grzechem, nie zaś na pogłoskach i plotkach, wyssanych z palca. Tego rodzaju pogrozki i plotki powinniśmy i musimy obalać i tępić, choćbyśmy nawet uważali je za mało znaczące i niezdolne ani do wyrządzenia nam krzywdy, ani do zrobienia ujemy naszej godności narodowej.

Błoto, którem nas obrzuca źle informowana prasa europejska, bez względu na to, czy jest mniej, czy więcej czarne, jest zawsze błotem i zawsze jakaś część jego przylega do naszej opinii i psuje ją w oczach tych, którzy są za daleko i za mało interesują się nami, aby zechcieli i mogli przekonywać się na miejscu, co jest prawdą istotną, a co nieuczciwym lub bezsensownym wymysłem. Sami więc musimy spełniać tę rolę. Wskazuje nam ją nietylko zasada obrony własnej, ale i zasada prostej uczciwości, która zmusza każdego do prostowania rozsiewanych o nim, czy o kimkolwiek innym fałszów.

Z tego względu myśl powierzenia naszym ciałom reprezentacyjnym sprawy czuwania nad międzynarodową opinią Polski, uważać należy za podniesioną na czasie i zasługującą na poparcie.

*

*

*

Świeżo uległa w Petersburgu ostatecznemu zatwierdzeniu uchwała Rady ministrów o oddaniu w zawiadywanie magistratu miasta Warszawy zakładów dobroczynnych, zarządzanych obecnie przez Warszawską Radę miejską dobroczynności publicznej (z wyjątkiem prywatnych zakładów dobroczynnych i szpitala dla obłąkanych w Tworkach) pospołu z funduszami i majątkami do nich należącymi, oraz z kapitałami o specjalnem przeznaczeniu filantropijnem, tudzież z prawem do dochodów, przewidzianych w artykule 417 ustawy dobroczynności publicznej¹⁾.

W ten sposób przestaje istnieć w Warszawie ociężała, leniwa, ospała instytucya biurokratyczna, która przez szereg lat tamowała niezbędną dla miasta i społeczeństwa rozwój szpitalnictwa i doprowadziła je do stanu wprost rozpaczliwego. Dalecy jesteśmy od tego, aby całą winę składać na barki tej instytucyi. Wiemy doskonale, że spada ona w stopniu daleko większym na cały system administracyi rosyjskiej i na specjalne formy tego systemu w Król. Polskiem, formy, których wyrazem jedynie była Warsz. Rada dobr. publicznej. Nie mniej wszakże należy podkreślić i ten fakt, że nawet w warunkach istniejących, Rada, gdyby ożywiona była lepszymi chęciami i składała się z ludzi, rozumiejących lepiej potrzeby społeczne i pragnących im zaradzić—mogła była zdziałać nieskończenie więcej.

Nie zdziałała. Ciężka też jest wobec tego sytuacja, w jakiej znajduje się magistrat, obejmując ten spadek. Dość powiedzieć, że suma ogólna deficytów, spowodowanych przez gospodarkę finansową Rady w ciągu ostatnich lat kilku, dochodzi do miliona rubli.

Wykaz instytucyj, podwładnych Radzie, a przechodzących obecnie pod zarząd magistratu, obejmuje następujące zakłady:

1) Szpital Dzieciątka Jezus, z należącymi do niego: szpitalem właściwym na 600 łóżek i klinikami uniwersyteckimi, instytutem położniczym na 56 łóżek i klinikami: ginekologiczną i położniczą, oraz szkołami dla akuserek 1 i 2-go stopnia, domem wychowawczym na 200 starszych dzieci, 120 niemowląt i 4250 dzieci

¹⁾ Powołany wyżej artykuł 417 ustawy d. p. wymienia dochody niestate zakładów dobroczynnych, któremi są: niektóre kary pieniężne, wymierzane sądownie i administracyjnie, opłata od biletów wejścia na widowiska i zabawy, wpływy z koncertów dobroczynnych, loteryi i t. p., część czystego zysku lombardu miejskiego i kwesta wielkanocna.

„na garnuszku:“ instytutem szczepienia ospy ochronnej i zakładem dla rekonwalescentów.

2) Szpital ś-go Ducha na 200 łózek, z klinikami oraz laboratoriami: chemicznem i rentgenowskiem.

3) Szpital ś-go Rocha na 100 łózek.

4) Szpital ś-go Łazarza na 300 łózek, z kliniką.

5) Szpital ś-go Jana Bożego dla umysłowo chorych na 250 łózek, z kliniką.

6) Instytut Oftalmiczny. założony przez ks. Edwarda Lubomirskiego, na 50 łózek.

7) Szpital Praski na 212 łózek, z tymczasowym oddziałem dla chroniczków na 120 łózek.

8) Szpital Wolski dla chorób wewnętrznych na 75 łózek.

9) Szpital ś-go Stanisława na Woli.

10) Szpital Ewangelicki na 80 łózek.

11) Szpital Żydowski we wsi Czyste na 550 łózek.

12) Sale zarobkowe imienia Stanisława Staszica przy ul. Wolskiej.

13) Przytułek ś-go Ducha i N. Maryi Panny przy ul. Przyrynek na 110 osób.

14) Przytułek dla sług i najemników tamże na 165 osób.

15) Przytułek w Górze Kalwaryi na 270 osób bezdomnych, zgrybiałych i upośledzonych umysłowo.

16) Instytut ś-go Kazimierza na Tamce dla sierot od 8—14 lat na 110 dzieci, z głównym zakładem Sióstr Miłosierdzia ś-go Wincentego à Paulo.

17) Instytut moralnej poprawy dzieci w Mokotowie na 50 chłopców.

18) Dom schronienia dla Izraelitów na 40 starców, 12 upośledzonych umysłowo, oraz 88 sierot płci obojej.

19) Ochronka przy tym domu na 50 dzieci i

20) Sześć przytułków położniczych przy ul. Wroniej, Łuckiej, Bednarskiej, Targowej i Lipowej (dwa).

Majątek tych zakładów dobroczynnych przedstawia się w cyfrze 17,075,399 rb. W tem w kapitałach 3,151,041 rb, w nieruchomościach dochodowych 3,499,877 rb., w nieruchomościach, nie dających dochodu 9,736,939 rb. i w ruchomościach 687,542 rb.

Nie wchodzą tu, pozostające pod opieką Rady, a zarządzane przez specjalne organizacje prywatne, instytucje, których majątek obliczony jest na 8,819,952 rb.

W jaki sposób i jak szybko przystąpi magistrat do koniecznej reformy stosunków, które wytworzyły się w naszych insty-

tucyach dobroczynnych dzięki długoletniej gospodarce Rady miejskiej, tego na razie przesądzać nie można. To pewna tylko, iż wymagać to będzie pracy bardzo poważnej i rozłożonej na lata, gdyż właściwie nie reformować, ale z gruntu tworzyć należy. Miasto ma do rozwiązania kilka w tej dziedzinie bardzo poważnych kwestyj.

Przedewszystkiem ilość łóżek w szpitalach warszawskich jest obecnie w jaskrawym stopniu niedostateczna i w ciągu najbliższych lat trzeba ją podwoić a nawet potroić. Dzisiaj we wszystkich szpitalach panuje przepełnienie, w salach mieści się ilość chorych ponad normę, a niejednokrotnie leżą oni na korytarzach, na ziemi. Trzeba więc będzie budować nowe szpitale.

W tym kierunku przedewszystkiem czeka na rozstrzygnięcie od lat kilkunastu projektowane przeniesienie do Rakowca szpitala ś-go Rocha, znajdującego się dziś w najruchliwszym punkcie miasta, na Krak.-Przedmieściu, tuż przy Uniwersytecie, w miejscu zupełnie nieodpowiedniem.

Obejmując zarząd szpitalnictwa, magistrat będzie musiał zastanowić się także poważnie nad sprawą zdobycia funduszków na pokrycie tych wydatków, jakie czekają miasto w ciągu całego szeregu lat, zanim najbardziej tylko palące potrzeby zostaną zaspokojone i zaini Warszawa nie stanie pod tym względem na równi z innymi wielkimi miastami na świecie. W tym kierunku niewątpliwie okaże się rzeczą konieczną opodatkowanie na rzecz szpitali i instytucyj dobroczynnych całej ludności miasta, nie, jak to jest dotychczas, tylko pewnej i to najuboższej jej części. Obecny podatek rublowy musi więc uleść reformie zasadniczej.

Jedną z dalszych kwestyj, które wejść muszą niebawem na porządek dzienny, a z których uregulowaniem zwlekać nie można, jest także kwestya wynagrodzeń lekarskich.

Lekarze, którzy pracują w szpitalach, za swoją pracę otrzymują wynagrodzenie tak małe, że rzeczywiście trudno jest przy tych normach dłużej pozostać.

Wynagrodzenie to należy podnieść w tym stopniu, ażeby każdy lekarz mógł znaleźć w swojej posiadzie szpitalnej oparcie, pozwalające mu jeśli nie na całkowite, to na znacznie większe niż dzisiaj oddanie się na usługi chorych.

Przywiązanie lekarzy do szpitala leży zresztą w interesie społecznym—nigdzie bowiem młody lekarz nie kształci się tak i nie rozszerza tak zakresu swojej wiedzy praktycznej, jak w szpitalu.

Te i tym podobne kwestye, związane z przejściem szpitali pod zarząd miejski, zostały już należycie oświetlone i przedysku-

towane przez samych lekarzy, którzy w ostatnich latach często zabierali głos w tych sprawach (dr. Dunin, Nosocomialis, Męczkowski, Łazarowicz, Łagowski i inni). Konieczną też jest rzeczą powołanie przez magistrat tych właśnie lekarzy, jako gruntownie obeznanych ze sprawą, do narad nad tem, co i jak należy robić, aby w czasie jaknajkrótszym wyprowadzić szpitalnictwo z dzisiejszych opłakanych stosunków i zapewnić mu rozwój, w granicach, niezbędnych dla miasta i jego ludności.

Ś. p. prof. Antoni Mierzyński.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

Dn. 27 sierpnia r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Antoni Mierzyński, dr filozofii i filologii, niegdyś profesor b. Szkoły Głównej, następnie profesor i dziekan b. Uniwersytetu warszawskiego.

Ś. p. prof. Mierzyński pochodził z dzielnicy poznańskiej. Urodzony w Krotoszynie w r. 1829, uczęszczał do gimnazyum w Ostrowiu, a studia uniwersyteckie odbywał w Berlinie. W r. 1848 porwała go fala ruchu ówczesnego i postawiła w szeregach gwardyi narodowej. Po uciszeniu się burzy rewolucyjnej, Mierzyński powrócił do Uniwersytetu i w dalszym ciągu prowadził rozpoczęte studia. Poddawszy się w r. 1857 przepisany egzaminom i złożwszy fakultetowi filozoficznemu rozprawę p. t. „De vita, moribus, scriptisque latinis Acerni“ (Klonowicza), otrzymał przyszły uczyony stopień naukowy d-ra filozofii i zajął skromne stanowisko nauczyciela języków starożytnych w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu.

Z tego stanowiska powołał go w r. 1862 Wielopolski na profesora Szkoły Głównej w Warszawie, gdzie wykładał język i mitologię grecką.

Po zamknięciu Szkoły Głównej, Mierzyński poddać się musiał ponownie egzaminom dla zdobycia praw państwowych, a otrzymawszy od uniwersytetu petersburskiego stopień doktora filologii klasycznej, pozostał nadal profesorem w nowoutworzonym Uniwersytecie rosyjskim w Warszawie. W r. 1878 mianowany został dziekanem wydziału historyczno-filologicznego i piastował tę godność przez lat trzy.

Prace naukowe ś. p. Mierzyńskiego nie miały nigdy szerszego rozgłosu, należały bowiem do dziedziny mało u nas uprawianej

i nie interesującej szerszego ogółu. Nie mniej liczny jest dorobek naukowy zmarłego. Rozprawy, które wyszły z pod jego pióra w językach polskim, francuskim, niemieckim i łacińskim, odznaczają się sumiennością opracowania, powagą i głębokością sądu. Należą tu przede wszystkim: „O dzisiejszem stanowisku filologii“ (Warszawa, 1865); „Przyczynki do mitologii porównawczej: podania wobec oświaty; Bocian księdzem Wojciechem“ (Warszawa, 1867); „Jan Łazicki — źródło do mitologii litewskiej“ (Kraków, 1870); „O wazie petersburskiego Ermitażu, wyobrażającej Danae“ (Warszawa, 1874); „Danae i Perseusz“ (Warszawa, 1876); „Sur quelques objets, trouvés dans les sépultures en Lithouanie“ (Budapeszt, 1876); „Co znaczy *Sicco*?“ (Lwów, 1891); „Źródła do mitologii litewskiej od Tacyta do końca w. XIII-go“ (Warszawa, 1892 i 1896); „Przysięga Kiejstuta“ (Poznań, 1894), to samo po niemiecku (Królewiec, 1893); „O nadrowskim kapłanie ognia Kriwe“ (Moskwa, 1895); „Nuncius cum baculo“ (Warszawa, 1895); „O dębie świętym w Romowe“ (po łotewsku, w Rydze, 1896); „Wspomnienia o A. Pawińskim“ (Warszawa, 1897); „Die sämtliche Gottheit *Auszaitis*“ (Królewiec, 1900); „Romowe,“ rozprawa archeologiczna (Poznań, 1900).

Najważniejsze dla nauki polskiej są te prace Mierzyńskiego, w których dotykał mitologii litewskiej, gdyż w tej dziedzinie prawie że nie miał u nas współzawodników. Z tego względu należałoby pamiętać o tem, aby materyały litewskie, zgromadzone wytrwałą pracą długich lat przez zmarłego, nie przepadły, ale dostały się do rąk, które potrafią uczynić z nich właściwy użytek.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— WILEŃSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA I MUZEUM STAROŻYTNOŚCI PRZY
TEJŻE BIBLIOTECE. Jest to instytucja założona we Wilnie przez Murawiewa
przed czterdziestu paru laty i dość hojnie przez rząd uposażona. Niedawno
wydano katalog wydawnictw tej biblioteki oraz opis historyczny jej powsta-
nia, pióra dzisiejszego jej kierownika A. Miłowidowa. Z tej broszury przypo-
minamy sobie, że w 1864 r. Kornilow przedstawił Murawiewowi prośbę, aby
mu było dozwolono gromadzić we Wilnie wszystkie konfiskowane po kla-
sztorach biblioteki. W końcu 1864 przybył pierwszy transport, a w lutym
1865 r. było już około 30000 książek, które narazie zwalono na wielkie kupy.
Sprawozdanie podnosi wysokie zasługi Kornilowa, „który był duszą tej spra-
wy“ i prowadził „kulturalną walkę“ w celu zastąpienia w tym kraju nauki
polskiej „czystą nauką rosyjską (!)“. Podnosząc te zasługi autor sprawozdania
podziwia „zdumiewającą pomysłowość w kierunku zbierania bogactwa książ-
kowego“ — rozwiniętą przez inicjatorów biblioteki — książki, rękopisy, dzieła
sztuki „płynęły rzeką“ wyraża się z zachwytem sprawozdawca. Nie mało
także dostarczył kurator okręgu naukowego, gdyż uznał „za niewłaściwe“
znajdowanie się w bibliotekach szkolnych książek polskich. Przyłączono także
zbiory muzeum Wileńskiego, któremu „rosyjski duch nadano.“ O zbiorach tych
(14186 pozycyi) sprawozdanie powiada, że nie miały żadnej wartości, nawet
bibliograficznej (sic!), mogły natomiast „żywić polsko-łaciński fanatyzm,“ nie
były więc one zbyt pożądane dla nowej instytucyi, i wypadło przy objęciu
tych zbiorów sprowadzić w pierwszych dwu latach za 17100 rubli książek
rosyjskich, które kupowano w Rosyi lub założonej jednocześnie księgarni
rosyjskiej w Wilnie. Znacznie przyczyniło się do rozszerzenia biblioteki zam-
knięcie w 1872 realnego gimnazjum i obserwatorium astronomicznego we
Wilnie w 1883 r. Nastal wreszcie czas — pisze sprawozdawca — „królowania
książki rosyjskiej“ — użycie czcionek polskich zostało surowo zabronione w ca-
łym Północno-Zachodnim kraju.

Reasumując te wszystkie dane sprawozdanie wylicza, że biblioteka powstała z konfiskaty książek i rękopisów z 26 katolickich klasztorów, kapituły wileńskiej, 7 klasztorów ruskich, 22 szkół średnich, 26 szkół powiatowych, 2 dyrekcji, 12 bibliotek prywatnych i publicznych oraz Muzeum wileńskiego wreszcie ofiar od rządowych instytucji i wyliczonych w sprawozdaniu osób. Obecnie biblioteka jest pomieszczoną w 17 salach i dzieli się na następujące działy: książki obce, ruskie, rękopisy i inkunabuły. Dział pierwszy obejmujący dzieła polskie, łacińskie, i w innych obcych językach, zawiera 125000 tomów, ale dział ten nie jest jeszcze dokładnie urządzony. Natomiast dział rosyjski obejmujący obecnie 42910 tomów (wobec 1854 w roku 1867) jest już podzielony rzeczowo i ma odpowiednie katalogi. Dział rękopisów zawiera: 329 rękopisów słowiańskich, 575 pergaminów ruskich i łacińskich, 1640 miscellaneów ruskich i obcych 2360 polskich, 210 inwentarzy przeważnie kościelnych, 415 wiązek różnych dokumentów, po za tem listów królewskich 212, dyplomów 270, i 6030 korespondentów (!) zawierających „minimum 65000“ listów. Ogólna ilość dokumentów ma wynosić 130000. Bogato także przedstawia się dział inkunabułów i wydań XVI w. Inkunabułów ma biblioteka 165, książek XVI w. 583, obcych starych wydań (!) 1032. Ogółem biblioteka posiada 200000 tomów.

Na innym miejscu podamy ocenę całego szeregu wydanych przez bibliotekę publikacji. Sprawozdanie powyższe streszczone tu jaknajobjektywniej mówi nieco o naukowości i zasługach instytucji.

F.

Tow. wyższych kursów naukowych w Warszawie zawiadania, że na wydziale humanistycznym w nadchodzącym semestrze r. 1906/7, rozpoczynającym się w d. 1-ym października, wykładać będą:

W zakresie językoznawstwa i filologii: p. Karol Appel: wstęp do językoznawstwa oraz historię języka i literatury francuskiej; p. Szober: gramatykę historyczną języka polskiego; p. St. Słoński: gramatykę porównawczą języków słowiańskich w zestawieniu z innymi językami indoeuropejskimi; p. M. Rowiński: kurs praktyczny języka łacińskiego; p. Ig. Radliński: historię literatury wschodu starożytnego.

W zakresie historii powszechnej i polskiej: pp. L. Krzywicki: historię kultury pierwotnej (dzieje rodziny); J. Siemiński: rys historii parlamentaryzmu polskiego; I. Jakubowski: dzieje Litwy i Rusi w epoce Jagiellońskiej; F. Puławski: dzieje Polski w XVII wieku; W. Konopczyński: dzieje Polski w XVIII w.; Iwaszkiewicz: księstwo warszawskie (1806 — 1815); M. Sokolnicki: dzieje Polski (1831—1863); J. Jakubowski: historię Grecji i Rzymu; W. Trojański: historię sztuk plastycznych i archeologię dla słuchaczy 1-go roku i ciąg dalszy dla słuchaczy 2-go roku.

W zakresie filozofii i psychologii wykładać będą: pp. Wł. M. Kozłowski: historię filozofii od początku do r. 1831; Wł. M. Kozłowski: filozofię współczesną, filozofię dziejów i utopikę; I. Lewkowicz: historię filozofii średniowiecznej i nowożytnej do Kanta; J. Lewkowicz: etykę; M. Massonius: historię

estetyki, logikę i teoryę poznania; A. Jabłoński: estetykę; W. Dawid: psychologię wychowawczą i psychologię dziecka; panna Aniela Szycówna: pedagogikę.

W zakresie geografii, etnografii, nauk społecznych i prawnych: pp. W. Nałkowski: geografję ogólną fizyczną; Ż. Grotowski: geografję ekonomiczną; L. Krzywicki: etnografję; St. Bukowiecki: ekonomję polityczną; p. Zofia Daszyńska-Golińska: politykę ekonomiczną; N. Pinkus: teoryę polityki socyalnej; Ż. Grotowski: rozwój wielkiego przemysłu w Królestwie Polskiem; N. Pinkus: statystykę; Wł. Studnicki: skarbowość; J. Kucharzewski: teoryę socyalne i polityczne nowoczesne; E. St. Rappaport: nowoczesną politykę kryminalną; K. Dunin: prawo handlowe i F. Perl: prawo polityczne (naukę o formie państw).

Otrzymujemy następującą odezwę: Wybrana przez sekcję przyrodniczo-rolniczą X Zjazdu lekarzy i przyrodników komisya dla spraw polskiego słownictwa rolniczego, zwraca się niniejszem do ogółu rolników, pracujących na ziemiach polskich, zarówno w kierunku praktycznym, jak i teoretycznym, z gorącym wezwaniem do współdziałania w zamierzonej pracy nad oczyszczeniem języka z obcych naleciałości, ujednostajnieniem słownictwa rolniczego, a zarazem zebraniem wszelkich w tym dziale nazw miejscowych, rdzennie polskich. Wszyscy, którzyby pragnęli przyczynić się do powyższej, tak dla nas ważnej sprawy, zechcą zgłosić się osobiście lub listownie u podpisanego (Lwów, ul. Karola Ludwika 3, Towarzystwo gospodarskie), a otrzymają bliższe objaśnienia, jak i druki, potrzebne do zbierania odnośnych materyałów. Za komisję dla spraw polskiego słownictwa rolniczego *Bronisław Janowski*.

N O W E K S I A ̇ Ż K I.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW HISTORII W WARSZAWIE jak wiadomo wydaje dwumiesięcznik p. t. Przegląd historyczny. Tom V-ty tego wydawnictwa, właściwie 1-szy zeszyt tomu V-go ukazał się niedawno na półkach księgarskich. Zeszyt ten zawiera następujące prace: 1). Z teki pozgonnej Maksymiliana *Gumplowicza*. Początki biskupstwa krakowskiego. Przedwcześnie zmarły historyk z wątplych fragmentarycznych danych stara się tutaj wydobyć genezę założenia krakowskiego Biskupstwa. Na tle porównawczych zestawień, zaczerpniętych z historyi kościoła w Chorwacyi i Dalmacyi, dochodzi do wniosku, że biskupstwo krakowskie jest właściwie przeniesieniem do Krakowa w wieku X biskupstwem Nitrzańskiem. Takie przeniesienie stolicy biskupiej nie jest faktem izolowanym, a przeciwnie znajduje cały szereg współrzędnych faktów w średniowieczu i tłómaczy się tem, że zdobycie miasta biskupiego przez pogan, zmuszało do przeniesienia stolicy do innego miasta. Autor dla poparcia swej tezy co do Krakowa, przytacza dowody przeważnie na rozumowaniu oparte. Interesujące są w tej pracy ustępy o obrządku słowiańskiem w Wielkomorawii oraz wpływach jego na Polskę i Czechy. Żałować przychodzi, że przedwcześnie zmarłemu autorowi nie danem było korzystać z nowszych prac w tej sprawie, wartość niniejszego artykułu znacznieby na tem

zyskała. 2). *J. Jakubowskiego*. Opis księstwa Trockiego. W pracy tej autor analizuje przywilej wydany przez Jagiełłę w 1387 r. na rzecz brata swego Skirgiełły ks. Trockiego. Przywilej ten zawiera opis księstwa Trockiego i daje wiele szczegółów o ustroju społeczno-prawnym Litwy w końcu XVI w., które autor umiejętnie zestawia i innemi współczesnemi dokumentami objaśnia. Stąd praca jego zyskuje na wartości i rzuca pewne światło na mało dotąd znane stosunki ekonomiczne i prawne Litwy na przełomie XIV na wiek XV-ty. Autor kładzie szczególny nacisk na fakt istnienia na Litwie jeszcze przed przyjęciem przez nią chrześcijaństwa większej prywatnej własności ziemskiej, nadawanej nie tylko „do woli gospodarskiej“ ale i na „wieczność“ — pozatem rozpatruje szczegółowo sposób, jakim kraj był administrowany przez księcia. Sprężystość tej administracji, władza ciwunów w zupełności zależna od księcia, znaczne opodatkowanie ludności rolniczej—co wszystko autor szczegółowo wyjaśnia — dowodzi potężnej władzy i znacznej centralizacji państwowej. W tem oświetleniu inaczej przedstawiają się stosunki litewskie, aniżeli dotąd je rozumieliśmy z opisu Szajnochy. Litwa z czasów Jagiełły to już nie dzika puszcza leśna, ale kraj zorganizowany w prawidłowo urządzone, jednolite państwo, o ustroju absolutycznym. Jako aneks do tej wysoce interesującej pracy, służy wzmiankowany przywilej z 1387. Jest on drukowany czcionkami rosyjskiemi, jako przedruk z rosyjskiego wydawnictwa Świnina. To tłómaczy poniekąd użycie czcionek rosyjskich, ale nie zupełnie. Litery rosyjskie, równie dobrze jak polskie, nie odtwarzają dźwięków języka ruskiego, a więc nie mogą być użyte do przedruku dokumentów odległej starożytności, gdzie chodzi o ścisłość nie tylko historyczną, ale i językową. Powinno się stanowczo używać dawnych liter ruskich, gdyż takiego np. А ani alfabet rosyjski, ani polski nie posiada. Co prawda oryginał dokumentu z 1387 nie był autorowi znany, może wcale dziś nie istnieje, ale w takim razie, bez żadnej użyny dla wartości pracy, można było dać w dokumencie transkrypcję polską, bardziej odpowiedną do artykułu pisanego po polsku.

3). *W Kamienieckiego*. Pobył króla Jana Zapolii w Polsce w 1528 r. Początek pracy mającej wykazać knowania polityczne Zapolii podczas jego pobytu w Tarnowie. Są dotąd próby charakterystyki towarzyszów zbiegłego króla. Służyłoby mogły za przygotowanie do pracy, ale nie jej część pierwszą. Dalej w drugiej części pobieżny obraz stosunków węgierskich tej doby i polityki polskiej względem Węgier.

4). *Wł. Konopczyńskiego*. Odwrócenie przymierzy w Europie 1755—1757. Autor, od dłuższego czasu pracując nad epoką saską, w pracy tej daje żywy obraz polityki całej Europy, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków austriacko-pruskich. Praca ta jest nacechowana wielką znajomością przedmiotu, opanowaniem źródeł i treściwym a pełnym głębszych spostrzeżeń wykładem. Odkładając do ukończenia tej pracy obszerniejsze o niej sprawozdanie, nie możemy się powstrzymać od wypowiedzenia się o niej z wielkiem uznaniem na tem miejscu.

5). *W. Męczkowski*. Prowizorowie szpitalni w dawnej Polsce. Przyczynek do dziejów magistratury naszej. W rozdziale pierwszym autor omawia początki szpitali i instytucyj prowizorów szpitalnych w Polsce, oraz sto-

sunek kościoła i miast do szpitali. W drugim rozdziale zastanawia się nad genezą instytucyj prowizorów i ich obowiązkami i cytuje cały szereg odnośnych dokumentów.

6). *Fr. Giedroyć*. Wodociągi i kanały miejskie. Jest to d. c. rozpoczętej poprzednio pracy. Układ alfabetyczny według miast. W zeszytach tym znajdują się dane historyczne oraz przedruk przywilejów dotyczących wodociągów w miastach: Kazimierzu, Krzemieńcu, Lublinie, Lwowie, Łomży, Opatowie, Opocznie, Pilźnie i Płocku. Przeważna część tych dokumentów odnosi się do XV i XVI w.

7). *K. Marcinkowski* podaje bardzo interesujący i szczegółowy Inwentarz Zamku Warszawskiego, sporządzony w 1769. Jest to pierwszy ogłoszony drukiem inwentarz zamku dający poznać jego ówczesną okazałość. Szkoda tylko, że układ typograficzny przedruku nie jest zadawalniający. Można było dając stosowne a capite i spęcyując nazwy oddzielnych części zamku, nadać inwentarzowi więcej przejrzystości i łatwiejszym go uczynić do zorientowania się czytelnika.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— **EKONOMISTA**. Zeszyt II. J. Gościcki: Zarząd lokalny a dobroczynność publiczna w Anglii;—Dr. F. Bujak: Uwagi o społeczeństwie galicyjskiem (dok.);—Wł. M. Kozłowski: Polityka społeczna Konwencji i prądy socjalistyczne ówczesne;—Dr. St. Horzewska: Przyczynek do teorii podziału dóbr;—C. Łągiewski: Kasy oszczędnościowe w państwie rosyjskiem;—Kronika ekonomiczna; Kronika współdzielcza;—Rozbiory i sprawozdania;—Przegląd czasopism;—Bibliografia.

— **HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY**. Czerwiec. Czy zasady moralności ogłoszone przez Zbawiciela odpowiadają naszym czasom?;—Zagadnienie społeczne;—Stosunek spółkowy między pracodawcą a robotnikiem, wzajemne słuszne żądania;—Dział kaznodziejski;—Kazania przygodne;—Przemówienia;—Ascetyka;—Wiadomości teologiczno-pasterskie.

— **KRYTYKA LEKARSKA**. Sierpień. J. Kramsztyk: Prof. H. Hoyer (wspomnienie pośmiertne);—W. Bujak: Życiorys Henryka Jordana;—J. Kramsztyk: Wady mianownictwa i układu naukowego w okulistyce;—Oceny.

— **OGRÓD**. Czerwiec. St. R.: Zebranie ogólne członków Tow. Pszczelniczo-Ogrodniczego i zmiana ustawy;—J. Trzebiński: Choroby śliwy;—E. Ciszewicz: Upiększanie brzegów wód w ogrodach;—J. Hetner: Przedwczesne wykwitanie roślin warzywnych (dok.);—W. Dewald: Przesadzanie roślin doniczkowych;—Badania i spostrzeżenia;—Dla ogrodników;—Listy;—Wytwórczość i handel.

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Zeszyt III. B. Bernstein: Preformowana harmonia transcendentna, jako podstawa teorii poznania Kanta;—R. Minkiewicz: Próba analizy instynktu metodą obiektywną;—Krytyka i sprawozdania;—

Notatki o nowych książkach; — Autoreferaty; — Z czasopism; — Wiadomości bieżące; — Bibliografia.

— WIADOMOŚCI PASTERSKIE. Czerwiec. Ks. dr. Weis: O rozwoju gatunków; — Wystawienie prywatne Najśw. Sakramentu; — Ks. J. Beckner: Kościelna sztuka budowlana (c. d.); — Zagadnienia teologiczne i społeczne; — Prawo i liturgia; — Z chwili bieżącej; — Piśmiennictwo.

— WIADOMOŚCI PASTERSKIE. Lipiec. Ks. dr. K. Weis: O rozwoju gatunków; — Ks. S. Żelazowski: O Słowienkach i ich duszpasterzach; — Proboszcz w Albigowej; — Ks. J. Beckner: Kościelna sztuka budowlana (c. d.); — Zagadnienia teologiczne i społeczne; — Prawo i liturgia; — Z chwili bieżącej; — Piśmiennictwo.

— WSZECHŚWIAT I CZŁOWIEK. Zeszyt 67. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera. Przekład Stanisława Kramsztyka, 2000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wydawnictwo Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. od 162 do 184.

— Zeszyt 68. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera. Przekład. Stanisł. Kramsztyka, 2000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wyd. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. od 185 do 208.

— ZDROWIE. Lipiec. Dr. med. B. Ziemiński: W sprawie walki ze ślepotą; — Dr. med. B. Ziemiński: Przyczynę do etyologii ślepoty; — Dr. L. Endelman, Walka z jaglicą (trachoma); — Dr. med. W. Kamocki: Zapobieganie ślepoty; — Streszczenie zbiorowe; — Dział sprawozdawczy; — Ze zjazdów i wystaw higienicznych; — Z Warsz. Tow. Higienicz.; — Przegląd bibliograficzny; — Nekrologia; — Wiadomości drobne.

— ZWIASTUN EWANGIELICZNY. Lipiec. „Tak jest, Panie! — wszakże;“ — O nauce religii w szkole, szkołkach niedzielnych i nabożeństwach dla dzieci; — 1906 (dalszy ciąg); — Początki sztyndyzmu (dokończ.); — O reformie w pisaniu aktów stanu cywilnego; — Głosy czytelników; — Słów kilka o nauce języka niemieckiego w szkołach naszych; — Budowniczy naszego kościoła Warszawskiego; — Jubileusz ks. sup. Biedermana; — Z prasy; — Wiadomości z kościoła i ze świata; — Ofiary; — Nabożeństwa; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

A. B. C. Katolika - Polaka. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 104.

DUILHÉ DE SAINT-PROJET, KANONIK: Apologia naukowa wiary chrześcijańskiej. Przekład z francuskiego ks. biskupa H. P. Kossowskiego, poprze-

odny słowem wstępem ks. Michała Nowodworskiego, biskupa płockiego. Wydanie drugie. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 511.

KIRCHHOF A., PROF.: Człowiek i ziemia. Przekład z niemieckiego St. L. M. Redaktor i wydawca Alfred Strach. Łódź, 1907. Nowa Biblioteka Samokształcenia. Skł. głów. w księg. Centnerszvera. 8-o, str. 134.

LUBECKI KAZIMIERZ, DR. SZAMBELAN: Sanktuarya Maryańskie w Ziemi Świętej (Ze wspomnień o Ziemi Świętej). Kraków, 1907. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 26.

SZNARBACHOWSKI FELIKS, KS.: Co to jest komunja święta? I jak się ma spowiedź do komunii świętej? Żyтомierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 13.

— Co to jest kradzież? Żyтомierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 38.

— Co to jest oszukaństwo, wyzysk i lichwa? Żyтомierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 24.

— Co to jest restytucya? Żyтомierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 24.

— Kiedy i jak się masz przygotować do przyjęcia ostatniego Olejem Świętym Namaszczenia. Żyтомierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 10.

H I S T O R Y A.

HERBARZ POLSKI. Tom X, zeszyt VI, od str. 101 do str. 204. Wydawnictwo Adama Bonieckiego. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa.

KOŹMIAN KAJETAN: Pamiętniki. Obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815. Cz. I. Warszawa, 1907. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 491. 8-o, str. 143.

— Obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815. Część II. Warszawa, 1907. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 492. 8-o, str. 125.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea historyczne XVII. Katechizm polityczny polski. Z pierwszych lat Królestwa kongresowego. (Ze źródła archiwalnego). Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 20.

— Miscellanea historyczne berlińskie z czasów upadku Rzeczypospolitej polskiej (1796—1797) ilustrowane przez Daniela Chodowieckiego. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 14.

— Miscellanea historyczne XIX. Dziecię Warszawy. Epizod historyczny z roku 1831. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 21.

KULWIEĆ KAZIMIERZ: Chrząszcze polskie, klucz do określenia owadów tęgopokrywnych dla użytku młodzieży, amatorów i ogrodników. Opracował...

Warszawa, 1907. Skład głów. w księg. E. Wende i Sp. Wydanie z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. J. Mianowskiego. 8-o, str. 229.

MAŁECKI ANTONI: Lechici w świetle historycznej krytyki. Wydanie drugie, przejrzone przez autora. Lwów, 1907. W komisie H. Altenberga. 8-o, form. duży, str. 264.

PULASKI FRANCISZEK: Nieznane listy Barbary Radziwiłłówny do Mikołaja Radziwiłła Rudego i do Zygmunta Augusta. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 9.

SCHOTT KAROL: Dzieje powszechne w streszczeniu. Część I. Historia Grecji i Rzymu. Warszawa-Praga, 1907. Stefan Rzymski. 16-o, str. 82.

NAUKI SPOŁECZNE. — EKONOMIA. — ROLNICTWO.

BECK JÓZEF: Współdzielczość jako program życiowy. Warszawa, 1907. Skł. główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Biblioteczka „Społem.“ 8-o, str. 48.

BERSTEIN EDWARD: Parlamentaryzm a Socjalizm. Z niemieckiego przełożył Maryan Aleksandrowicz. Redaktor i wydawca Alfred Strauch. Łódź, 1907. Nowa Biblioteka samokształcenia. Skł. głów. w księg. Centnerszvera. 8-o, str. 76.

BERNSTEIN EDWARD: Strajk, jego istota i oddziaływanie. Opracował w skróceniu Dr. Jan Błeszyński. Warszawa, 1907. Nakł. Spółki Wydawniczej. Tania biblioteka, № 15. 8-o, str. 75.

BRZEŃSKI JULIAN z Krotoszyna: Jak się powinien obchodzić urzędnik gospodarczy z ludem roboczym? (Rzecz wygłoszona w Poznaniu dn. 29-go stycznia 1907 r. na wykładach dla urzędników gospodarczych). Odbitka z „Ziemianina.“ Poznań, 1907. Nakł. Centr. Towarzystwa Gospod. w W. Ks. Pozn. Skł. głów. w księg. Bogdana Chrzanowskiego w Poznaniu. 8-o, str. 14.

BÜCHNER LUDWIK: Walka o byt i społeczeństwo obecne. (Darwinizm i Socjalizm). Z niemieckiego tłómaczył W. P. Redaktor i wydawca Alfred Strauch. Łódź, 1907. Nowa Biblioteka samokształcenia. Skł. głów. w księg. Centnerszvera. 8-o, str. 62.

DASZYŃSKA-GOLIŃSKA ZOFIA, DR.: Ekonomia społeczna. Część II. Warszawa, 1907. Nakład b. wychowanców szkoły Handl. im. Leop. Kronenberga. Podręcznik z dziedziny Nauk handl. i ekon. Skł. główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. 366.

GIDE KAROL: Zasady ekonomii społecznej. Trzecie polskie wydanie, według dziesiątego wydania francuskiego ponownie opracowane i rozszerzone przez dr. Włodzimierza Czerkawskiego. Warszawa, 1907. Nakł. Kasy Przeźorności i Pomocy warszawskich pomocników księgarskich Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. VI+718.

GRZEGORZEWSKI MARYAN: Reforma kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych w Królestwie Polskiem. Kielce, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 8-o, str. 162.

HIERONIM, ks.: Rozmowa o socyalizmie. Napisał... Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 31.

LUBKOWSKI KAZIMIERZ, inż.: Wpływ kontroli chemicznej na racjonalne zużytkowanie torfu, jako paliwa. Praca odczytana w Seceyi Torfowej II cz. na VIII Międzynarodowym Kongresie Rolniczym w Wiedniu, 1907 r. Przez... Odbitka z „Chemika Polskiego.“ Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 19.

ZAGLENICZNY J. Stan obecny kwestyi robotniczej na Zachodzie. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. IV+260.

ZIELŃSKI-KOCENT WŁ.: Jak usuwać szachownicę i przeprowadzać kolonizację gruntów (z dodatkiem kilku map). Napisał... Warszawa, 1907. Z zapisu Władysława Peplowskiego w zawiadywaniu Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia dr. Józefa Mianowskiego. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 64.

HISTORIA LITERATURY I FILOLOGIA.

CHLEBOWSKI WŁADYSŁAW: Idea, układ i artyzm „Dziadów“ kowieńskich i „Fragmentów“ pośmiertnych. Odbitka z „Myśli Polskiej.“ Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 27.

GRABOWSKI TAD.-STANISŁ.: III. Orzeszkowa. W 40-letni Jubileusz jej pracy literackiej. Napisał... Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 133.

KWOCZYŃSKI PIOTR, ks. dr.: Psalterz Karpińskiego i jego stosunek do Psalterza Kochanowskiego. Napisał... Lublin, 1907. Skł. głów. w księg. F. Raczkowskiego. 8-o, str. 132.

POLAKIEWICZ DANIEL: Stenografia polska. Warszawa, 1907. Nakł. autora. Skł. główny Plac Warecki 4. 8-o, str. 48.

TARNOWSKI ST.: Historia literatury polskiej. Tom VI Część druga. Wiek XIX 1863—1900. Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. XIV+654.

WYŻYCKI MARYAN: Mowa ojczysta. Warszawa, 1907. Nakł. księg. M. Szczepkowskiego. 8-o, podł. str. 31.

M E D Y C Y N A.

CHOROBY DZIECIĘCE, a mianowicie: odra, żarniec, szkarlatyna i błonica, koklusz i t. p., powstanie tych chorób, zapobieganie im, jakoteż przyrodne leczenie tychże. Wydanie drugie, przejrzone i uzupełnione. Z rycinami. Berlin, 1907. Nakład wydawn. „Przewodnika Zdrowia.“ Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 56.

HAMMOND W. A., DR. MED.: Niemoc płciowa u mężczyzn i kobiet. Przyczyny, skutki, zapobieganie i leczenie niemocy. Przełożył Zygmunt Stankiewicz. Warszawa, 1907. Nakładem księgarni K. Fiszlera. 8-o, str. 219.

KONFERENCJA pierwsza w sprawie alkoholizmu w Królestwie Polskiem, odbyta dn. 2 lutego 1907 roku w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Warszawa, 1907. Nakł. „Przyszłości.“ Skł. głów. w księg. Naukowej. 8-o, str. 48.

MIKLASZEWSKI W., DR.: Wstęp do higieny dla proletaryatu. Berlin, 1907. Nakł. wydawnictwa „Przewodnika zdrowia.“ Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 31.

SZUMOWSKI WŁADYSŁAW: Galicya pod względem medycznym za Jędrzeja Krupińskiego, pierwszego protomedyka 1772–1783. Napisał... Z portretem Krupińskiego. Lwów, 1907. Nakł. Tow. dla popierania Nauki polskiej. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. 367.

PEDAGOGIA. — SZKOLNICTWO.

BÜCHNER LUDWIK: Walka o byt i społeczeństwo obecne. (Darwinizm i Socjalizm). Łódź, 1907. 8-o, str. 62.

JASTRZĘBIEC TADEUSZ: Zbiór zadań algebracyjnych w zakresie programu gimnazjalnego. Zebrał i ułożył... Warszawa-Łódź, 1907. Nakładem księg. Ludwika Fiszera. 8-o, str. 72.

KOWALSKI J.: Zadania i przykłady arytmetyczne dla szkół początkowych, klas przygotowawczych i nauczania domowego. Ułożył... Część II. Liczby w zakresie 100. Cztery działania w zakresie 1.000. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. S. Fabijańskiego. 8-o, str. 64.

PROGRAM wykładu matematyki i fizyki w szkole średniej. I. Program nauki rachunków. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Wyd. Koła Matem.-Fizycznego. 8-o, str. 16.

